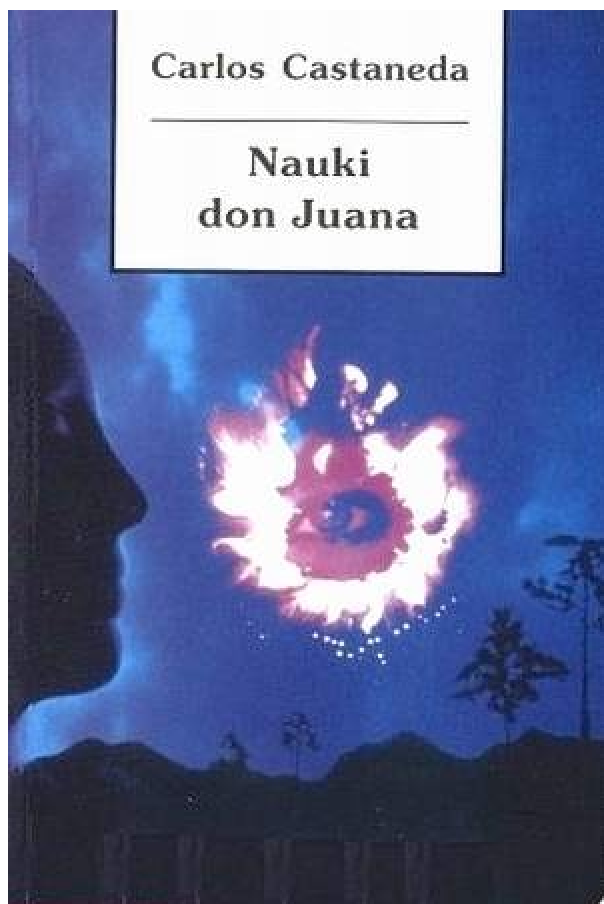
Powrót do spisu KIPPIN
PRZEDRUK

CARLOS CASTANEDA
NAUKI DON JUANA
(The Teachings of Don Juan – A Yaqui Way of Knowledge / wyd. orygin. 1968)



Inne książki Carlosa Castanedy wydane dotychczas w Polsce:

ODRĘBNA RZECZYWISTOŚĆ
PODRÓŻ DO IXTLAN
OPOWIEŚCI O MOCY
DRUGI KRĄG MOCY
DAR ORŁA
WEWNĘTRZNY OGIEŃ
POTĘGA MILCZENIA
SZTUKA ŚNIENIA
MAGICZNE KROKI
AKTYWNA STRONA NIESKOŃCZONOŚCI

SPIS TREŚCI:

* * *

Carlos Castaneda zmarł w 1998 roku

Spis treści / Dalej

PRZEDMOWA

Ta książka jest zarazem etnografią i alegorią.

Carlos Castaneda – pod opieką don Juana – prowadzi nas poprzez ów moment zmierzchu, poprzez ową szczelinę we wszechświecie dzielącą światło dnia od mroku, w świat nie tylko inny od naszego, lecz wyposażony w całkowicie odmienną strukturę rzeczywistości. W dotarciu do niej pomagają mu *mescalito, yerba del diablo* i *humito,* czyli pejotl, bieluń i grzyby. Nie jest to jednak opowieść wyłącznie o doznanych halucynacjach, gdyż podróżnikowi przewodzi posługujący się subtelnymi manipulacjami don Juan, on też swoimi interpretacjami nadaje sens wydarzeniom, których mamy sposobność doświadczyć za pośrednictwem ucznia owego czarownika.

Antropologia dowiodła nam, że w różnych miejscach świat bywa różnie definiowany. Nie chodzi tylko o to, że ludzie mają różne obyczaje, wierzą w różnych bogów i różnie wyobrażają sobie swój los pośmiertny. Rzecz raczej w tym, że światy różnych ludów przybierają odmienne kształty. Różnice ujawniają się na poziomie samych przesłanek metafizycznych: przestrzeń nie odpowiada geometrii euklidesowej, czas nie tworzy płynącego w jednym kierunku kontinuum, związki przyczynowo-skutkowe nie odpowiadają logice arystotelesowskiej, człowieka nie odróżnia się od tego, co nie jest człowiekiem, a życia od śmierci, jak dzieje się to w naszym świecie. Dowiadujemy się czegoś na temat kształtu owych innych światów z logiki miejscowych języków oraz z utrwalonych przez antropologów mitów i ceremoniałów. Za sprawą don Juana zamigotał przed nami świat czarownika z plemienia Yaqui, a ponieważ oglądamy ów świat pod działaniem substancji halucynogennych, realność naszego poznania różni się całkowicie od wspomnianych innych jego źródeł. Na tym polega szczególna wartość mniejszej książki.

Castaneda twierdzi słusznie, że świat ów, pomimo wszelkich różnic natury percepcyjnej, ma własną logikę wewnętrzną. Podjął próbę jej wyjaśnienia niejako od wewnątrz – opierając się na własnych, bogatych i bardzo osobistych przeżyciach z okresu, gdy pozostawał pod opieką don Juana – zamiast analizować ją w kategoriach naszej logiki. Jeśli przedsięwzięcie to nie zakończyło się całkowitym powodzeniem, to tłumaczyć to trzeba nie tyle ograniczeniem natury osobistej, ile ograniczeniami, jakie na percepcję nakładają nasza własna kultura i nasz język, mimo to udaje mu się przerzucić most pomiędzy światem czarownika z plemienia Yaqui a naszym, między rzeczywistością zwyczajną a niezwykłą.

Kluczowe znaczenie wejścia w światy inne od naszego – a zatem kluczowe znaczenie samej antropologii – polega na tym, że nasz własny świat jest również pewnym konstruktem kulturowym. Toteż doświadczając rzeczywistości innych światów, widzimy, czym jest nasz własny świat, dzięki czemu możemy na mgnienie oka ujrzeć świat rzeczywisty, czyli ten znajdujący się pomiędzy naszym konstruktem kulturowym a owymi innymi światami. Dlatego zarówno alegoria, jak i etnografia. Mądrość i poezja don Juana oraz rzetelny kunszt i poezja jego skryby stwarzają nam możliwość ujrzenia zarówno samych siebie, jak i rzeczywistości. I tak jak w każdej prawdziwej alegorii, widzimy tyle, ile umiemy dostrzec, a to, co widzimy, nie wymaga egzegezy.

Carlos Castaneda zainicjował swoje rozmowy z don Juanem jeszcze jako student antropologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Winniśmy mu wdzięczność za cierpliwość, odwagę i przenikliwość, z jakimi podejmuje wyzwanie w postaci podwójnego terminowania i relacjonuje nam szczegółowo swoje doświadczenia. W książce tej demonstruje on podstawową umiejętność dobrego etnografa: zdolność wejścia w obcy świat. Uważam, że odnalazł ścieżkę obdarzoną sercem.

Walter Goidschmidt

Para mi solo recorrer los caminos que tienen
Corazón, qualquier camino que tenga corazón
Por ahiyo recorro, y la unica prueba que
Vale es atrauesar todo su largo. Y por ahi
Yo recorro mirando, mirando, sin aliento.

(Ja wędruję tylko po ścieżkach
obdarzonych sercem, po ścieżkach,
które mogą mieć serce. Po nich wędruję,
bo przemierzyć je do końca to jedyne wyzwanie
warte podjęcia. Oto którędy wędruję i patrzę,
patrzę z zapartym tchem.)

Don Juan

(...) można spróbować tylko tego, żeby ustalić początek i kierunek nigdy nie kończącej się drogi. Pretensje do jakiegokolwiek wyczerpującego ujęcia byłyby co najmniej łudzeniem samego siebie. Uczeń może osiągnąć tu doskonałość jedynie w tym subiektywnym znaczeniu, że przekazuje wszystko, co tylko zdołał ujrzeć.

Georg Simmel

WPROWADZENIE

Będąc studentem antropologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, odbyłem latem 1960 roku kilka wypraw na Południowy Zachód w celu zebrania informacji o roślinach leczniczych używanych przez Indian zamieszkujących te obszary. Wydarzenia tu przeze mnie opisywane rozpoczęły się podczas jednej z tych wypraw. Czekałem w nadgranicznym miasteczku na autobus linii “Greyhound", rozmawiając z kolegą, który był moim przewodnikiem i pomocnikiem w prowadzonych przeze mnie badaniach. Raptem pochylił się on w moją stronę i powiedział szeptem, że białowłosy indiański starzec siedzący przed oknem jest znakomitym znawcą roślin, przede wszystkim – pejotlu. Poprosiłem kolegę, żeby poznał mnie z Indianinem.

Kolega pozdrowił go, a potem podszedł do niego, by wymienić uścisk dłoni. Rozmawiali ze sobą dłuższą chwilę, po czym kolega dał mi znak, bym do nich podszedł, zaraz jednak pozostawił mnie sam na sam ze starcem, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby nas ze sobą poznać. Indianin bynajmniej nie wyglądał na zakłopotanego. Przedstawiłem się, on zaś powiedział, że nazywa się Juan, i spytał, czym może mi służyć. Zwracając się do mnie, używał hiszpańskich form grzecznościowych. Z mojej inicjatywy wymieniliśmy uścisk dłoni, po czym na pewien czas zamilkliśmy. W milczeniu tym nie było napięcia, tylko naturalny i odprężony spokój. Na śniadej twarzy i karku Indianina widać było zmarszczki zdradzające wiek, uderzyło mnie jednak, że ciało ma jędrne i muskularne.

Powiedziałem mu, że chciałbym uzyskać informacje o roślinach leczniczych. Mimo że byłem niemal zupełnym ignorantem w sprawach pejotlu, zacząłem udawać, że wiem o nim mnóstwo, a nawet dałem mu do zrozumienia, że mógłby skorzystać na rozmowie ze mną. Nie przerywał mojej paplaniny, skinął tylko powoli głową i spojrzał na mnie bez słowa. Unikałem jego wzroku i skończyło się na tym, że zapadła pomiędzy nami martwa cisza. Zdawało mi się, że upłynęło mnóstwo czasu, nim wreszcie don Juan powstał z miejsca i wyjrzał przez okno. Nadjechał jego autobus. Pożegnał się ze mną i wyszedł z poczekalni.

Byłem podenerwowany tym, że plotłem bzdury i że przejrzały mnie na wylot jego niesamowite oczy. Kolega, który właśnie wrócił, próbował mnie pocieszyć, widząc, że nie zdołałem się niczego dowiedzieć od don Juana. Tłumaczył, że ów starzec często milczy i zachowuje się z rezerwą, ale niepokoju, jaki wywołało we mnie owo pierwsze spotkanie, nie dało się tak łatwo usunąć.

Postanowiłem ustalić miejsce pobytu don Juana, później zaś odwiedziłem go kilkakrotnie. Za każdym razem usiłowałem go nakłonić do poruszenia tematu pejotlu, ale bez skutku. Zaprzyjaźniliśmy się jednak bardzo, moje badania naukowe poszły w kąt, a w każdym razie skierowane zostały na tory nie mające nic wspólnego z moimi pierwotnymi zamierzeniami.

Kolega, który poznał mnie z don Juanem, powiedział mi później, że ów starzec nie pochodzi z Arizony, gdzie się spotkaliśmy, lecz należy do Indian z plemienia Yaqui zamieszkujących okolice

Sonory w Meksyku.

Początkowo uznałem don Juana za człowieka dość szczególnego rodzaju, doskonale znającego się na pejotlu i mówiącego nieźle po hiszpańsku. Ale ludzie, którzy go znali, uważali, że posiada on jakąś “tajemną wiedzę" i że jest *brujo.* Ten hiszpański wyraz oznacza czarownika, znachora, szamana. Używa się go zasadniczo na oznaczenie osoby wyposażonej w niezwykłe, zazwyczaj złe, moce.

Upłynął cały rok naszej znajomości, nim zaskarbiłem sobie zaufanie don Juana. Pewnego dnia oświadczył mi, że rozporządza pewną wiedzą przekazaną mu przez nauczyciela, którego nazwał swoim “dobroczyńcą"; nauczyciel ów kierował nim w ciągu swego rodzaju terminowania. Don Juan zaś postanowił mnie wybrać na swego ucznia, ale ostrzegł, że będę musiał głęboko zaangażować się w naukę, która potrwa długo i będzie uciążliwa.

Mówiąc o swoim nauczycielu, don Juan użył słowa *diablero.* Dowiedziałem się później, że określenia tego używają tylko Indianie z Sonory. Odnosi się ono do człowieka uprawiającego czarnoksięstwo, który potrafi zamieniać się w zwierzęta: w ptaka, psa, kota lub jakiekolwiek inne stworzenie. Podczas jednej z mych wizyt w *Sonarze* zdarzyła mi się rzecz niezwykła, dobrze ilustrująca stosunek Indian do *diableros.* Jechałem nocą samochodem w towarzystwie dwóch zaprzyjaźnionych Indian; w pewnej chwili ujrzałem zwierzę przypominające wyglądem psa, które przechodziło przez szosę. Jeden z Indian powiedział, że to nie pies, tylko wielki kojot. Zwolniłem i zjechałem na pobocze, żeby się lepiej przyjrzeć zwierzęciu. Zatrzymało się jeszcze na kilka sekund w świetle przednich reflektorów, po czym pobiegło w głąb cha-parralu. Był to z pewnością kojot, ale dwa razy większy niż normalnie. Rozmawiający z wielkim przejęciem Indianie stwierdzili zgodnie, że było to bardzo niezwykłe zwierzę, a jeden z nich zasugerował, że mógł to być *diablero.* Postanowiłem wykorzystać relację o tym zdarzeniu do badania opinii zamieszkujących te obszary Indian na temat istnienia *diableros.* Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którym opowiadałem tę historię, a potem zadawałem pytania. Poniższe trzy rozmowy stanowią zapis ich reakcji.

– Myślisz, Choy, że to był kojot? – zapytałem młodego mężczyznę, gdy wysłuchał mojej opowieści.

– Kto wie? To musiał być pies, bo zwierzę było za duże jak na kojota.

– A czy to nie mógł być *diablero!*

– Bzdura. Nie ma żadnych *diableros.*

– Czemu tak mówisz, Choy?

– Ludzie mają bujną wyobraźnię. Założę się, że gdybyś złapał zwierzę, przekonałbyś się, że to pies. Miałem kiedyś coś do załatwienia w innym miasteczku. Wstałem przed świtem i osiodłałem konia. Wyjeżdżając z osady, ujrzałem na drodze coś jakby cień wielkiego zwierzęcia. Koń stanął dęba i zrzucił mnie na ziemię. Ja też miałem stracha, ale okazało się, że to była kobieta idąca do miasteczka.

– To znaczy, Choy, że nie wierzysz w istnienie *diableros?*

– *Diableros!* A co to takiego ten twój *diablero?*

– Nie wiem, Choy. Wtedy w nocy jechałem razem z Manuelem, który powiedział mi, że to mógł być *diablero.* A może ty mi powiesz, co to takiego?

– Mówią, że *diablero* to *brujo,* który może się zmieniać, w co tylko zechce. Ale wszyscy wiedzą, że to bzdury. Tutejsi starcy wciąż gadają o *diableros,* ale wśród nas młodych nie znajdziesz takich bajarzy.

– Jak pani myśli, doña Luz, co to było za zwierzę? – spytałem kobietę w średnim wieku.

– Na pewno to wie jeden Pan Bóg, ale to chyba nie był kojot. Czasami wydaje się, że to kojot, ale to co innego. Ten kojot biegł czy się posilał?

– Właściwie to stał w miejscu, ale na początku chyba coś jadł.

– A jesteś pewien, że nie niósł czegoś w pysku?

– Może, ale czy to mogłoby mieć znaczenie?

– Mogłoby. Jeżeli niósł coś w paszczy, to nie był to kojot.

– Więc co?

– Mężczyzna lub kobieta.

– Jak się nazywają tacy ludzie, doña Luz? Nie odpowiedziała. Próbowałem jeszcze coś od niej wydobyć, ale bez powodzenia. Wreszcie odpowiedziała, że nie wie. Na pytanie, czy takich ludzi nazywa się *diableros,* odrzekła, że tak brzmi jedna z nazw, jakimi się ich określa.

– Pani zna jakiegoś *diablero?* – spytałem wówczas.

– Znałam jedną kobietę – odpowiedziała. – Została zabita. Byłam wtedy małą dziewczynką. Mówiono, że ta kobieta zamieniała się w sukę. Pewnej nocy do domu, w którym mieszkał biały człowiek, zakradł się pies, żeby ukraść trochę sera. Biały zabił psa strzałem z rewolweru, a dokładnie w tej samej chwili, kiedy go zastrzelił, ta kobieta zmarła w swojej chacie. Jej rodzina poszła do białego człowieka i zażądała odszkodowania. Biały człowiek słono zapłacił za to, że ją zabił.

– Jak mogli żądać odszkodowania, skoro biały zabił psa i nikogo więcej?

– Mówili, że biały dobrze wiedział, że to nie był pies, bo byli przy tym inni ludzie, którzy widzieli, jak pies stanął na tylnych łapach jak człowiek i przednimi sięgnął po ser na półce zawieszonej u powały. Ci ludzie czatowali na złodzieja, bo ktoś kradł noc w noc ser z domu tego białego. A więc on zabił złodzieja, wiedząc, że to nie pies.

– A czy dziś są jeszcze na świecie jacyś *diableros,* doña Luz?

– Te rzeczy są bardzo tajemnicze. Powiadają, że *diableros już* nie ma, aleja w to nie wierzę, bo ktoś z rodziny *diablero* musi zostać jego uczniem. *Diableros* rządzą się swoimi prawami, a jedno z nich mówi, że *diablero* musi przekazać swe tajemnice komuś z rodziny.

– Co to było za zwierzę, Genaro? – spytałem bardzo starego mężczyznę.

– Pies z któregoś ranczo w okolicy, bo co by innego?

– To mógł być *diablero!*

– *Diablero?* Zwariowałeś! Nie ma żadnych *diableros.*

– Chcesz powiedzieć, że dziś ich nie ma, czy że w ogóle nigdy nie istnieli?

– Kiedyś istnieli, owszem. To żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą. Ale ludzie się ich bali i kazali ich wszystkich pozabijać.

– Kto ich pozabijał, Genaro?

– Wszyscy członkowie plemienia. Ostatni *diablero, o* jakim słyszałem, nazywał się S[xxxx]. Za pomocą swoich czarów zabił dziesiątki, a może nawet setki ludzi. Mieliśmy tego dość, ludzie skrzyknęli się i pewnej nocy urządzili na niego zasadzkę, a schwytanego spalili *żywcem.*

– To było dawno temu, Genaro?

– W 1942.

– Widziałeś to na własne oczy?

– Nie, ale ludzie do dziś o tym gadają. Mówią, że nie została nawet garstka popiołu, choć stos był ze świeżego drewna. Została tylko wielka kałuża tłustej mazi.

Mimo że don Juan zaliczył swego dobroczyńcę do *diableros,* nie wymienił nigdy miejsca, gdzie pobierał nauki, ani nie podał tożsamości swego nauczyciela. W istocie don Juan ujawnił bardzo niewiele szczegółów dotyczących swego życia prywatnego. Powiedział jedynie, że urodził się na Południowym Zachodzie w 1891 roku, prawie całe życie spędził w Meksyku, w 1900 roku władze meksykańskie zesłały jego rodzinę wraz z tysiącami innych Indian z Sonory do środkowego Meksyku, tam też, a także w południowym Meksyku, mieszkał do 1940 roku. Don Juan sporo podróżował, a zatem jego wiedza mogła być produktem wielu wpływów. Mimo że uważał się za Indianina z Sonory, miałem wątpliwości, czy należy sytuować jego wiedzę wyłącznie w kontekście kultury Indian sonoryjskich. Nie zamierzam tu jednak konstruować precyzyjnej definicji kulturowego środowiska don Juana.

Moje terminowanie u don Juana rozpoczęło się w czerwcu 1961 roku. Przedtem widywałem go kilkakrotnie, zawsze jednak jako antropolog-obserwator. Na owym wczesnym etapie naszej znajomości kryłem się z tym, że notuję treść naszych rozmów. Później, mając zaufanie do swojej pamięci, odtwarzałem całą rozmowę ze wszystkimi szczegółami. Kiedy jednak począłem występować w roli terminatora, metoda notowania ukradkiem stała się bardzo uciążliwa, bo w naszych rozmowach poruszaliśmy wiele różnych zagadnień. Wówczas don Juan pozwolił mi – stanowczo jednak przeciwko temu protestując – zapisywać w sposób jawny wszystko, co mówiliśmy. Chętnie także zrobiłbym

zdjęcia i nagrania, ale na to na pewno by mi nie zezwolił.

Początkowo miejscem mojego terminowania była Arizona, następnie zaś Sonora, ponieważ w trakcie pobierania przeze mnie nauk don Juan przeniósł się do Meksyku. Postępowałem w ten sposób, że starałem się możliwie jak najczęściej widywać się z nim po kilka dni z rzędu. Nasze spotkania stały się częstsze i trwały dłużej podczas letnich miesięcy w latach 1961, 1962, 1963 i 1964. Patrząc z perspektywy czasu, sądzę, że taka metoda odbywania praktyki zaszkodziła nauce, gdyż opóźniała osiągnięcie stanu pełnego zaangażowania, jaki umożliwiłby mi zostanie czarownikiem. Z osobistego jednak punktu widzenia metoda ta była o tyle korzystna, że stwarzała mi możliwość choćby minimalnego oderwania się, co z kolei sprzyjało rozwojowi zmysłu badawczego krytycyzmu, to zaś byłoby niemożliwe, gdyby moje uczestnictwo stało się ciągłe. We wrześniu 1965 roku własnowolnie przerwałem terminowanie.

W kilka miesięcy po wycofaniu się nasunęła mi się po raz pierwszy myśl o tym, żeby w systematyczny sposób ułożyć swoje robocze notatki. Zebrane przeze mnie dane były dość obszerne i obejmowały informacje najróżniejszego rodzaju, toteż zacząłem od próby stworzenia systemu klasyfikacji. Podzieliłem dane według powiązanych ze sobą pojęć i sposobów postępowania; wyodrębnione w ten sposób dziedziny ułożyłem hierarchicznie, odpowiednio do stopnia subiektywnego znaczenia, a więc stosownie do wpływu, jaki na mnie wywarły. Otrzymałem w ten sposób następującą klasyfikację: sposoby użycia roślin halucynogennych, techniki i formuły używane przez czarowników, sposoby zdobycia i posługiwania się przedmiotami obdarzonymi mocą, sposoby użycia roślin leczniczych, pieśni i legendy.

Zastanawiając się nad zjawiskami, jakich doświadczyłem, uświadomiłem sobie, że moje wysiłki klasyfikacyjne dały w wyniku zaledwie inwentarz kategorii, wszelkie próby udoskonalenia mojego schematu musiałyby więc prowadzić tylko do powstania bardziej złożonego inwentarza. Nie o to mi chodziło. Podczas miesięcy, które nastąpiły po zaprzestaniu przeze mnie terminowania, odczułem potrzebę zrozumienia moich przeżyć i doświadczeń, które składały się na proces przekazywania mi za pomocą metod praktycznych i eksperymentalnych pewnego zwartego systemu wierzeń.

Od pierwszego spotkania, w którym uczestniczyłem, było dla mnie oczywiste, że nauki don Juana cechuje wewnętrzna spójność. Od momentu kiedy postanowił on przekazać mi swoją wiedzę, przystąpił do udzielania mi wyjaśnień w sposób uporządkowany. Odkrycie oraz zrozumienie porządku rządzącego tymi wyjaśnieniami okazało się zadaniem niesłychanie trudnym.

Tę niemożność zrozumienia trzeba chyba łączyć z faktem, że po czterech latach terminowania byłem wciąż początkującym. Wiedza don Juana oraz sposób jej przekazywania były z pewnością takie same jak jego “dobroczyńcy", toteż trudności, jakie napotkałem w zrozumieniu jego nauk, musiały przypominać kłopoty samego don Juana. Don Juan napomykał o owej analogii, stwierdzając mimochodem, że jako początkujący terminator nie mógł zrozumieć swego nauczyciela. Uwagi te zrodziły we mnie przekonanie, że niesamowity charakter przeżyć doświadczanych przez początkujących, obojętne, czy byli, czy też nie byli Indianami, czynił wiedzę czarowników niezrozumiałą. Dla mnie, człowieka Zachodu, zjawiska te miały charakter tak osobliwy, że właściwie nie mogłem ich wyjaśnić w kategoriach codziennego życia, toteż musiałem dojść do wniosku, że wszelkie próby sklasyfikowania zebranych przeze mnie w terenie danych oparte na mej własnej terminologii są skazane na niepowodzenie.

Wówczas stało się dla mnie jasne, że wiedzę don Juana trzeba analizować w sposób zgodny z jego własnym rozumieniem tej wiedzy; inny sposób uczynienia jej oczywistą i przekonującą nie istnieje. Usiłując pogodzić z sobą poglądy don Juana i moje, uświadomiłem sobie, iż ilekroć próbował on wyjaśnić mi swą wiedzę, używał pojęć, które jemu samemu pozwoliły ją “zrozumieć". Pojęcia te były dla mnie obce, toteż starania, by zrozumieć wiedzę don Juana na jego sposób, postawiły mnie w trudnej sytuacji. Moim zadaniem było więc przede wszystkim określenie sposobu, w jaki kategoryzuje on rzeczywistość. Pracując pod tym kątem, spostrzegłem, że sam don Juan kładł szczególny nacisk na określoną dziedzinę swych nauk – mianowicie na sposoby wykorzystania roślin halucynogennych. Opierając się na tym spostrzeżeniu, zrewidowałem swój schemat kategoryzacyjny.

Oddzielnie i przy różnych okazjach don Juan używał trzech roślin halucynogennych – pejotlu *(Lophophora williamsii),* liści bielunia *(Datura inoxia,* zwanego także *Datura meteloides)* oraz grzybów (być może *Psilocybe mexicana).* Halucynogenne właściwości tych trzech roślin znane były Indianom amerykańskim od czasów poprzedzających zetknięcie z Europejczykami. Ze względu na swe właściwości rośliny te znajdowały szerokie zastosowanie w leczeniu i w magii, dostarczając przyjemności i doprowadzając do stanu ekstazy. W konkretnym kontekście swych nauk don Juan wiązał użycie *Datura inoxia i Psilocybe mexicana* ze zdobyciem mocy, której uosobienie nazywał

“sprzymierzeńcem". Użycie *Lophophora williamsii* wiązał natomiast ze zdobyciem mądrości, czyli poznaniem właściwego sposobu życia.

Rośliny te były dla don Juana ważne dlatego, że posiadały zdolność wywoływania u człowieka stanów osobliwej percepcji. Pod jego przewodnictwem doświadczyłem serii takich stanów, dzięki czemu wiedza don Juana odsłoniła się przede mną i potwierdziła. Nazwałem je “stanami niezwykłej rzeczywistości", mając na myśli przeciwieństwo do zwykłej rzeczywistości codziennego życia. Podział ten opiera się na znaczeniu wpisanym w stany rzeczywistości niezwykłej. W kontekście wiedzy don Juana należało je uznać za realne, choć realność ta różniła się od realności zwyczajnej.

Don Juan uważał, że stany rzeczywistości niezwykłej są jedyną formą praktycznego poznania i jedynym środkiem zdobycia mocy. Dawał do zrozumienia, iż inne składniki jego nauk wiążą się ze zdobyciem mocy jako celem zasadniczym. Perspektywa ta przenikała stosunek don Juana do wszystkiego, co nie wiązało się bezpośrednio ze stanami rzeczywistości niezwykłej. Moje notatki terenowe usiane są odniesieniami do odczuć don Juana. W jednej z rozmów wspomina on na przykład, ;że niektóre przedmioty zawierają w sobie pewną ilość mocy. Sam nie darzył takich przedmiotów szacunkiem, ale stwierdził, że pomniejsi *brujos* korzystają często z ich pomocy. Pytałem go często o te przedmioty, ale wydawało się, iż nie ma najmniejszej ochoty na rozprawianie o nich. Kiedy jednak przy kolejnej okazji temat ten znów się pojawił, zgodził się, acz z niechęcią, o nich pomówić.

– Istnieją pewne przedmioty nasycone mocą – powiedział. – Są ich dziesiątki, a potężni ludzie sprawują nad nimi pieczę przy pomocy przyjaznych duchów. Te przedmioty to instrumenty, ale nie zwykłe instrumenty, tylko instrumenty śmierci. Są to jednak tylko narzędzia; nie posiadają mocy nauczania. Ściśle mówiąc, należy je zaliczyć do przedmiotów wojennych służących do walki, do zabijania, do miotania.

– Co to za przedmioty, don Juanie?

– Właściwie to nie są przedmioty, tylko typy mocy.

– W jaki sposób można je zdobyć?

– To zależy od rodzaju przedmiotu, jakiego potrzebujesz.

– Ile jest tych rodzajów?

– Powiedziałem już, że są ich dziesiątki, wszystko może być przedmiotem nasyconym mocą.

– A które są najpotężniejsze?

– Moc przedmiotu zależy od jego posiadacza, od tego, jaki jest to człowiek. Taki przedmiot w rękach drobnego *brujo* to prawie kpina, natomiast silny, potężny *brujo* daje siłę swoim instrumentom.

– Jakie zatem przedmioty występują najczęściej? Którym z nich *brujos* przyznają pierwszeństwo?

– Żadnym. Wszystkie posiadają moc, są takie same.

– Ty też jakieś posiadasz, don Juanie?

Nie odpowiedział, spojrzał tylko na mnie i roześmiał się. Przez dłuższą chwilę milczał, i pomyślałem, że drażnię go swoimi pytaniami.

– Na te różne typy mocy nałożone są ograniczenia – ciągnął dalej. – Ale jestem pewny, że to musi być dla ciebie nie do pojęcia. Upłynęło niemal całe moje życie, nim zrozumiałem, że sprzymierzeniec może sam przez się ujawnić wszelkie sekrety tych mniejszych mocy, odbierając im sporo powagi. Kiedyś, we wczesnej młodości, miałem takie przybory.

– Jakie to były przedmioty?

– *Maiz-pinto,* kryształy i pióra.

– Co to jest *maiz-pinto?*

– Ziarenko kukurydzy z pasemkiem czerwiem pośrodku.

– Jedno ziarenko?

– Nie. *Brujo* ma ich czterdzieści osiem.

– Do czego one służą, don Juanie?

– Każde może uśmiercić człowieka, przenikając do jego ciała.

– W jaki sposób może ono przeniknąć do ciała?

– To jest przedmiot nasycony mocą, która polega między innymi na tym, że przenika on do ciała.

– Co się z nim dzieje, kiedy przenika do ciała?

– Zagłębia się w nie, osiada na piersi lub w jelitach. Człowiek zaczyna chorować i jeśli *brujo,* który go pielęgnuje, jest słabszy od czarownika, w ciągu trzech miesięcy od przeniknięcia ziarenka do ciała następuje śmierć.

– Istnieje jakiś sposób, żeby go wyleczyć?

– Tylko jeden: wyssać ziarenko, ale mato którego *brujo* stać na taką odwagę. Może mu się udać wyssać ziarenko, ale jeśli zabraknie mu siły, żeby je odtrącić, przeniknie do jego wnętrza i zabije go zamiast tamtego.

– Ale w jaki sposób udaje się ziarenku dostać do ludzkiego ciała?

– Żeby ci to wyjaśnić, muszę opowiedzieć o czarach przy użyciu kukurydzy, od których nie znam potężniejszych. Czaruje się dwoma ziarenkami. Jedno wkłada się do świeżego pąka żółtego kwiatu. Kwiatek umieszcza się następnie w miejscu, gdzie zetknie się z nim ofiara: na drodze, którą codziennie przemierza, lub tam, gdzie zwykle przebywa. Wystarczy, że ofiara nastąpi na ziarenko lub zetknie się z nim w jakikolwiek sposób, a czar zaczyna działać. Ziarenko *zagłębia* się w ciało.

– Co się z nim dzieje od momentu dotknięcia go przez człowieka?

– Cała zawarta w nim moc wstępuje w człowieka, ziarenko odzyskuje wolność, stając się zwykłym ziarenkiem. Może pozostać na miejscu, gdzie dokonały się czary, lub zostać zmiecione, nieważne. Lepiej zmieść je w zarośla, gdzie je zje jakiś ptak.

– Czy ptak może je zjeść, nim dotknie je człowiek?

– Nie, zapewniam cię, że żaden ptak nie jest taki durny. Ptaki się go wystrzegają.

Następnie don Juan opisał bardzo skomplikowany sposób otrzymywania owych zawierających moc ziarenek.

– Trzeba pamiętać, że *maiz-pinto* to tylko narzędzie, a nie sprzymierzeniec – powiedział. – Wprowadziwszy to rozróżnienie, nie będziesz miał żadnych problemów. Jeśli jednak uznasz przybory tego rodzaju za najważniejsze, okażesz się głupcem.

– Czy te przedmioty są tak samo potężne jak sprzymierzeniec?

Don Juan zaśmiał się pogardliwie, nim odpowiedział. Wyglądało na to, że bardzo się starał zachować cierpliwość.

– W porównaniu ze sprzymierzeńcem *maiz-pinto,* kryształy i pióra to dziecinne zabawki. Są one potrzebne tylko wówczas, gdy człowiek nie ma sprzymierzeńca. Uganiać się za nimi to strata czasu, zwłaszcza w twoim wypadku. Powinieneś starać się pozyskać sprzymierzeńca; gdy ci się to uda, zrozumiesz, o czym teraz mówię. Przedmioty obdarzone mocą to jakby dziecinna zabawa.

– To nie tak, don Juanie – zaprotestowałem. – Chcę mieć sprzymierzeńca, ale chcę także wiedzieć wszystko, co możliwe. Sam mówiłeś, że wiedza to potęga.

– Nie, nie! – powiedział z naciskiem. – Moc zależy od tego, jakiego rodzaju wiedzę się posiada. Po cóż poznawać rzeczy bezużyteczne?

W systemie wierzeń don Juana zdobycie sprzymierzeńca oznaczało wyłącznie wykorzystanie stanów rzeczywistości niezwykłej, jakie wywoływał on u mnie za sprawą roślin halucynogennych. Uważał, że koncentrując się na tych stanach oraz pomijając inne aspekty wiedzy, jaką mi przekazywał, wyrobię sobie spójny pogląd na doświadczane przeze mnie zjawiska.

Podzieliłem przeto tę książkę na dwie części. W pierwszej przedstawiam wybór fragmentów mych notatek roboczych odnoszących się do stanów rzeczywistości niezwykłej, jakich doświadczyłem podczas terminowania. Ponieważ ułożyłem moje notatki w ten sposób, by nie zakłócały ciągłości narracji, ich chronologiczny porządek bywa niekiedy naruszony. Przystępowałem do opisu stanu rzeczywistości niezwykłej zawsze dopiero w kilka dni po jego przeżyciu, gdyż czekałem, aż będę w stanie potraktować to doświadczenie beznamiętnie i obiektywnie. Jednakże moje rozmowy z don Juanem zapisywałem na bieżąco, natychmiast po doświadczeniu stanu rzeczywistości niezwykłej; dlatego relacje z owych rozmów wyprzedzają niekiedy pełny opis przeżycia.

Notatki terenowe ukazują subiektywną wersję tego, co postrzegałem w trakcie doznawania

rzeczywistości niezwykłej. Wersja ta została tu przedstawiona w formie, w jakiej relacjonowałem ją don Juanowi, który żądał ode mnie dokładnego i wiernego przypomnienia sobie każdego szczegółu oraz wyczerpującej opowieści o każdym doznaniu. Podczas zapisywania owych doznań dodawałem mniej ważne szczegóły, dążąc do całkowitego odtworzenia tła poszczególnych stanów rzeczywistości niezwykłej. Pragnąłem opisać możliwie jak najdokładniej moje reakcje emocjonalne.

Moje notatki robocze przedstawiają również treść systemu wierzeń don Juana. Chcąc uniknąć typowych dla rozmowy powtórzeń, skondensowałem wielostronicowe wymiany pytań i odpowiedzi pomiędzy mną a don Juanem. Ponieważ jednak chciałem zarazem oddać ogólną atmosferę naszych rozmów, usunąłem jedynie te dialogi, które nie wnosiły niczego nowego do mego rozumienia wiedzy don Juana. On bowiem z rzadka udzielał mi informacji na ten temat; musiałem sondować go godzinami. Ale i tak swobodnie wykładał swą wiedzę przy niezliczonych okazjach.

W drugiej części przedstawiam analizę strukturalną przeprowadzoną wyłącznie na podstawie danych, o których mowa w części pierwszej. Analiza ta ma na celu wsparcie następujących twierdzeń:

1) don Juan prezentuje swe nauki w formie logicznego systemu,

2) system ten nabiera sensu jedynie wówczas, gdy bada się go pod kątem tworzących go jednostek strukturalnych, oraz

3) system ten ma na celu doprowadzenie ucznia do poziomu konceptualizacji wyjaśniającej rodzaj doświadczanych przezeń zjawisk.

1.

Notatki z pierwszej sesji, jaką odbyłem z don Juanem, noszą datę 23 czerwca 1961 roku. Wówczas to rozpoczęła się moja nauka. Wcześniej spotkałem się z nim kilkakrotnie, ale jedynie jako obserwator. Za każdym razem prosiłem go, by uczył mnie o pejotlu. Ignorował zawsze moją prośbę, nigdy jednak nie porzucał tego tematu całkowicie, a ja dopatrywałem się w jego wahaniu znaku, że być może większymi pochlebstwami dałoby się go nakłonić do mówienia.

Na sesji rozpoczętej 23 czerwca dał wyraźnie do zrozumienia, że mógłby uwzględnić moją prośbę pod warunkiem, że zachowam jasność umysłu i nie zapomnę, do czego zmierzam. Nie byłem w stanie spełnić takiego warunku, ponieważ poprosiłem go, by uczył mnie o pejotlu, mając na celu jedynie nawiązanie pomiędzy nami nici porozumienia. Sądziłem, iż znajomość tego tematu może sprawić, że będzie mówił chętniej i bardziej otwarcie, dzięki czemu znajdę dostęp do jego wiedzy o właściwościach roślin halucynogennych. Tymczasem don Juan zrozumiał moją prośbę dosłownie i zainteresował się, dlaczego zapragnąłem posiąść wiedzę o pejotlu.

Piątek, 23 czerwca 1961

– Będziesz mnie uczył o pejotlu, don Juanie?

– A czemu chciałbyś rozpocząć taką naukę?

– Naprawdę chciałbym zdobyć wiedzę o pejotlu. Czy samo pragnienie wiedzy nie jest wystarczającym powodem?

– Nie! Trzeba, żebyś poszukał we własnym sercu odpowiedzi na pytanie, dlaczego młodzieniec, jakim jesteś, pragnie podjąć się trudu nauki.

– A ty czemu uczyłeś się o pejotlu, don Juanie?

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo może powód był ten sam.

– Wątpię. Ja jestem Indianinem. Kroczymy po różnych ścieżkach.

– Jest tylko jeden powód: chcę się uczyć o pejotlu, chcę wiedzieć. Ale zapewniam cię, don Juanie, że nie mam złych zamiarów.

– Wierzę ci. Dym mi o tym powiedział.

– Proszę?

– Nieważne. Znam twoje zamiary.

– Chcesz powiedzieć, że mnie przejrzałeś?

– Można to i tak wyrazić.

– Więc będziesz mnie uczył?

– Nie!

– Bo nie jestem Indianinem?

– Nie. Bo nie znasz swego serca. Ważne jest to, żebyś dokładnie wiedział, dlaczego chcesz się tym zająć. Poznawanie Mescalito to sprawa szalenie poważna. Gdybyś był Indianinem, wystarczyłoby samo twoje pragnienie. Indianie odczuwają je bardzo rzadko.

Niedziela, 25 czerwca 1961

Spędziłem z don Juanem całe piątkowe popołudnie. Zamierzałem odjechać około siódmej wieczorem. Siedzieliśmy na werandzie przed domem don Juana i postanowiłem raz jeszcze zagadnąć go o naukę. Stało się to niemal czynnością rutynową i spodziewałem się, że znów odmówi. Spytałem, czy istnieje sposób, który pozwoliłby mu zaakceptować moje pragnienie wiedzy, jakbym był Indianinem. Upłynęło sporo czasu, nim odpowiedział. Musiałam zostać i czekać, bo wyglądało na to, że próbuje coś rozstrzygnąć.

Wreszcie odrzekł, że pewien sposób istnieje, i przystanął do nakreślenia zadania. Stwierdził, że jestem bardzo 0iięczony siedzeniem na podłodze i że trzeba, abym znalazł takie “miejsce" *[sitio],*

gdzie siedząc, nie odczuwałbym znużenia. Przez cały czas siedziałem z kolanami podciągniętymi pod brodę i rękami splecionymi wokół łydek. Kiedy wspomniał o moim zmęczeniu, poczułem, i że bolą mnie plecy i że jestem zupełnie wyczerpany.

Czekałem, żeby wyjaśnił, co rozumie przez “miejsce", ale nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby rozjaśnić tę kwestię. Pomyślałem, że może chodzi mu o to, żebym zmienił pozycję, toteż wstałem i usiadłem bliżej niego. Zaprotestował, stwierdzając jasno, że miał na myśli miejsce, gdzie człowiek w naturalny sposób czuje się zadowolony i silny. Poklepał podłogę tam, gdzie siedział, mówiąc, że to właśnie jest jego miejsce, i dodał, że postawioną przez niego zagadkę muszę rozwiązać sam, zabierając się od razu do dzieła.

Zadanie, które mi postawił, było prawdziwą łamigłówką. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, nie wiedziałem nawet, o co mu chodzi. Kilkakrotnie prosiłem o wskazówkę, choćby najdrobniejszą, która pomogłaby mi w ustaleniu punktu, gdzie czułbym się zadowolony i silny. Dowodziłem z uporem, że nie mam pojęcia, o co mu naprawdę chodzi, ponieważ nie rozumiem postawionego mi zadania. Poradził mi, żebym krążył po werandzie tak długo, aż znajdę owo miejsce.

Wstałem i zacząłem krążyć po podłodze. Poczułem się idiotycznie i usiadłem naprzeciw don Juana.

Bardzo się na mnie rozgniewał i zarzucił mi, że go nie słucham, dodając, że być może odechciało mi się nauki. Po chwili uspokoił się i wyjaśnił mi, że nie wszędzie siedzi się lub przebywa jednakowo dobrze, gdzieś na werandzie istnieje jedyne w swoim rodzaju miejsce, gdzie czułbym się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Moje zadanie polegało na tym, żeby odnaleźć to miejsce. Sposób postępowania był najogólniej taki, że powinienem “wczuwać się" we wszystkie dostępne punkty powierzchni werandy, dopóki nie będę mógł stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że odnalazłem ów właściwy.

Odparłem na to, że jakkolwiek weranda nie jest zbyt obszerna (12 x 8 stóp), liczba ewentualnych “miejsc" jest kolosalna; toteż sprawdzenie ich potrwałoby niezmiernie długo, tym bardziej że liczba możliwości jest właściwie nieograniczona, bo nie określił rozmiarów tego punktu. Daremne były moje wywody, don Juan wstał z podłogi i przestrzegł mnie surowo, że poszukiwania mogą mi zająć wiele godzin, nawet dni, ale jeśli nie rozwiążę zadania, mogę od razu wracać do domu, bo nie będzie mi miał nic do powiedzenia. Podkreślił, że wie, gdzie znajduje się moje miejsce, dlatego nie będę mógł go okłamać; stwierdził także, że tylko w ten sposób mógłby uznać za uzasadnione moje pragnienie poznania Mescalito. Dodał, że na tym świecie nie ma nic za darmo, a nauka wszystkiego, co jest do nauczenia, musi być trudna.

Poszedł za dom do chaparralu oddać mocz. Wszedł do wnętrza domu tylnym wejściem.

Pomyślałem, że polecenie odszukania rzekomego miejsca szczęśliwości jest w istocie sposobem na pozbycie się mnie, ale podniosłem się i zacząłem przemierzać werandę tam i z powrotem. Niebo było jasne i czyste. Doskonale widziałem cała werandę, ale i jej okolice. Szukałem chyba ponad godzinę, ale nie stało się nic, co pozwoliłoby mi zlokalizować owo miejsce. Zmęczyłem się chodzeniem i usiadłem, po paru minutach przesiadłem się w inne miejsce, później w jeszcze inne, aż w sposób dość systematyczny zbadałem całą powierzchnię podłogi. Usiłowałem “wyczuwać" różnice pomiędzy poszczególnymi miejscami, ale brakowało mi kryteriów rozróżniania. Miałem poczucie, że marnuję czas, ale nie ustawałem. Zracjonalizowałem to sobie w ten sposób, że odbyłem daleką podróż po to, żeby zobaczyć się z don Juanem, i nie mam nic innego do roboty.

Położyłem się na plecach i podłożyłem dłonie pod głowę niczym poduszkę. Następnie przewróciłem się na brzuch i leżałem tak przez chwilę. Tę metodę z przewracaniem się z pleców na brzuch powtórzyłem, przetaczając się po całej podłodze. Po raz pierwszy natknąłem się jakby na cień kryterium. Było mi cieplej, kiedy leżałem na plecach.

Zacząłem przetaczać się znowu, tym razem w przeciwnym kierunku, przemierzając ponownie całą powierzchnię i kładąc się twarzą do podłogi wszędzie tam, gdzie podczas pierwszej tury kładłem się twarzą do sufitu. Doznawałem tych samych wrażeń zimna i ciepła – w zależności od pozycji – ale poza tym nie występowały żadne różnice.

Wówczas wpadłem na myśl, która wydała mi się genialna: miejsce don Juana! Usiadłem na nim, a potem położyłem się, najpierw twarzą do podłogi, później na plecach, ale miejsce niczym nie różniło się od pozostałych. Wstałem. Miałem dosyć. Chciałem pożegnać się z don Juanem, ale krępowałem się go budzić. Spojrzałem na zegarek. Druga w nocy! Turlałem się po podłodze przez sześć godzin.

W tej samej chwili pojawił się don Juan i skierował się za dom do chaparralu. Wróciwszy, stanął w drzwiach. Poczułem całkowite zniechęcenie; miałem ochotę powiedzieć mu coś paskudnego i

odjechać. Uświadomiłem sobie jednak, że to nie jego wina; to ja sam zdecydowałem się na ten cały absurd. Powiedziałem mu, że nie dałem rady – przez całą noc turlałem się po podłodze jak kretyn i dalej nie potrafię dopatrzeć się w jego zagadce żadnego sensu.

Roześmiał się i odpowiedział, że go to nie dziwi, bo obrałem nieprawidłowy sposób postępowania. Nie używałem oczu. To prawda, tylko że byłem absolutnie pewny, iż don Juan polecił mi wyczuć różnicę. Powiedziałem o tym, ale twierdził, że można czuć oczyma, gdy nie wpatrują się one prosto w przedmiot. Co do mnie – mówił – nie miałem innego sposobu rozwiązania tej zagadki prócz użycia jedynego dostępnego mi środka – mych oczu.

Wszedł do domu. Byłem przekonany, że mnie cały czas obserwował. Sądziłem, iż tylko w ten sposób mógł się dowiedzieć, że nie używałem oczu.

Znów zacząłem się turlać, była to bowiem najwygodniejsza metoda. Tym razem jednak, wsparłszy podbródek na dłoniach, przyglądałem się każdemu szczegółowi.

Po upływie pewnego czasu w otaczającej mnie ciemności nastąpiła zmiana. Kiedy skupiłem wzrok na punkcie znajdującym się bezpośrednio przede mną, całe moje pole widzenia rozjarzyło się na obrzeżach jednolitym zielonkawożółtym kolorem. Skutek był oszałamiający. Ze wzrokiem utkwionym w punkt przede mną zacząłem czołgać się ukosem na brzuchu, małymi odcinkami długości około jednej stopy.

Nagle, prawie na środku podłogi, uświadomiłem sobie kolejną zmianę zabarwienia. W punkcie położonym na prawo ode mnie – wciąż na obrzeżu mego pola widzenia – kolor zielonkawożółty zamienił się w intensywny fiolet. Całą uwagę skupiłem na tym miejscu. Fiolet, choć zbladł, wciąż jarzył się jednostajnym blaskiem, *gdy* się w niego wpatrywałem.

Oznaczywszy owo miejsce swoją kurtką, zawołałem don Juana. Wyszedł na werandę. Ogarnęło mnie prawdziwe podniecenie – rzeczywiście dostrzegłem zmianę kolorów. Wydawało się, że nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia, ale polecił mi usiąść w owym miejscu i opowiedzieć mi o swoich wrażeniach.

Usiadłem, potem zaś położyłem się na plecach. Stojąc nieopodal, ponawiał pytanie o moje samopoczucie, nie odczuwałem jednak żadnej różnicy. Usiłowałem poczuć ja lub spostrzec przez mniej więcej piętnaście minut, W czym don Juan cierpliwie mi towarzyszył. Miałem dość. W ustach poczułem metaliczny posmak. Nagle rozbolała mnie głowa. Zbierało mi się na wymioty. Myśl O moich absurdalnych wysiłkach doprowadzała mnie do szewskiej pasji. Wstałem.

Don Juan zauważył widocznie moją desperację. Bez cienia uśmiechu oświadczył z wielką powagą, że muszę być wobec siebie nieugięty, jeśli chcę się czegoś nauczyć. Mam tylko dwie możliwości – ciągnął – zrezygnować i wracać do domu, wówczas nie nauczę się nigdy, albo rozwiązać zagadkę.

Ponownie wszedł do środka. Chciałem natychmiast odjechać, ale byłem zbyt zmęczony, żeby prowadzić, a poza tym dostrzeżenie kolorów było tak zdumiewające, że z pewnością musiało stanowić swoiste kryterium, może należało odkryć jakieś inne zmiany. Na odjazd było zresztą za późno. A zatem usiadłem, wyprostowałem nogi i zacząłem wszystko od początku.

Podczas tej rundy przetaczałem się szybko przez całą podłogę – omijając miejsce don Juana – a następnie zacząłem posuwać się w drugą stronę. Kiedy znalazłem się na środku, spostrzegłem kolejną zmianę zabarwienia, również na skraju mego pola widzenia. Jednolity zielonożółty kolor likieru chartreuse zamienił się w jednym punkcie na prawo ode mnie w ostry kolor grynszpanu. Trwało to jakiś czas, po czym nastąpiła nagła metamorfoza w kolejny ustalony kolor, różniący się od wcześniej przeze mnie odkrytego. Ściągnąłem but, żeby oznaczyć to miejsce, po czym przetaczałem się dalej po całej podłodze, aż przemierzyłem ją we wszystkich możliwych kierunkach. Żadna inna zmiana zabarwienia nie nastąpiła.

Powróciłem do miejsca oznaczonego butem i zbadałem je. Znajdowało się w odległości pięciu-sześciu stóp od miejsca oznaczonego kurtką, w kierunku południowo-wschodnim. Nieopodal leżał wielki odłamek skalny. Przeleżałem tam dłuższy czas, próbując natrafić na jakiś trop i przyglądając się najmniejszym szczegółom, ale nie odczułem żadnej różnicy.

Postanowiłem spróbować w drugim miejscu. Wykonałem szybki obrót, nie wstając z kolan; właśnie miałem się położyć na kurtce, gdy poczułem, że ogarnia mnie niezwykły rodzaj lęku. Przypominało to bardziej fizyczne wrażenie jakiegoś napierania na brzuch. Poderwałem się na równe nogi i natychmiast cofnąłem. Zjeżyły mi się włosy na karku. Nogi wygięły się lekko w łuk, korpus wysunął się w przód, a ręce wyciągnęły sztywno przed siebie, palce zaś rozczapierzyły się jak pazury.

Spostrzegłszy dziwaczną postawę, jaką przyjęło moje ciało, przeląkłem się jeszcze bardziej.

Mimowolnie podszedłem w stronę głazu obok mego buta i usiadłem na nim. Z głazu osunąłem się na podłogę. Próbowałem zrozumieć powód, dla którego ogarnęło mnie takie przerażenie. Pomyślałem, że jest nim zmęczenie. Było już prawie jasno. Czułem się głupio i nieswojo. A jednak nie potrafiłem wytłumaczyć sobie przyczyny mego lęku ani ustalić, czego ode mnie chce don Juan.

Postanowiłem spróbować po raz ostatni. Wstałem i zbliżyłem się powoli do miejsca oznaczonego kurtką – ponownie poczułem ten sam strach. Tym razem starałem się za wszelką cenę zachować panowanie nad sobą. Usiadłem, potem zaś ukląkłem, chcąc położyć się twarzą do podłogi, ale nie byłem w stanie przemóc lęku. Wysunięte przed siebie ręce oparłem o podłogę. Mój oddech uległ przyspieszeniu, żołądek podszedł mi do gardła. Ogarnęła mnie absolutna panika i walczyłem z sobą, żeby nie poderwać się do ucieczki. Niewykluczone, że don Juan mnie obserwował. Powolutku przeczołgałem się w miejsce oznaczone butem i usiadłem wsparty plecami o skałę, Chciałem chwilę odpocząć i pozbierać myśli, tymczasem zasnąłem.

Usłyszałem nad głową śmiech i głos don Juana. Obudziłem się.

– No i znalazłeś – powiedział.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, ale zapewnił mnie ponownie, że chodziło właśnie o to miejsce, gdzie usnąłem. Zapytał znowu, jak się czuję, leżąc tam. Odpowiedziałem, że właściwie nie widzę żadnej różnicy.

Polecił mi porównać moje odczucia teraźniejsze z tym, *co* czułem, leżąc w tamtym drugim miejscu. Uprzytomniłem sobie, że absolutnie nie mogę wytłumaczyć lęku, jaki odczuwałem dzisiejszej nocy. Tonem nieco prowokującym nakazał mi usiąść na tamtym miejscu. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu lękałem się to zrobić i nie usiadłem. Stwierdził wówczas, że tylko głupiec nie potrafiłby dostrzec różnicy.

Zapytałem, czy oba te miejsca mają jakieś specjalne nazwy. Odpowiedział, że to, w którym czuję się dobrze, nazywa się *sitio,* a tamto drugie to nieprzyjaciel; oba stanowią klucz do ludzkiego samopoczucia, zwłaszcza w wypadku człowieka dążącego do zdobycia wiedzy. Samo siedzenie w takim miejscu daje człowiekowi siłę wyższego rodzaju, nieprzyjaciel natomiast osłabia go, a nawet może spowodować jego śmierć. Dodał, że ucinając sobie drzemkę na swoim miejscu, uzupełniłem zapas energii, którą tak szczodrze trwoniłem ubiegłej nocy. Stwierdził również, że kolory, jakie dostrzegałem w każdym poszczególnym punkcie, oddziałują dokładnie tak samo, zwiększając bądź uszczuplając siły.

Spytałem, czy oprócz tych dwóch istnieją jeszcze jakieś inne ważne dla mnie miejsca i w jaki sposób miałbym ich ewentualnie szukać. Odpowiedział, że miejsc dających się z tamtymi porównać znajduje się na świecie sporo, a najlepszym sposobem ich odnalezienia byłoby ustalenie charakterystycznych dla nich kolorów.

Nie było dla mnie całkiem jasne, czy rozwiązałem zadanie; właściwie zaś nie byłem nawet zupełnie przekonany, że w ogóle istniał jakiś problem – nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że moje przeżycia miały charakter wymuszony i dozwolony. Byłem pewien, że don Juan obserwował mnie przez całą noc, po czym postanowił mnie udobruchać stwierdzeniem, że każde miejsce, w którym bym zasnął, jest tym, którego szukałem. Nie byłem jednak w stanie dostrzec logicznego uzasadnienia takiego postępowania, a kiedy polecił mi usiąść na tamtym drugim miejscu, nie zdołałem. Istniało osobliwe rozdarcie między moim praktycznym doznaniem lęku przed “tamtym" miejscem a moją racjonalną analizą całego wydarzenia.

Don Juan jednakże był absolutnie przekonany, że mi się powiodło, w związku z czym powiadomił mnie, iż zamierza udzielić mi nauk o pejotlu.

– Prosiłeś, żeby cię uczyć o Mescalito – powiedział. – Chciałem się przekonać, czy masz na tyle mocny charakter, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Z Mescalito nie ma żartów. Trzeba panować nad swymi zasobami energii. Od tej chwili mogę uważać, że samo twoje pragnienie stanowi dostateczny powód rozpoczęcia nauki.

– Naprawdę będziesz mnie uczył o pejotlu?

– Wolę nazywać go Mescalito. Mów tak samo.

– Kiedy rozpoczynamy?

– To nie takie proste. Wpierw musisz być gotowy.

– Chyba jestem.

– To poważna sprawa. Musisz zaczekać, aż nie będzie najmniejszych wątpliwości, a wtedy spotkacie się.

– Czy muszę sam się przygotować?

– Nie. Musisz po prostu czekać. Niewykluczone, że wkrótce z wszystkiego zrezygnujesz. Łatwo się męczysz. Wczoraj w nocy byłeś gotów zrezygnować, jak tylko pojawiły się trudności. Mescalito wymaga bardzo poważnych zamiarów.

2.

Poniedziałek, 7 sierpnia 1961

Przybyłem do domu don Juana w stanie Arizona w piątek około siódmej wieczorem. Na werandzie siedziało wraz z nim pięciu innych Indian. Pozdrowiwszy don Juana, usiadłem w oczekiwaniu na to, aż ktoś się odezwie. Po chwili formalnego milczenia jeden z mężczyzn wstał» podszedł ku mnie i rzekł: *Buenos noches.* Podniosłem się z miejsca i odpowiedziałem: *Buenos noches.* Wówczas wstali wszyscy pozostali Indianie, podeszli do mnie i wymamrotaliśmy swoje *buenas noches* oraz wymieniliśmy z sobą uścisk dłoni, lekko dotykając nawzajem czubków palców partnera bądź podtrzymując jego dłoń przez krótką chwilę, by ją potem natychmiast wypuścić.

Zajęliśmy ponownie swoje miejsca. Indianie sprawiali wrażenie dość nieśmiałych; nie znajdowali słów, choć Wszyscy mówili po hiszpańsku.

Było chyba wpół do ósmej, gdy nagle wszyscy powstali i ruszyli w stronę tylnej części domu. Przez dłuższy czas nikt się nie odezwał. Don Juan dał mi znak, żebym szedł za nim; wsiedliśmy do starej półciężarówki, którą tam zaparkowano. Usiadłem z tyłu wraz z don Juanem i dwoma młodszymi Indianami. Nie było tam poduszek ani ławek, a siedzenie na twardej metalowej podłodze nie należało do przyjemności, zwłaszcza odkąd zjechaliśmy z szosy na polną drogę. Don Juan powiedział mi na ucho, że jedziemy do domu jednego z jego przyjaciół, który przygotował dla mnie siedem *mescalitos.*

– A ty sam nie masz ani jednego, don Juanie? – spytałem wówczas.

– Mam, ale nie mógłbym ci ich zaproponować, bo musi to zrobić ktoś inny.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego?

– Dlatego, że być może nie przypadniesz mu do gustu a wówczas nigdy nie zdołasz go poznać w sposób pełen uczucia, czyli właściwy, i dojdzie do zerwania naszej przyjaźni.

– Czemuż miałbym mu się nie spodobać? Nic mu przecież nie zrobiłem.

– Nie trzeba nic robić, żeby mu się spodobać lub nie. Albo cię przyjmie, albo odrzuci.

– A jeśli mnie nie przyjmie, to czy można jakoś sprawić, żeby mnie polubił?

Zdaje się, że tamci dwaj usłyszeli moje pytanie i roześmiali się.

– Nie! Obawiam się, że na to nie ma żadnego sposobu! – odpowiedział don Juan.

Odwrócił się ode mnie i nie mogłem dalej z nim rozmawiać.

Jechaliśmy jeszcze co najmniej godzinę, nim zatrzymaliśmy się naprzeciw niewielkiego domu. Było już całkiem ciemno i kiedy kierowca zgasił przednie światła, widziałem jedynie niewyraźny zarys budynku.

Młoda kobieta, sądząc po akcencie Meksykanka, starała się krzykiem zmusić ujadającego psa do zamilknięcia. Wysiedliśmy z ciężarówki i weszliśmy do środka. Mijając kobietę, Indianie mamrotali kolejno swoje *buenas noches.* Odpowiadała, a potem łajała psa dalej.

Znaleźliśmy się w obszernej izbie, pełnej najrozmaitszych przedmiotów. Przyćmione światło maleńkiej żarówki nadawało temu miejscu dość ponury wygląd. Pod ścianami stały krzesła z połamanymi nogami i zapadniętymi siedzeniami. Trzej spośród przybyłych mężczyzn usiedli na tapczanie, największym meblu w izbie. Tapczan był bardzo stary i na całej długości zapadnięty aż po podłogę, w przyćmionym świetle wydawał się czerwony i brudny. Reszta nas usiadła na krzesłach. Zapadło długie milczenie. Wtem jeden z mężczyzn wstał i wyszedł do drugiego pokoju. Miał chyba ponad pięćdziesiąt lat był śniady, wysoki i krzepki. Po chwili wrócił z dzbankiem na kawę. Otwarł wieko i podał mi dzbanek: w środku znajdowało się siedem kawałków jakiejś dziwnej substancji. Różniły się kształtem i konsystencją. Były okrągłe, inne miały podłużny kształt. W dotyku przypominały miąższ orzecha włoskiego bądź powierzchnię korka. Brązowy kolor nadawał im wygląd twardych, suchych łupin orzecha. Obracałem je w dłoniach, dłuższą chwilę pocierając palcami ich powierzchnię.

– To się żuje *[esto se masca]* – powiedział szeptem don Juan.

Dopóki się nie odezwał, nie zdawałem sobie sprawy, że siedział tuż obok. Spojrzałem na innych, ale nikt na mnie nie patrzył; mężczyźni rozmawiali z sobą bardzo ściszonymi głosami. Nadeszła chwila

całkowitego braku zdecydowania i lęku. Ledwie panowałem nad sobą.

– Muszę wyjść do ubikacji – powiedziałem do don Juana. – Wyjdę się trochę przejść.

Podał mi dzbanek, a ja włożyłem do środka gałki pejotlu. Wychodziłem już z izby, gdy mężczyzna, który podał mi dzbanek, wstał, podszedł do mnie i powiedział, że muszla klozetowa znajduje się w drugiej izbie.

Umieszczona była prawie na wprost drzwi. Tuż obok stało obszerne łoże zajmujące ponad połowę przestrzeni. Spała w nim tamta kobieta. Jakiś czas stałem znieruchomiały w drzwiach, po czym wróciłem do izby, gdzie przebywali pozostali mężczyźni.

Właściciel domu przemówił do mnie po angielsku:

“Don Juan mówi, że pochodzisz z Ameryki Południowej. Czy jest tam *mescal?"* Odpowiedziałem, że nie mam najmniejszego pojęcia.

Wydawało się, że Ameryka Południowa ich ciekawi; rozmawialiśmy dłuższą chwilę o tamtejszych Indianach. Jeden z mężczyzn zapytał mnie wówczas, dlaczego chcę skosztować pejotlu. Odpowiedziałem, że chcę się przekonać, co to takiego. Roześmiali się płochliwie.

Don Juan wydał mi łagodnie polecenie: “Żuj, przeżuwaj [Masca, masca]".

Ręce mi zwilgotniały, a żołądek się skurczył. Dzbanek z gałkami stał na podłodze obok krzesła. Pochyliwszy się, wyciągnąłem jedną na chybił trafił i włożyłem do ust. Miała nieświeży smak. Rozgryzłem ją na dwie części i zacząłem żuć jeden kawałek. Poczułem mocną, szczypiącą gorycz, w okamgnieniu zdrętwiały mi usta. W miarę jak żułem, gorycz narastała, powodując napływ niesamowicie obfitej śliny. Jeśli chodzi o dziąsła i jamę ustną, to miałem wrażenie, jakbym jadł kawałek słonego, suszonego mięsa lub ryby, odczuwając niejako przymus jeszcze intensywniejszego żucia. Po pewnym czasie skończyłem żuć drugi kawałek; usta miałem tak zdrętwiałe, że nie odczuwałem już gorzkiego smaku. Gałka pejotlowa była zbitkiem strzępków podobnie jak włóknista część pomarańczy lub trzcina cukrowa – nie wiedziałem, czy mam ją połknąć, czy wypluć. Kiedy się nad tym zastanawiałem, gospodarz powstał i zaprosił wszystkich na werandę.

Wyszedłszy z izby, usiedliśmy w ciemności. Na werandzie było całkiem wygodnie, a pan domu przyniósł butelkę tequili.

Mężczyźni usiedli rzędem, wsparci plecami o ścianę. Zajmowałem miejsce najbardziej na prawo. Zaraz obok mnie siedział don Juan, który postawił mi dzbanek z pejotlem między nogami. Następnie podał mi butelkę, która krążyła z rąk do rąk, i powiedział, żebym spłukał gorycz łykiem tequili.

Wyplułem strzępki pierwszej gałki i pociągnąłem łyczek. Nie pozwolił mi połknąć, tylko kazał przepłukać usta, aby zatrzymać napływ śliny. Ślina i tak napływała dalej, ale alkohol z pewnością pomógł pozbyć się choć częściowo goryczy w ustach.

Don Juan dał mi kawałek suszonej moreli, a może figi – z powodu ciemności nie byłem w stanie zobaczyć, nie mogłem także poczuć smaku – nakazując mi, bym żuł go dokładnie i powoli, bez pośpiechu. Z połknięciem miałem kłopoty.

Po krótkiej przerwie butelka znów zaczęła krążyć. Don Juan podał mi kawałek kruchego suszonego mięsa. Powiedziałem, że nie mam ochoty na jedzenie.

– To nie jest jedzenie – odpowiedział stanowczo.

Cały schemat powtórzył się sześć razy. Pamiętam, że zżułem już sześć gałek pejotlu, kiedy rozmowa nagle bardzo się ożywiła. Nie potrafiłem określić języka, w jakim ją prowadzono, ale temat był bardzo ciekawy i wszyscy w niej uczestniczyli, ja zaś starałem się słuchać bardzo uważnie, bym także mógł wziąć w niej udział. Kiedy jednak spróbowałem się odezwać, uświadomiłem sobie, że nie potrafię – słowa błąkały mi się chaotycznie po głowie.

Siedziałem oparty o ścianę, przysłuchując się rozmawiającym mężczyznom. Mówili po włosku, powtarzając ciągle jedno i to samo zdanie o głupocie rekinów. Wydawało mi się, że temat jest logicznie spójny. Powiedziałem kiedyś don Juanowi, iż rzekę Kolorado w Arizonie pierwsi Hiszpanie nazywali “el rio de los tizones" (rzeką węgla drzewnego), potem ktoś błędnie napisał lub źle odczytał wyraz “tizones" i rzekę nazwano “el rio de los tiburones" (rzeką rekinów). Byłem przekonany, że rozmawiają o tej opowiastce, ale nigdy bym nie pomyślał, że któryś z nich włada językiem włoskim.

Zachciało mi się wymiotować, ale nie przypominam sobie, bym to zrobił. Spytałem, czy ktoś zechciałby mi przynieść odrobinę wody. Odczuwałem niewymowne pragnienie.

Don Juan przyniósł mi wielki rondel. Postawił go na ziemi w pobliżu ściany. Przyniósł także mały kubek lub puszkę. Zanurzył ją w rondlu i podał mi, mówiąc, żebym nie pił, tylko odświeżył wodą usta.

Woda wyglądała dziwnie: lśniła i błyszczała niczym gęsty lakier. Chciałem zagadnąć o to don Juana i mozoliłem się, by wyrazić myśli po angielsku, gdy uprzytomniłem sobie, że on nie mówi tym językiem. Przeżyłem chwilę wielkiej konsternacji i zdałem sobie sprawę, że choć wiem, co mam na myśli, nie mogę tego wypowiedzieć. Chciałem skomentować dziwny wygląd wody, ale w następstwie tego pragnienia nie pojawiły się słowa; miałem uczucie, że zamiast nich z moich ust dobywają się moje nie wypowiedziane myśli niejako w płynnej formie. Miałem wrażenie, jakbym wymiotował bez najmniejszego wysiłku, bez skurczów przepony. To był przyjemny strumień płynnych słów.

Napiłem się. Wrażenie, że wymiotuję, ustąpiło. Odtąd nie słyszałem już żadnych hałasów, zauważyłem natomiast, że mam trudności z ogniskowaniem wzroku. Rozejrzałem się za don Juanem, a odwracając głowę, spostrzegłem, że moje pole widzenia skurczyło się do rozmiarów niewielkiego koła przed oczami. Nie było to doznanie budzące strach czy też nieprzyjemne, przeciwnie – było to coś nowego: mogłem dosłownie posuwać się po terenie, skupiając wzrok na jednym punkcie, a potem kręcąc powoli głową w dowolnym kierunku. Kiedy po raz pierwszy zszedłem z werandy, spostrzegłem, że wszędzie panuje ciemność; w oddali unosiła się tylko łuna miejskich świateł. W obrębie jednak mego kolistego pola widzenia wszystko było wyraźnie widać. Zapomniałem o don Juanie i pozostałych mężczyznach i zająłem się wyłącznie przeczesywaniem terenu za pomocą mego wyostrzonego wzroku.

Ujrzałem miejsce, w którym podłoga werandy stykała się ze ścianą. Powoli zwracając głowę w prawą stronę – idąc wzrokiem za ścianą – zobaczyłem don Juana, który siedział o nią oparty. Przekręciłem głowę w lewo, chcąc skoncentrować wzrok na wodzie. Natrafiłem na dno rondla; uniósłszy lekko głowę, ujrzałem zbliżającego się czarnego psa średniej wielkości. Widziałem, jak podchodzi do wody. Zaczął pić. Uniosłem rękę, żeby go odepchnąć;

.W tym celu zogniskowałem na nim moje precyzyjne widzenie i nagle ujrzałem, że pies staje się przezroczysty. Woda była lśniącym, lepkim płynem. Widziałem, jak przecieka przez gardło w głąb psiego ciała. Widziałem, jak przepływa równomiernie przez każdy jego zakamarek, a następnie tryska przez każdy włos psiej sierści. Widziałem, jak ów opalizujący płyn przepływa przez każdy włosek, by następnie wydostać się z sierści i utworzyć długą, jedwabistą grzywę.

Wtedy to ogarnęły mnie silne konwulsje i w mgnieniu oka znalazłem się wewnątrz tunelu – bardzo niskiego i wąskiego, twardego i dziwnie zimnego. W dotyku przypominał ścianę z mocnej cynfolii. Stwierdziłem, że siedzę na dnie tunelu. Spróbowałem wstać, ale uderzyłem głową o metalowe sklepienie, a tunel kurczył się, dopóki nie zacząłem się dusić. Pamiętam, że musiałem doczołgać się do kolistego miejsca, gdzie kończył się tunel; gdy tam wreszcie dotarłem – jeśli dotarłem – zupełnie zapomniałem o psie, don Juanie i o sobie samym. Byłem wykończony. Ubranie miałem przesiąknięte zimną, lepką cieczą. Przetaczałem się tam i z powrotem, próbując znaleźć miejsce, gdzie mógłbym odpocząć, gdzie serce nie tłukłoby się tak strasznie. W którymś momencie ponownie ujrzałem psa.

Wówczas natychmiast odzyskałem pamięć i nagle wszystko stało się absolutnie jasne. Odwróciłem się, szukając wzrokiem don Juana, ale nie byłem w stanie dostrzec niczego – lub nikogo. Mój wzrok mógł dostrzec wyłącznie psa, który zaczynał opalizować; jego ciało promieniowało intensywnym światłem. Znowu ujrzałem przepływającą przezeń wodę, jarzącą się niczym żar ogniska. Dopadłem naczynia z wodą, zanurzyłem w nim twarz i piłem razem z psem. Ręce oparłem na ziemi przed sobą i pijąc, widziałem, jak ciecz przepływająca przez moje żyły mieni się na czerwono, żółto, zielono. Piłem coraz więcej.

Piłem tak długo, aż sam się cały rozjarzyłem i rozpłomieniłem. Piłem, dopóki ciecz nie uszła wszystkimi porami mej skóry, wydostając się na zewnątrz w postaci jedwabistych włókien, aż i mnie urosła długa, błyszcząca i mieniąca się barwami tęczy grzywa. Spojrzałem na psa – miał taką samą grzywę. Najwyższa błogość ogarnęła całe moje ciało i pobiegliśmy razem w stronę żółtego ciepła promieniującego z jakiegoś nieokreślonego miejsca. Dotarłszy tam, zaczęliśmy figle. Figlowaliśmy i mocowaliśmy się tak długo, aż poznałem jego pragnienia, a on poznał moje. Na zmianę poruszaliśmy sobą, niczym w teatrze lalek. Zaciskając palec u nóg, mogłem wprawić w ruch jego łapy, ilekroć natomiast pies pochylił łeb, odczuwałem nieodpartą chęć skakania. Największy jednak psi figiel polegał na tym, że zmuszał mnie do drapania się nogą po głowie w pozycji siedzącej; dokonywał tej sztuczki, machając zamaszyście uszami. Ta psota wydawała mi się nadzwyczaj śmieszna. Cóż za wdzięk i ironia, jakie mistrzostwo, myślałem. Ogarnęła mnie nie dająca się ^opisać euforia. Śmiałem się, dopóki nie zaczęło mi brakować tchu.

Poczułem wyraźnie, że nie mogę otworzyć oczu; mój wzrok natrafia na taflę wody. Ten bardzo nieprzyjemny stan trwał długo; wielki ból pomieszany był z trwogą, że choć nie mogę się obudzić, nie jestem pogrążony we śnie. A potem z wolna świat stawał się przejrzysty i odzyskał ostrość konturów. Pole mego widzenia było znów koliste i rozległe, czemu towarzyszył normalny odruch świadomości nakazujący rozejrzeć się w poszukiwaniu tamtej wspaniałej istoty. Wówczas to nadszedł najtrudniejszy moment. Przejście z mego stanu normalnego odbyło się w ten sposób, że prawie nie zdałem sobie z niego sprawy: zachowałem świadomość, a moje odczucia i myśli były tego logicznym wynikiem, samo przejście zaś nastąpiło gładko i wyraźnie. Ale owa druga zmiana, przebudzenie do świadomości poważnej i trzeźwej, była autentycznym szokiem. Zapomniałem, że jestem człowiekiem! Smutek tej w żaden sposób nie dającej się naprawić sytuacji był tak dojmujący, że się rozpłakałem.

Sobota, 5 sierpnia 1961

Późnym rankiem po śniadaniu właściciel domu, don Juan i ja pojechaliśmy z powrotem do domu don Juana. Choć byłem bardzo zmęczony, nie mogłem zasnąć w ciężarówce. Dopiero po odejściu tamtego człowieka zdołałem usnąć na werandzie.

Obudziłem się po zapadnięciu zmroku; don Juan nakrył mnie kocem. Szukałem don Juana, ale nie było go w domu. Nadszedł trochę później z garnkiem smażonej fasoli i stertą podpłomyków. Byłem głodny jak wilk.

Kiedy odpoczywaliśmy po posiłku, poprosił mnie, bym mu opowiedział wszystko, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Zdałem mu relację z moich przeżyć, czyniąc to szczegółowo i możliwie jak najdokładniej.

Gdy skończyłem, kiwnął głową i powiedział: “Sądzę, że wypadłeś znakomicie. Trudno mi teraz wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego. Ale uważam, że wszystko poszło świetnie. Bo widzisz, niekiedy on psoci jak małe dziecko, czasami zaś bywa straszny, przerażający. Albo figluje, albo zachowuje się śmiertelnie poważnie. Nie sposób przewidzieć z góry, jaki będzie z daną osobą, chyba że ktoś zna go dobrze. Dziś w nocy bawiłeś się z nim. Nie znam nikogo oprócz ciebie, kto spotkałby się z nim w taki sposób.

– Na czym polega różnica między moimi przeżyciami a doznaniami innych?

– Nie jesteś Indianinem, dlatego trudno mi się zorientować, w czym rzecz. Ale on albo przyjmuje, albo odrzuca ludzi, obojętnie jakiego są pochodzenia. Tyle wiem. Byłem nieraz tego świadkiem. Wiem także, że to psotnik, że rozśmiesza niektórych do łez, ale nigdy nie widziałem, żeby się z kimś bawił.

– Czy możesz mi teraz powiedzieć, don Juanie, w jaki sposób pejotl chroni...

Nie pozwolił mi dokończyć. Energicznie dotknął mego ramienia.

– Nie nazywaj go nigdy w ten sposób. Widziałeś go za mało i nie znasz go bliżej.

– W jaki sposób Mescalito ochrania ludzi?

– Doradza. Odpowiada na wszelkie pytania.

– Więc Mescalito istnieje naprawdę? Można go zobaczyć?

Sprawiał wrażenie zaskoczonego tym pytaniem. Spojrzał na mnie z rodzajem zakłopotania w oczach.

– Chodzi mi o to, czy Mescalito...

– Słyszałem twoje pytanie. Nie widziałeś go w nocy? Chciałem odrzec, że widziałem jedynie psa, ale spostrzegłem jego zdezorientowane spojrzenie.

– Więc uważasz, że to jego widziałem wczoraj w nocy? Spojrzał na mnie z pogardą. Roześmiał się cicho, potrząsnął głową, jakby nie mógł w to uwierzyć, i dodał tonem nadzwyczaj inteligentnym: *A poco crees que era tu... mama?* (A ty może myślałeś, że to była twoja... mamusia?) Zrobił pauzę, nim powiedział *mama,* ponieważ miał zamiar użyć wyrażenia *tu chingada mądre,* będącego lekceważącą aluzją do matki rozmówcy. Słowo *mama* było tak nieoczekiwane, że obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Następnie uprzytomniłem sobie, że don Juan zasnął, nie odpowiedziawszy na moje pytanie.

Niedziela, 6 sierpnia 1961

Zawiozłem don Juana do domu, gdzie zażyłem pejotl. Podczas jazdy powiedział mi, że człowiek, który “ofiarował mnie Mescalito", miał na imię John. Po przybyciu na miejsce zastaliśmy Johna siedzącego na werandzie w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn. Wszyscy trzej zachowywali się

szalenie jowialnie. Śmiali się i rozmawiali z wielką swobodą. Ich angielszczyzna była wyśmienita. Powiedziałem do Johna, że przyjechałem, aby mu podziękować za pomoc.

Chciałem dowiedzieć się, co sądzą o moim zachowaniu podczas seansu halucynogennego, i powiedziałem im, że starałem się sobie przypomnieć, co robiłem tamtej nocy, ale nic nie pamiętam. Roześmiali się, nie kwapiąc się wcale do rozmowy. Odniosłem wrażenie, że mitygują się ze względu na don Juana. Wszyscy zerkali w jego stronę, jak gdyby w oczekiwaniu na przyzwolenie. Don Juan musiał im w jakiś sposób go udzielić, choć sam niczego nie zauważyłem, gdyż John zaczął raptem opowiadać mi o tym, co robiłem tamtej nocy.

Stwierdził, że zostałem “przyjęty", kiedy usłyszał, że wymiotuję. Według jego obliczeń wymiotowałem trzydzieści razy. Don Juan poprawił go, stwierdzając, że tylko dziesięć.

John mówił dalej:

– Wtedy zgromadziliśmy się wszyscy obok ciebie. Byłeś sztywny i miałeś drgawki. Leżąc na plecach, poruszałeś wargami, jakbyś mówił; trwało to bardzo długo. Potem zacząłeś walić głową o podłogę, a don Juan nakrył ci głowę starym kapeluszem, i wtedy przestałeś. Dygotałeś i jęczałeś godzinami, leżąc na podłodze. Wszyscy już chyba usnęli, ale słyszałem przez sen twoje posapywanie i stękanie. Nagle usłyszałem twój krzyk i zbudziłem się. Zobaczyłem, że krzycząc, skaczesz pod niebo. Dałeś susa w kierunku wody, przewróciłeś rondel i zacząłeś tarzać się w kałuży. Don Juan przyniósł ci wody. Usiadłeś spokojnie przed rondlem. Potem wykonałeś skok i zdarłeś z siebie całe ubranie. Klęcząc przed rondlem, piłeś wielkimi haustami. Następnie usiadłeś znowu w tym samym miejscu i wlepiłeś wzrok w przestrzeń. Sądziliśmy, że zostaniesz tam na zawsze. Prawie wszyscy spali, także don Juan, gdy ponownie zerwałeś się z miejsca, wydając z siebie głośny skowyt, i rzuciłeś się w pogoń za psem. Pies się przestraszył i też zaczął skowyczeć, i uciekł na tyły budynku. Wówczas wszyscy się obudzili.

Powstaliśmy z miejsc. Wróciłeś z drugiej strony, ścigając nadal psa. Pies biegł przed tobą: szczekał i skowyczał. Przebiegłeś wokół domu chyba ze dwadzieścia razy, szczekając jak pies. Bałem się, że ludzie się tym zainteresują. W bliskim sąsiedztwie nikt nie mieszka, ale twój skowyt słychać było w promieniu kilku mil.

– Dogoniłeś psa i przyniosłeś go na rękach na werandę – dorzucił któryś z młodszych mężczyzn. John podjął opowieść:

– A potem zacząłeś bawić się z psem. Mocowałeś się z nim, kąsaliście się dla zabawy. Wydawało mi się to zabawne. Mój pies zwykle nie figluje. Tymczasem wy turlaliście się po sobie.

– Potem pognałeś ku wodzie, a pies pił razem z tobą – powiedział młodzieniec. – Powtórzyliście ten bieg po wodę pięć czy sześć razy.

– Jak długo to trwało? – spytałem.

– Całe godziny – odrzekł John. – W pewnej chwili straciliśmy was z oczu. Musiałeś chyba pobiec na tyły domu. Słyszeliśmy tylko, jak szczekasz i postękujesz. Robiłeś to tak bardzo po psiemu, że trudno was było odróżnić.

– A może to po prostu był pies – powiedziałem. Roześmiali się.

– To tyś tam szczekał, chłopie! – powiedział John.

– I co dalej?

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie, jak gdyby ustalenie dalszego przebiegu wydarzeń sprawiało im wielką trudność. Wreszcie przemówił młody człowiek, który dotąd nie odezwał się jeszcze ani słowem.

– Zatkało go – powiedział, kierując wzrok na Johna.

– Tak jest: zatkało cię na amen. Zacząłeś płakać w osobliwy sposób, a potem zwaliłeś się na podłogę. Myśleliśmy, że przygryzłeś sobie język. Don Juan rozwarł ci szczęki i oblał ci twarz wodą. Wówczas znowu zacząłeś dygotać i całe twe ciało ogarnęły drgawki. A potem znieruchomiałeś na dłużej. Don Juan stwierdził, że już po wszystkim. Był ranek, więc nakryliśmy cię kocem i zostawiliśmy śpiącego na werandzie.

Na tym urwał i spojrzał na pozostałych mężczyzn, którzy walczyli z sobą, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Zwrócił się z jakimś pytaniem do don Juana, który odpowiedział z uśmiechem. Wówczas John odwrócił się do mnie i powiedział:

– Zostawiliśmy cię tu na werandzie, bośmy się bali, że nam obsikasz cały dom.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

– A co ja takiego robiłem? – zapytałem. – Czyżbym...?

– Czyżbyś...? – przedrzeźniał mnie John. – Nie zamierzaliśmy tego mówić, ale don Juan uważa, że to nic nie szkodzi. Obsikałeś mi całego psa!

– Co takiego?

– Chyba nie sądzisz, że pies uciekał przed tobą, bo się ciebie bał? Uciekał, boś na niego sikał.

Zapanowała ogólna wesołość. Próbowałem zadać pytanie jednemu z młodych mężczyzn, ale nie słyszał, bo wszyscy zanosili się śmiechem.

John ciągnął dalej:

– Ale mój pies nie pozostał ci dłużny i też na ciebie nasikał!

Te słowa musiały zabrzmieć wyjątkowo śmiesznie, bo wszyscy ryknęli śmiechem, nie wyłączając don Juana. Kiedy się uspokoili, zapytałem przejęty do żywego:

– Czy to prawda? Tak naprawdę było? Śmiejąc się nadal, John powiedział:

– Przysięgam ci, że mój pies naprawdę cię obsikał. W drodze powrotnej do domu don Juana spytałem go ponownie:

– Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło, don Juanie?

– Owszem – odrzekł – ale oni nie wiedzą, coś zobaczył. Nie zdają sobie sprawy, że ty figlowałeś z “nim". To dlatego ci nie przeszkadzałem.

– Ale ta historyjka z obsikiwaniem mnie przez psa i psa przeze mnie jest prawdziwa?

– To nie był pies! Ile razy mam ci to powtarzać? Inaczej tego nie zrozumiesz, tylko w ten sposób. To “on" się z tobą bawił.

– Czy wiedziałeś to wszystko, nim ci o tym opowiedziałem?

Zawahał się, nim odpowiedział.

– Nie. Zapamiętałem twój dziwny wygląd, nim mi o wszystkim powiedziałeś. Domyślałem się, że nic złego ci się nie dzieje, bo nie wyglądałeś na przerażonego.

– Czy ten pies rzeczywiście się ze mną bawił?

– Do jasnej cholery! To nie był pies!

Czwartek, 17 sierpnia 1961

Opowiedziałem don Juanowi o swoich doznaniach w związku z przeżytym zdarzeniem. Z punktu widzenia mych zamierzeń badawczo-naukowych była to katastrofa, bo nie miałem najmniejszej ochoty na ponowne przeżycie podobnego “spotkania" z Mescalito. Wszystko, co mi się przydarzyło, było wprawdzie interesujące, ale całe to doświadczenie nie zawierało w sobie nic, co by mnie rzeczywiście zachęcało do dalszych poszukiwań w tej dziedzinie. Byłem szczerze przekonany, że nie nadaję się do przedsięwzięć tego rodzaju. Pejotl źle oddziałał na moje fizyczne samopoczucie. W następstwie jego spożycia zrodził się we mnie nieokreślony lęk czy smutek, jakaś melancholia, której nie umiałem dokładnie zdefiniować. Nie było w tym stanie żadnej wzniosłości. Don Juan roześmiał się i powiedział:

– Zaczynasz się uczyć.

– Nie dla mnie taka nauka. Ja się do tego nie nadaję, don Juanie.

– Jak zawsze przesadzasz.

– Nie przesadzam.

– Przesadzasz. Kłopot w tym, że przesadzasz tylko w tym, co złe.

– Jeśli o mnie chodzi, to tego, co dobre, nie ma. Wiem tylko tyle, że się boję.

– Strach to nic złego. Bojąc się, widzimy inaczej.

– Ale mnie wcale nie zależy na tym, żeby widzieć inaczej, don Juanie. Chyba zrezygnuję z nauki o Mescalito. To mnie przerasta, don Juanie. Czuję się w tej sytuacji naprawdę fatalnie.

– Bo to jest fatalna sytuacja, nawet dla mnie. Nie tylko ciebie jednego zbiła z tropu.

– A czemu miałaby zbić z tropu ciebie, don Juanie?

– Zastanawiałem się nad tym, co ujrzałem tamtej nocy. Mescalito rzeczywiście bawił się z tobą. To zbiło mnie z tropu, bo to był znak.

– Jaki znak, don Juanie?

– Mescalito wskazał mi ciebie.

– Po co?

– Nie było to dla mnie jasne, ale już jest. Chodziło mu o to, że jesteś “wybrańcem" *[escogido}*. Wskazując mi ciebie, Mescalito powiedział mi, że jesteś wybrańcem.

– Chcesz powiedzieć, że zostałem wybrany spośród innych do wykonania jakiegoś zadania?

– Nie. Chcę powiedzieć, że Mescalito powiadomił mnie, że możesz być człowiekiem, którego szukam.

– Kiedy ci to powiedział, don Juanie?

– Bawiąc się z tobą. W ten sposób stałeś się moim wybrańcem.

– Co to znaczy, że jest się wybrańcem?

– Znam pewne tajemnice *[Tengo secretos].* Znam tajemnice, których nie będę mógł wyjawić, chyba że znajdę swojego wybrańca. Owej nocy, kiedy ujrzałem, jak się bawisz z Mescalito, zrozumiałem, że ty nim jesteś. Ale nie jesteś Indianinem i to zbija mnie z tropu!

– Ale co to oznacza dla mnie, don Juanie? Co mam robić?

– Postanowiłem już, że nauczę cię tajemnic, jakie przypadają w udziale człowiekowi wiedzy.

– Masz na myśli tajemnice dotyczące Mescalito?

– Tak, ale znam też inne. Istnieją innego rodzaju tajemnice, które chciałbym komuś wyjawić. Sam miałem nauczyciela, mego dobroczyńcę, i tak samo zostałem jego wybrańcem, dokonawszy pewnego wyczynu. On mnie wszystkiego nauczył.

Zapytałem ponownie, na czym będą polegać obowiązki wynikające z mojej nowej roli. Odpowiedział, że w grę wchodzi jedynie nauka w znaczeniu tego, co składa się na doświadczenia, jakie zgromadziłem podczas dwu odbytych z nim sesji.

Cała sytuacja rozwijała się w bardzo osobliwy sposób. Postanowiłem, że powiadomię go, iż zamierzam odstąpić od zamiaru zdobycia wiedzy o pejotlu. Nim jednak nadszedł moment, by rzecz wyłuszczyć, wystąpił z propozycją, że przekaże mi swą “wiedzę". Nie wiedziałem, co przez to rozumie, ale czułem, że ten nagły obrót wydarzeń ma wielkie znaczenie. Argumentowałem, że brak mi kwalifikacji niezbędnych w takim przedsięwzięciu, jako że wymaga ono rzadkiego typu odwagi. Mój charakter skłania mnie do mówienia o czynach dokonywanych przez innych ludzi. Chciałem poznać jego poglądy i opinie na wszystkie tematy. Byłbym szczęśliwy, mogąc usiąść na werandzie i przysłuchiwać mu się całymi dniami. Właśnie to uważałbym za naukę.

Słuchał, nie przerywając. Mówiłem długo. Wreszcie przemówił don Juan:

– To wszystko bardzo łatwo zrozumieć. Pierwszym wrogiem, którego człowiek musi pokonać na swej drodze do wiedzy, jest strach. Poza tym należysz do ciekawskich. To wyrównuje rachunek. Będziesz się uczył wbrew sobie, taka jest reguła.

Protestowałem jeszcze jakiś czas, starając się go przekonać, że nie ma racji. Sprawiał jednak wrażenie całkowicie przekonanego, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko się uczyć.

– Myślisz nie o tym, co ważne – powiedział. – Mescalito faktycznie się z tobą bawił. I nad tym trzeba myśleć. Dlaczego nie zastanawiasz się nad tym, tylko nad swoimi lękami?

– To było coś tak niezwykłego?

– Oprócz ciebie nie widziałem nigdy nikogo, kto by się z nim bawił. Nie przywykłeś do takiego życia, więc znaki [omeny] uchodzą twojej uwagi. Jesteś jednak osobą poważną, tylko że ta twoja powaga odnosi się do tego, czym się zajmujesz, a nie do tego, co się dzieje wokół ciebie. Za bardzo skupiasz się na sobie. W tym cały kłopot. I to prowadzi do strasznego zmęczenia.

– Ale czy można inaczej, don Juanie?

– Można podziwiać cuda świata, które nas zewsząd otaczają. Zmęczysz się przyglądaniem się tylko samemu sobie i to zmęczenie uczyni cię ślepym i głuchym na wszystko, co nie wiąże się z tobą.

– Coś w tym jest, don Juanie, ale w jaki sposób mogę się zmienić?

– Myśl o tym cudzie, jakim był bawiący się z tobą Mescalito. Myśl tylko o tym – reszta przyjdzie sama.

Niedziela, 20 sierpnia 1961

Wczoraj wieczorem don Juan zaczął wprowadzać mnie w tajniki swojej wiedzy. Usiedliśmy przed domem w ciemności. Po długim milczeniu zaczęliśmy nagle rozmawiać. Powiedział, że zamierza pouczyć mnie tymi samymi słowami, których użył jego dobroczyńca pierwszego dnia terminowania don Juana. Znał te słowa na pamięć, bo powtórzył je kilkakrotnie, by mieć pewność, że żadnego z nich nie uronię.

– Człowiek wybiera się po wiedzę tak samo jak na wojnę: z wielką czujnością, z lękiem, z szacunkiem i z absolutną pewnością. Iść po wiedzę lub na wojnę w jakiś inny sposób byłoby błędem, i każdy, kto taki błąd popełni, pożałuje w dalszym życiu swoich kroków.

Spytałem go, dlaczego, a on odpowiedział, że jeśli człowiek sprosta tym czterem wymaganiom, nie popełni żadnych błędów, za które będzie musiał odpowiedzieć, wówczas bowiem jego czyny pozbawione będą owej grubej niezręczności typowej dla postępków głupca. Jeżeli ktoś taki dozna porażki lub poniesie klęskę, przegra jedynie bitwę, co nie stanowi jeszcze powodu do rozpaczy.

Następnie poinformował mnie, że ma zamiar uczyć mnie o “sprzymierzeńcu" dokładnie w ten sam sposób, w jaki czynił to jego dobroczyńca. Szczególnie mocny nacisk położył na słowa “dokładnie w ten sam sposób" i powtórzył ten zwrot kilkakrotnie.

– Sprzymierzeniec – mówił don Juan – to potęga, jaką człowiek może wprowadzić w swoje życie, by mu pomogła, doradziła i obdarzyła go siłą niezbędną do spełnienia rozmaitych czynów – wielkich i małych, dobrych lub złych. Sprzymierzeniec ów jest koniecznie potrzebny do wzbogacenia ludzkiego życia, kierowania ludzkim działaniem i poszerzenia ludzkiej wiedzy. Sprzymierzeniec jest w istocie nieodzownym pomocnikiem poznania. Don Juan mówił o tym z wielkim przekonaniem i z wielką siłą. Odnosiło się wrażenie, że starannie dobiera słowa. Czterokrotnie powtórzył następujące zdanie:

– Sprzymierzeniec sprawi, że zobaczysz i zrozumiesz rzeczy, których nie byłaby ci w stanie objaśnić żadna ludzka istota.

– Czy sprzymierzeniec jest czymś w rodzaju ducha opiekuńczego?

– To nie jest opiekun ani duch. To pomocnik.

– Czy Mescalito jest twoim sprzymierzeńcem?

– Nie! Mescalito to moc innego rodzaju. Moc jedyna w swoim rodzaju. Obrońca, nauczyciel.

– Na czym polega różnica między nim a sprzymierzeńcem?

– Nie można go oswoić i wykorzystać tak jak sprzymierzeńca. Mescalito przebywa na zewnątrz nas. Może ukazywać się pod wieloma postaciami każdemu, komu zechce, kto znajdzie się przed nim, czy będzie to *brujo,* czy parobek.

Z wielką żarliwością don Juan opowiadał o Mescalito jako nauczycielu właściwego sposobu życia. Zapytałem, jak Mescalito uczy “właściwego sposobu życia", a don Juan odrzekł, że Mescalito pokazał mu, jak żyć.

– Jak to uczynił? – spytałem.

– Może to uczynić na wiele sposobów. Niekiedy pokazuje na własnej dłoni lub na skałach czy drzewach, lub też po prostu przed twoimi oczami.

– Czy to coś w rodzaju obrazu przed oczami?

– Nie. To lekcja przed oczami.

Zapytałem o to. Milczał. Po długiej pauzie spytałem:

– Jakiego rodzaju siłą jest sprzymierzeniec?

– Jest pomocnikiem. Już ci to powiedziałem.

– Na czym polega jego pomoc?

– Sprzymierzeniec potrafi wyprowadzić człowieka poza ograniczenia jego własnej natury. W ten sposób może odsłonić coś, czego nie zdoła objawić żadna istota ludzka.

– Ale Mescalito też wyprowadza nas poza nasze ograniczenia. Czy to nie czyni go sprzymierzeńcem?

– Nie. Mescalito wyprowadza nas z siebie po to, żeby nas uczyć. Sprzymierzeniec zaś po to, żeby obdarzyć nas mocą.

Poprosiłem, żeby wyjaśnił mi to bardziej szczegółowo albo opisał różnicę działania. Przyglądał mi się długo, po czym roześmiał się. Stwierdził, że nauka w formie rozmowy to nie tylko strata czasu, ale idiotyzm, gdyż uczenie się jest najtrudniejszym zadaniem, jakie może przedsięwziąć człowiek. Poprosił, bym sobie przypomniał poszukiwania mego miejsca, kiedy to chciałem je odnaleźć, nie zadawszy sobie najmniejszego trudu, gdyż spodziewałem się, że podsunie mi wszelkie niezbędne wskazówki. “Gdybym rzeczywiście tak zrobił – powiedział don Juan – nigdy byś się nie nauczył". To jednak, że wiedziałem, jak trudno było znaleźć moje miejsce, przede wszystkim zaś wiedza, że ono istnieje, miała mi dać wyjątkowe poczucie pewności siebie. Powiedział mi, że dopóki będę zasiadał na mym “dobrym miejscu", nie mogę doznać żadnej krzywdy cielesnej, ponieważ będę miał pewność, że w tym właśnie miejscu jestem u szczytu sił. Byłem w stanie obronić się przed wszystkim, co mogłoby mi zagrażać. Gdyby jednak powiedział mi, gdzie znajduje się to miejsce, zabrakłoby mi tej pewności siebie, bez której moja wiedza byłaby nieprawdziwa. Tak więc wiedza to istotnie potęga.

Don Juan stwierdził następnie, że ilekroć człowiek postanawia rozpocząć naukę, tylekroć musi mozolić się tak samo jak ja, kiedy szukałem owego miejsca, a jego natura sama wytycza granice poznania. Uważał zatem, że rozmawianie o wiedzy nie ma sensu. Niektórym rodzajom wiedzy moimi siłami nie jestem – jego zdaniem – w stanie podołać, a rozmowa na ten temat mogłaby mi tylko zaszkodzić. Uważał najwyraźniej, że nic więcej nie ma mi do powiedzenia. Powstawszy z miejsca, skierował się w stronę domu.

Powiedziałem mu, że tracę panowanie nad sytuacją. Nie tak ją sobie wyobrażałem i nie tego chciałem. Odpowiedział, że strach to rzecz naturalna; doświadczamy go wszyscy i nic na to nie można poradzić. Ale choćby nawet nauka wywoływała nasze największe przerażenie, to i tak większą grozą napawa myśl o człowieku pozbawionym sprzymierzeńca bądź wiedzy.

3.

W ciągu ponad dwóch lat, które upłynęły od momentu, gdy don Juan postanowił przekazać mi wiedzę o mocach-sprzymierzeńcach, do chwili, kiedy uznał, że dojrzałem już do praktycznego ich poznania (bo to uważał on za naukę) – przedstawiał stopniowo główne właściwości obu interesujących nas sprzymierzeńców. Przygotowywał mnie do będących nieodzownym zwieńczeniem i utrwaleniem wszelkich werbalizacji i pouczeń stanów rzeczywistości niezwykłej.

Początkowo wspominał o sprzymierzeńcach jedynie mimochodem. Pierwsze zanotowane przeze mnie uwagi na ten temat wplecione są pomiędzy inne tematy naszych rozmów.

Środa, 23 sierpnia 1961

– Czarcie ziele (liście bielunia) było sprzymierzeńcem mojego dobroczyńcy. Mogło być również moim sprzymierzeńcem, ale mi się nie spodobało.

– Dlaczego ci się nie spodobało, don Juanie?

– Bo ma poważną wadę.

– Inni sprzymierzeńcy je przewyższają?

– Nie w tym rzecz. Jest równie potężne, jak najlepsi sprzymierzeńcy, ale jest w nim coś, co mnie osobiście nie przypadło do gustu.

– Możesz mi powiedzieć, co to takiego?

– Wypacza ludzi. Za szybko pozwala im zasmakować w potędze, nie przydając mocy ich sercom, co sprawia, że zachowują się władczo i nieobliczalnie. Pomimo całej swej potęgi są słabeuszami.

– Czy nie da się tego uniknąć?

– Można to przezwyciężyć, ale nie umknąć. Każdy, kto zostaje sprzymierzeńcem tego ziela, musi zapłacić taką cenę.

– W jaki sposób można przezwyciężyć ten skutek, don Juanie?

– Czarcie ziele ma cztery węzły: korzeń, łodygę z liśćmi, kwiaty i nasiona. Różnią się one od siebie, i każdy, kto został jego sprzymierzeńcem, musi się z nimi zapoznać w takiej kolejności. Najważniejszy węzeł to korzenie. Potęgę czarciego ziela pokonuje się przez korzenie. Łodyga i liście to węzeł leczący choroby; właściwie użyty jest dobrodziejstwem rodu ludzkiego. Trzeci węzeł znajduje się w kwiatach; używa się go do wprowadzania ludzi w obłęd lub żeby zapewnić sobie ich posłuszeństwo albo żeby ich unicestwić. Człowiek, którego sprzymierzeńcem jest bieluń, nigdy nie przyjmuje kwiatów, tak samo jak łodygi i liści, chyba że w wypadku własnej choroby, zawsze natomiast przyjmuje się korzenie i nasiona, zwłaszcza nasiona; stanowią one czwarty węzeł czarciego ziela, obdarowany największą mocą.

Mój dobroczyńca mawiał, iż nasiona to "węzeł trzeźwości" – jedynie ta część ziela zdolna jest wzmocnić ludzkie serce. Mawiał także, że czarcie ziele obchodzi się surowo ze swymi protegowanymi, bo dąży do jak najszybszego ich zabicia, co zwykle mu się udaje, nim zdążą poznać tajniki "węzła trzeźwości". Istnieją jednak opowieści o ludziach, którzy posiedli te tajemnice. Jakież to wyzwanie dla człowieka wiedzy!

– Czy twój dobroczyńca do nich należał?

– Nie, nie należał.

– Spotkałeś kogoś, komu się to udało?

– Nie, ale oni żyli w czasach, kiedy wiedza tego rodzaju była ważna.

– Czy znasz kogoś, kto spotkał takich ludzi?

– Nie znam.

– A twój dobroczyńca?

– Znał.

– Czemu nie posiadł tajemnic węzła trzeźwości?

– Obłaskawienie czarciego ziela i uczynienie zeń sprzymierzeńca to jedno z najtrudniejszych zadań, o jakich mi wiadomo. Mnie się to nigdy nie udało, może dlatego, że nigdy za nim nie przepadałem.

– Czy mimo to możesz używać go jako sprzymierzeńca?

– Mogę, a jednak wolę tego nie robić. Z tobą może być inaczej.

– Czemu nosi ono nazwę czarciego ziela? Don Juan wykonał gest symbolizujący obojętność, wzruszył ramionami i zamilkł na dłuższą chwilę. Powiedział na koniec, że “czarcie ziele" to jego nazwa tymczasowa [su *nombre de leche].* Dodał, że istnieją także inne nazwy, ale nie należy ich używać, gdyż wymienienie nazwy to poważna sprawa, zwłaszcza wówczas, gdy człowiek uczy się obłaskawiania mocy-sprzymierzeńca. Zapytałem, dlaczego wymienienie nazwy jest poważną sprawą. Odpowiedział, że użycie nazwy zastrzeżone jest wyłącznie na wypadek wzywania pomocy, w chwilach wielkiego utrapienia i wielkiej potrzeby. Zapewnił mnie również, że w życiu każdego, kto poszukuje wiedzy, chwile takie prędzej czy później nadejdą.

Niedziela, 3 września 1961

Dziś w godzinach popołudniowych don Juan przyniósł z pola dwa okazy bielunia.

Nieoczekiwanie poruszył w naszej rozmowie temat czarciego ziela, po czym poprosił, bym udał się wraz z nim w góry i poszukał tej rośliny.

Pojechaliśmy w położone w pobliżu góry. Wyciągnąłem z bagażnika łopatę i udaliśmy się w głąb jednego z wąwozów. Szliśmy dość długo, przedzierając się ukosami przez chaparral gęsto porastający miękką, piaszczystą glebę. Don Juan zatrzymał się przy małej roślinie o ciemnozielonych liściach i wielkich, białawych, dzwonkowatych kwiatach.

– Tutaj – powiedział.

Przystąpił natychmiast do kopania. Próbowałem mu pomóc, ale oddalił mnie zdecydowanym potrząśnięciem głowy i kopał dalej okrągły dołek wokół rośliny. Dół miał kształt stożka; rozwierał się szeroko na obrzeżu, na środku zaś zwężał się, tworząc wzgórek. Przestawszy kopać, don Juan uklęknął tuż przy łodydze i oczyścił ją palcami z miękkiej gleby; wówczas odsłonił się liczący około czterech cali, wielki, bulwiasty, rozwidlony korzeń, którego rozmiary mocno kontrastowały z rozmiarami stosunkowo kruchej łodygi.

Spojrzawszy na mnie, don Juan stwierdził, że roślina jest rodzaju męskiego, gdyż korzeń rozwidla się dokładnie w miejscu, gdzie łączy się z łodygą. Następnie wstał i zaczął się oddalać w poszukiwaniu czegoś.

– Czego szukasz, don Juanie?

– Chcę znaleźć jakiś kij.

Zacząłem się rozglądać, ale powstrzymał mnie.

– Ty nie! Usiądź tam. – Wskazał na skały w odległości około dwudziestu stóp. – Sam znajdę.

Po pewnym czasie wrócił z długą, uschniętą gałęzią. Za pomocą gałęzi, której użył w charakterze kopaczki, oczyścił starannie z ziemi obie rozwidlające się odnogi korzenia, czyniąc to do głębokości mniej więcej dwu stóp. W miarę kopania dotarł do tak twardo ubitych pokładów gleby, że rozgrzebanie jej kijem stało się praktycznie niemożliwe.

Don Juan przerwał pracę i usiadł, by zaczerpnąć oddechu. Usiadłem przy nim. Przez dłuższą chwilę zachowaliśmy milczenie.

– Czemu nie wykopiesz tego łopatą? – spytałem.

– Mogłaby pociąć i pokaleczyć roślinę. Musiałem znaleźć kij pochodzący z tego terenu, bo gdybym skaleczył korzeń, uszkodzenie nie byłoby tak poważne, jak spowodowane łopatą lub jakimś obcym przedmiotem.

– I jaki kij znalazłeś?

– Nadaje się każda uschnięta gałąź drzewa paloverde. Jeśli nie ma suchych, trzeba uciąć świeżą.

– Czy można użyć gałęzi jakiegoś innego drzewa?

– Powiedziałem ci, że tylko paloverde.

– A dlaczego, don Juanie?

– Dlatego, że czarcie ziele ma bardzo mało przyjaciół, a paloverde to jedyne drzewo w tej okolicy, które mu odpowiada – niczego innego się nie ima *[lo unico gue prende].* Jeśli uszkodzisz korzeń łopatą, nie urośnie ci po przesadzeniu, ale jeśli skaleczysz je takim kijem, roślina może nawet tego nie poczuć.

– Co chcesz teraz zrobić z korzeniem?

– Odetnę go. Musisz zostawić mnie samego. Idź poszukać innego okazu i czekaj, aż cię zawołam.

– Nie chcesz, żebym ci pomógł?

– Możesz mi pomagać, tylko kiedy o to poproszę! Oddaliłem się w poszukiwaniu rośliny, walcząc z silnym pragnieniem, żeby wrócić ukradkiem i podglądać don Juana. Po pewnym czasie dołączył do mnie.

– Poszukajmy teraz okazu żeńskiego – powiedział.

– Po czym się je odróżnia?

– Żeńskie jest wyższe i wyrasta ponad ziemię, przypomina wyglądem małe drzewko. Okazy męskie są duże i pną się nad samą ziemią niczym rozłożyste i gęste krzewy. Jak wykopiemy okaz żeński, przekonasz się, że posiada pojedynczy korzeń, który rozwidla się dopiero prawie na samym końcu. Natomiast okaz męski łączy się z łodygą w miejscu rozwidlenia.

Chodziliśmy po okolicy, szukając rośliny z rodzaju *Da-tura.* W pewnej chwili, wskazując na jakąś roślinę, don Juan powiedział: “To żeńska". Następnie zabrał się do jej wykopywania w ten sam sposób, jak postąpił z pierwszą. Gdy tylko oczyścił korzeń z ziemi, mogłem się przekonać, że wygląd korzenia odpowiada słowom don Juana. Oddaliłem się ponownie, kiedy przystąpił do jego odcięcia.

Po powrocie do domu rozwiązał zawiniątko, w którym umieścił rośliny. Wyjął najpierw większy, męski okaz i opłukał go w wielkiej metalowej misie. Z wielką starannością usunął resztki ziemi z korzenia, łodygi i liście. Uporawszy się z czyszczeniem, oddzielił łodygę od korzenia, wykonując za pomocą krótkiego zębatego noża płytkie nacięcie w miejscu ich spojenia i odłamując je od siebie. Wziął łodygę i podzielił ją na części; ułożył w osobne stosiki liście, kwiaty i kolczaste torebki nasienne. Wyrzucał wszystko, co było uschnięte lub uszkodzone przez robaki, zatrzymywał wyłącznie te części, którym nic nie brakowało. Dwoma kawałkami sznurka związał dwa odgałęzienia korzenia; nadawszy je płytko w miejscu spojenia, rozłamał je na połowę, otrzymując w ten sposób dwa kawałki korzenia równej wielkości. Następnie wziął kawałek jutowej surówki i położył na nim związane z sobą dwie części korzenia, przykrył je wiązką liści, na które położył z kolei kwiaty, torebki z nasionami i łodygę. Zwinąwszy tkaninę, związał rogi w supeł.

Dokładnie te same czynności wykonał z drugą rośliną, rodzaju żeńskiego, z tym że zamiast rozciąć korzeń, pozostawił nietknięte rozwidlenie podobne do odwróconej litery Y. Wszystkie części umieścił w drugim płóciennym zawiniątku. Zakończył pracę po zapadnięciu zmroku.

Środa, 6 września 1961

Dziś późnym popołudniem wróciliśmy do tematu czarciego ziela.

– Chyba powinniśmy zabrać się znów za to zioło – powiedział raptem don Juan.

Po chwili uprzejmego milczenia spytałem:

– Co zrobisz z tymi roślinami?

– Te, które wykopałem i odciąłem, są moje – odpowiedział. – To tak jakby były mną samym. Za ich pomocą nauczę cię, w jaki sposób sporządza się czarcie ziele.

– Jak to zrobisz?

– Czarcie ziele dzieli się na porcje *[partes].* Każda porcja jest inna; każda służy do innego celu i ma własną funkcję.

Rozpostarł lewą dłoń i odmierzył na podłodze odległość od koniuszka kciuka do koniuszka czwartego palca.

– Oto moja porcja. Ty odmierzysz swoją własną dłonią. Ażeby zawładnąć czarcim zielem, musisz wziąć najpierw pierwszą porcję korzenia. Ponieważ jednak ja ci ją przyniosłem, musisz zacząć od początku.

Wszedł do domu i po chwili przyniósł jedno z jutowych zawiniątek. Usiadł i otworzył. Zauważyłem, że to roślina męska. Spostrzegłem także, że jest tylko jeden kawałek korzenia. Wyjął ten jeden, który pozostał z początkowych dwóch, i uniósł go na wysokość mej twarzy.

– To twoja pierwsza porcja – powiedział don Juan. – Daję ci ją. Uciąłem dla ciebie. Odmierzyłem jaj ak swoją. Teraz ci ją daję.

Przemknęło mi przez głowę, że będę musiał zgryźć ją jak kawałek marchwi, ale włożył ją do małego, białego, płóciennego woreczka.

Udał się na tył budynku. Usiadł tam ze skrzyżowanymi nogami i za pomocą okrągłego *mano* zaczął rozcierać korzeń umieszczony w woreczku. Płaska kamienna płytka służyła mu za moździerz. Co jakiś czas zmywał oba kamienie, a wodę zlewał do miseczki wydrążonej z płaskiego drewna.

Podczas ucierania śpiewał bardzo cicho i monotonnie jakąś niezrozumiałą pieśń. Kiedy utarł korzeń w woreczku na miękką papkę, umieścił go w drewnianej misce. Włożył tam również kamienny moździerz i tłuczek, napełnił miskę wodą, a następnie przeniósł ją do świńskiego koryta prostokątnego kształtu, stojącego pod płotem z tyłu domu.

Powiedział, że korzeń musi się moczyć całą noc poza domem, żeby nasiąknął nocnym powietrzem *[el sereno].* Jeśli jutro będzie słonecznie i gorąco – oznajmił – to będzie dobry znak.

Niedziela, 10 września 1961

W czwartek, 7 września, było bezchmurnie i upalnie. Don Juan sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego i stwierdził kilkakrotnie, że najprawdopodobniej czarcie ziele mnie polubiło. Korzeń moczył się w wodzie przez całą noc; około dziesiątej rano udaliśmy się na tyły domu. Don Juan wyjął miskę z koryta, postawił ją na ziemi i usiadł obok niej. Wziął woreczek i potarł nim o dno miski. Trzymając go kilka cali nad wodą, wyjął zawartość, po czym zanurzył woreczek w wodzie. Powtórzył te czynności jeszcze trzy razy, po czym cisnął woreczek do koryta i pozostawił miskę w promieniach upalnego słońca.

Po dwóch godzinach wróciliśmy w to miejsce. Don Juan przyniósł z sobą średniej wielkości kociołek z wrzącą wodą żółtawego koloru. Bardzo ostrożnie przechylił miskę i wylał wodę z wierzchu, pozostawiając gęsty osad, który zgromadził się na dnie. Zalał osad wrzątkiem i ponownie pozostawił miskę na słońcu.

Ten tok postępowania powtórzył trzykrotnie w trwających ponad godzinę odstępach. Na koniec wylał z miski prawie całą wodę, nachylił ją pod takim kątem, żeby Wpadały doń promienie późnopopołudniowego słońca i pozostawił ją w takim położeniu.

Gdy kilka godzin później wróciliśmy w to miejsce, było już ciemno. Dno miski pokrywała warstwa kleistej substancji, przypominającej z wyglądu niewielką ilość białawego lub jasnoszarego krochmalu. Było jej tyle, że Wypełniłaby może łyżeczkę do herbaty. Don Juan zaniósł miskę do domu; nastawił wodę, by się gotowała, a ja zabrałem się do wydłubywania z osadu okruchów ziemi przywianych wiatrem. Don Juan roześmiał się.

– Odrobinka brudu nikomu nie zaszkodzi. Kiedy woda zagotowała się, wlał do miski mniej więcej filiżankę wrzątku. Takiej samej żółtawej wody używał wcześniej. Osad rozpuścił się pod jej wpływem, zamieniając się w substancję koloru mleka.

– Co to za woda, don Juanie?

– Wywar z owoców i kwiatów rosnących w wąwozie. Zawartość miski wlał do starego glinianego kubka podobnego do doniczki. Ponieważ była jeszcze bardzo gorąca, dmuchał na nią, żeby ostygła. Pociągnął łyk i podał mi kubek.

– Wypij! – powiedział.

Machinalnie ująłem podany mi kubek i bez namysłu wypiłem całą zawartość. Woda miała odrobinę gorzki smak, choć była to gorycz prawie niezauważalna. Trudno natomiast było nie zauważyć gryzącego zapachu tego płynu. Cuchnął karaluchami.

Niemal natychmiast zacząłem się pocić. Zrobiło mi się ciepło, a do uszu nabiegła mi krew. Przed moimi oczami pojawiła się czerwona plamka, a mięśniami mego brzucha poczęły targać bolesne skurcze. Po chwili, mimo że ból już ustąpił, zaczęło mnie ogarniać zimno, byłem zupełnie mokry od potu.

Don Juan spytał, czy nie widzę przed oczami ciemności lub czarnych plam. Odpowiedziałem, że

widzę wszystko na czerwono.

Moje zęby dzwoniły o siebie, ponieważ ogarnęło mnie napływające falami i nie dające się opanować zdenerwowanie, promieniujące jakby od środka mej piersi.

Usłyszałem pytanie, czy się nie boję. Pytania don Juana wydały mi się pozbawione sensu. Odpowiedziałem, ze oczywiście odczuwam lęk, ale zapytał mnie ponownie, czy to lęk przed zielem. Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, i przytaknąłem. Roześmiał się i stwierdził, że w rzeczywistości nie odczuwam lęku. Zapytał, czy dalej widzę na czerwono. Nie widziałem niczego oprócz wielkiej czerwonej plamy przed oczami.

Po pewnym czasie poczułem się lepiej. Nerwowe skurcze stopniowo ustępowały; pozostało jedynie dokuczliwe, ale przyjemne zmęczenie i przemożne pragnienie snu. Nie mogłem nic poradzić na zamykanie się powiek, choć nadal słyszałem głos don Juana. Zasnąłem. Wrażenie, że jestem pogrążony w soczystej czerwieni, nie opuściło mnie jednak przez całą noc. Nawet moje sny były w czerwonym kolorze.

Obudziłem się w sobotę około trzeciej po południu. Spałem prawie dwie doby. Odczułem lekki ból głowy *i* dolegliwości żołądkowe, a także bardzo ostre przerywane bóle jelit. Poza tym memu przebudzeniu nie towarzyszyło nic niezwykłego. Spostrzegłem don Juana drzemiącego przed domem. Uśmiechnął się do mnie.

– Wczoraj w nocy wszystko poszło gładko – powiedział. – Zobaczyłeś czerwień i tylko to się liczy.

– Co by się stało, gdybym jej nie zobaczył?

– Ujrzałbyś czerń, a to zły znak.

– Dlaczego zły?

– Gdy człowiek ujrzy czarny kolor, to znaczy, że czarce ziele nie dla niego – zwymiotuje wnętrzności, na czarno i zielono.

– Umrze?

– Nie sądzę, żeby miał umrzeć, ale będzie długo chorował.

– A co z tymi, którzy ujrzeli czerwień?

– Nie wymiotują, a korzeń daje im przyjemne odczucia, co oznacza, że są silni i z natury gwałtowni – takich ziele lubi. Na tym polega jego wabienie. Kłopot z tym, że ludzie stają się ostatecznie niewolnikami czarciego ziela w zamian za moc, jaką ich ono obdarza. Nad tą sprawą nie możemy jednak zapanować. Człowiek żyje jedynie po to, by się uczyć. A jeśli się uczy, to dlatego, że jest mu to sądzone, na dobre lub złe.

– Co mam dalej robić, don Juanie?

– Musisz teraz zasadzić pęd *[brote],* który odciąłem Id drugiej połówki pierwszej porcji korzenia. Wczoraj w nocy spożyłeś pierwszą jego połowę, a teraz trzeba posadzić w ziemi drugą. Musi wyrosnąć i wydać nasienie, zanim zabierzesz się naprawdę do obłaskawiania rośliny.

– W jaki sposób ją obłaskawię?

– Czarcie ziele obłaskawia się poprzez korzeń. Trzeba, żebyś krok po kroku nauczył się tajników każdej porcji korzenia. Ażeby tego dokonać, musisz je spożyć i zapanować nad ich potęgą.

– Czy pozostałe porcje przygotowuje się w ten sam sposób co pierwszą?

– Nie, każdą inaczej.

– Na czym polega działanie każdej porcji?

– Już mówiłem – każda uczy innego rodzaju mocy. Ta, którą spożyłeś wczoraj w nocy, to jeszcze nic. Każdy może to zrobić. Ale tylko *brujo* może przyjąć dalsze porcje. Nie mogę ci powiedzieć, jak działają, bo jeszcze nie wiem, czy roślina się przyjmie. Musimy czekać.

– Więc kiedy mi powiesz?

– Jak tylko twoja roślina wyrośnie i wyda nasienie.

– Skoro pierwszą porcję może przyjąć każdy, do czego się jej używa?

– W rozrzedzonej postaci jest dobra na wszystkie sprawy związane z męskością, dla starych ludzi, którzy utracili wigor, lub młodych poszukiwaczy przygód, a nawet dla kobiet pragnących namiętności.

– Powiedziałeś, że korzystanie z korzenia wiąże się wyłącznie z uzyskiwaniem mocy, ale widzę, że używa się go także w innych celach. Nie mylę się?

Przyglądał mi się długo przenikliwym wzrokiem, aż poczułem się nieswojo. Moje pytanie musiało go rozgniewać, ale nie mogłem pojąć dlaczego.

– Ziela używa się jedynie w związku z mocą – powiedział wreszcie szorstkim tonem. – Mężczyzna pragnący odzyskać wigor, młodzieńcy pragnący zmierzyć się ze zmęczeniem i głodem, człowiek pragnący zabić innego człowieka, kobieta szukająca roznamiętnienia – ci wszyscy ludzie potrzebują mocy. A ziele ich nią obdarzy! Czujesz, że je lubisz? – spytał po chwili przerwy.

– Czuję przypływ dziwnego wigoru – odpowiedziałem, i była to prawda. Zauważyłem to w chwili przebudzenia, wówczas też to poczułem. Było to bardzo osobliwe doznanie niewygody czy frustracji; całe moje ciało poruszało się i rozciągało z niezwykłą lekkością i siłą. Odczuwałem swędzenie ramion i nóg. Miałem wrażenie, że puchną mi barki, a mięśnie grzbietu i karku korciły mnie, żeby naprzeć lub ocierać się o drzewa. Wydawało mi się, że mógłbym rozwalić mur, waląc w niego głową.

Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa więcej. Przez pewien czas siedzieliśmy na werandzie. Zauważyłem, że don Juan zasypia; głowa opadła mu kilka razy, aż wreszcie zwyczajnie rozprostował nogi, wyciągnął się na ziemi, podkładając ręce pod głowę, i zasnął. Wstałem i udałem się na tył domu, gdzie zużyłem nadmiar energii fizycznej na sprzątanie odpadków, przypomniałem sobie bowiem, że poprosił mnie o pomoc przy sprzątaniu zaplecza.

Kiedy po przebudzeniu przyszedł później na tył domu, byłem już bardziej odprężony.

Zasiedliśmy do posiłku, podczas którego trzykrotnie zapytał mnie o samopoczucie. Zdarzało się to bardzo rzadko, toteż spytałem wreszcie:

– Czemuż się tak o to dopytujesz, don Juanie? Spodziewałeś się, że wypicie tego płynu wywoła u mnie negatywną reakcję?

Roześmiał się. Pomyślałem, że zachowuje się jak mały psotnik, który co jakiś czas sprawdza skutki swoich figlów. Ciągle się śmiejąc, powiedział:

– Nie wyglądasz na chorego. Całkiem niedawno zdarzyło ci się nawet mnie zrugać.

– Tego nie zrobiłem, don Juanie – zaprotestowałem. – Absolutnie sobie nie przypominam, żebym był grubiański w rozmowie z tobą. – Podkreśliłem to z wielką powagą, bo nie przypominałem sobie, bym kiedykolwiek się na niego rozgniewał.

– Wystąpiłeś w jego obronie – powiedział.

– W czyjej obronie?

– Broniłeś czarciego ziela. Mówiłeś całkiem jak zakochany.

Miałem zamiar zaprotestować w związku z tym jeszcze energiczniej, ale powstrzymałem się.

– Naprawdę nie miałem pojęcia, że bronię tej rośliny.

– Oczywiście, że nie miałeś. Nie pamiętasz nawet, co mówiłeś, prawda?

– Muszę przyznać, że nie pamiętam.

– Bo widzisz, tak to jest z tą roślinką. Zakrada się do ciebie jak kobieta. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Liczy się tylko to, że jest ci z nią dobrze i że dzięki niej czujesz przypływ siły: mięśnie nabrzmiewają energią, swędzą pięści, podeszwy pięt rwą się do wyścigu z kimś innym. Człowiek, który ją poznaje, zaczyna odczuwać przemożne pragnienia. Mój dobroczyńca mawiał, że czarcie ziele zatrzymuje ludzi pragnących mocy, a pozbywa się tych, którzy nie mogą nad nią zapanować. Ale dawniej moc była czymś zwyczajniejszym; dążono do niej bardziej łapczywie. Mój dobroczyńca był człowiekiem potężnym, a z tego, co mówił, wynikało, że jego z kolei dobroczyńca był jeszcze bardziej oddany pogoni za mocą. Ale w tamtych czasach istniały powody, dla których warto było dążyć do mocy.

– Czy uważasz, że dziś takie powody nie istnieją?

– Tobie moc niczym nie zagraża. Jesteś młody. Nie jesteś Indianinem. W twoich rękach czarcie ziele byłoby może dobre. Zdaje się, że je polubiłeś. Sprawiło, że poczułeś się mocny. Ja czułem dokładnie to samo. A jednak nie lubiłem go.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego, don Juanie?

– Nie lubię jego mocy! Nie ma już z niej żadnego pożytku. Dawniej, w czasach, o których opowiadał mi mój dobroczyńca, było po co poszukiwać mocy. Ludzie dokonywali fenomenalnych wyczynów, podziwiano ich z powodu ich siły, lękano się ich i szanowano z powodu ich wiedzy. Słyszałem od mego dobroczyńcy opowieści o naprawdę fenomenalnych wyczynach dokonywanych dawno, dawno temu. Dziś jednak my, Indianie, nie szukamy już mocy. Dzisiaj Indianie używają tej rośliny do nacierania się. Korzystają z liści i kwiatów w innych celach, twierdzą nawet, że leczy z czyraków. Nie szukają jednak jej mocy, działającej jak magnes, tym potężniejszej i tym bardziej niebezpiecznej, im głębiej korzeń sięga w ziemię. Doszedłszy do głębokości czterech jardów – mówią, że niektórzy dostali się na tę głębokość – odnajduje się siedlisko mocy niewyczerpanej, wiecznotrwałej. W przeszłości udało się tego dokonać tylko nielicznej garstce istot ludzkich, a obecnie – nikomu. Mówię ci, my, Indianie, nie odczuwamy już potrzeby mocy, jaką posiada czarcie ziele. Stopniowo przestaliśmy się tym chyba interesować, a dziś moc nie odgrywa już żadnej roli. Sam jej nie szukam, choć kiedyś, gdy byłem w twoim wieku, ja także czułem, że mnie przepełnia. Czułem to samo, co ty, tylko pięćset razy silniej. Jednym ciosem ręki zabiłem człowieka. Przerzucałem ogromne głazy, których nie mogło ruszyć z miejsca nawet dwudziestu ludzi. Kiedyś podskoczyłem na taką wysokość, że zmiotłem liście z najwyższego drzewa. Wszystko nadaremnie! Tyle tylko, że napędziłem Indianom strachu – i tylko Indianom. Inni, którzy nic o tym nie wiedzieli, nie wierzyli w to. Widzieli tylko Indianina-wariata albo coś, co się poruszało u szczytu drzew.

Zapadło długie milczenie. Odczuwałem potrzebę odezwania się.

– Inaczej było, kiedy na świecie istnieli ludzie – przemówił znów don Juan – którzy wiedzieli, że człowiek może stać się pumą albo ptakiem, albo po prostu może latać. Dlatego nie używam już czarciego ziela. Po co? Żeby straszyć Indian? *[Para que? Para asustar a los indios?]*

Ujrzałem, że posmutniał, i przepełniło mnie głębokie współczucie. Chciałem mu coś powiedzieć, nawet gdyby miał to być jakiś banał.

– A może taki jest los wszystkich ludzi, którzy chcą wiedzieć, don Juanie.

– Może – odrzekł cicho.

Czwartek, 23 listopada 1961

Podjeżdżając pod dom, spostrzegłem, że miejsce, w którym don Juan siadywał na werandzie, jest puste. Pomyślałem, że to dziwne. Zawołałem go głośno, a z głębi domu wyszła synowa don Juana.

– Jest w środku – powiedziała.

Okazało się, że przed kilkoma tygodniami zwichnął sobie nogę w kostce. Sam przygotował specjalny opatrunek, nasączywszy skrawki płótna w papce sporządzonej z kaktusa i startych na proszek kości. Skrawki płótna, owinięte ciasno wokół kostki, wyschły, tworząc lekki, opływowy kształt. Miał on twardość gipsu, ale nie był jak gips niewygodny.

– Jak to się stało? – spytałem. Odpowiedziała mi synowa don Juana, Meksykanka z Jukatanu, która go pielęgnowała.

– Miał wypadek. Upadł i omal nie złamał sobie stopy! Don Juan roześmiał się i zaczekał z odpowiedzią, aż niewiasta wyszła z domu.

– Jaki tam wypadek! Czyha na mnie wróg. Kobieta, “La Catalina". Popchnęła mnie w chwili mej słabości i upadłem.

– Dlaczego to zrobiła?

– Dlatego, że chciała mnie zabić.

– Była tutaj?

– Tak.

– Czemuś ją wpuścił?

– Nie wpuściłem. Sama przyfrunęła.

– Słucham?

– Ona jest kosem *[chanate].* Doskonale jej poszło. Zostałem zaskoczony. Od dawna usiłuje mnie wykończyć. Tym razem prawie się jej udało.

– Powiedziałeś, że jest kosem? Czy to znaczy, że jest ptakiem?

– Znowu te twoje pytania. Ona jest kosem. Tak samo jak ja jestem krukiem. Jestem człowiekiem czy ptakiem? Człowiekiem, który wie, jak stać się ptakiem. Ale wracając do “Cataliny", cóż to za piekielna jędza! Tak bardzo zależy jej na tym, żeby mnie uśmiercić, że ledwie potrafię się obronić. Kos wleciał już prosto do domu, a ja nie zdołałem go zatrzymać.

– Potrafisz zamienić się w ptaka, don Juanie?

– Owszem! Ale tym zajmiemy się później.

– Dlaczego ona chce cię zabić?

– Ach, mamy ze sobą stare porachunki. Wymknąłem się jej i wygląda na to, że będę musiał ją wykończyć, nim ona wykończy mnie.

– Użyjesz czarów? – spytałem z wielką nadzieją.

– Nie wygłupiaj się. Na nią nie podziałają żadne czary. Mam inne plany. Kiedyś ci o nich opowiem.

– Czy twój sprzymierzeniec może cię przed nią obronić?

– Nie! Jedynie dymek powie mi, co robić. Potem muszę się sam obronić.

– A Mescalito? Może on cię przed nią ochroni?

– Nie! Mescalito to nauczyciel, a nie siła, którą można wykorzystać z powodów osobistych.

– A czarcie ziele?

– Już ci powiedziałem, że muszę się bronić, opierając na wskazówkach mojego sprzymierzeńca-dymu. Jak wiem, dym może wszystko. Powie ci wszystko, czego się chcesz dowiedzieć. Dostarczy ci nie tylko wiedzy, ale i sposobów postępowania. To najwspanialszy sprzymierzeniec człowieka.

– Czy jest on najlepszym z możliwych sprzymierzeńców dla każdego wypadku?

– Może być różnie. Wielu ludzi lęka się go i go nie tknie, nawet się do niego nie zbliży. Z dymem jest tak jak ze wszystkim: nie dla każdego z nas się nadaje.

– Cóż to za dym, don Juanie?

– Dym wróżbitów!

W jego głosie zabrzmiała nuta głębokiej czci; nigdy dotąd tego u niego nie słyszałem.

– Na początek powtórzę ci dokładnie słowa, które wypowiedział do mnie mój dobroczyńca, kiedy przystąpił do nauki na ten temat. Wypowiedział je, choć tak jak ty teraz, nie byłem wówczas w stanie pojąć ich znaczenia. “Czarcie ziele jest dla tych, którzy ubiegają się o moc. Dym – dla tych, którzy pragną ujrzeć i zrozumieć". Moim zdaniem, dymowi nic nie dorówna. Skoro raz wejdzie się na jego teren, zyskuje się władzę nad wszelkimi rodzajami mocy. Jest wspaniały! Rzecz jasna, trzeba na to całego życia. Trzeba lat, nim człowiek zapozna się z samymi tylko dwoma zasadniczymi składnikami – z fajką i z mieszanką do palenia. Fajkę dał mi mój dobroczyńca, stała się mą własnością po wielu latach czułych pieszczot. Stała się mymi dłońmi. Przekazanie jej w twoje ręce będzie dla mnie nie lada wysiłkiem i wielkim twoim osiągnięciem, jeśli nam się to uda! Fajka dotkliwie odczuje przejście w inne ręce, a jeśli ktoś z nas popełni jakiś błąd, w żaden sposób nie zdołamy zapobiec jej własnowolnemu samozniszczeniu, choćby tylko wymknąwszy się nam z rąk, miała upaść na stertę słomy. Jeśli doszłoby do tego, byłby to koniec dla nas obu. Zwłaszcza dla mnie. Dym zwróciłby się przeciwko mnie, korzystając z najbardziej wyszukanych sposobów.

– Jak to możliwe, skoro jest twoim sprzymierzeńcem?

Odniosłem wrażenie, że moje pytanie zwróciło myśli don Juana w inną stronę. Przez dłuższy czas zachowywał milczenie.

– Trudność w uzyskaniu składników mieszanki – podjął raptem wątek – sprawia, że jest ona jedną z najbardziej niebezpiecznych substancji, jakie znam. Nikt nie jest w stanie jej przygotować bez odpowiedniego treningu. Dla wszystkich z wyjątkiem jego protegowanego – dym jest śmiertelną trucizną! Z fajką i mieszanką należy obchodzić się z delikatną pieczołowitością, a człowiek podejmujący trudy nauki musi się przygotować, prowadząc życie surowe i spokojne. Działanie dymu jest tak straszliwe, że tylko ktoś bardzo silny wytrzyma nawet najmniejsze pociągnięcie fajki. Z początku wszystko budzi trwogę i powoduje zamęt, ale za każdym następnym pociągnięciem rzeczy nabierają wyrazistości. I nagle otwiera się przed nami całkiem nowy świat! Nie do wyobrażenia! Wówczas to dym staje się sprzymierzeńcem, który rozwiąże każde zagadnienie, torując człowiekowi drogę do światów przerastających naszą wyobraźnię. Na tym polega najwspanialsza właściwość

dymu, to jego najwspanialszy dar. A spełnia tę funkcję, nie wyrządzając nikomu najmniejszej krzywdy. Dym to prawdziwy sprzymierzeniec!

Jak zwykle siedzieliśmy przed domem don Juana, gdzie ziemia jest zawsze czysto wysprzątana i twardo ubita, gdy nagle don Juan wstał z miejsca i wszedł do domu. Po chwili wrócił z małym zawiniątkiem i ponownie usiadł.

– Oto moja fajka – powiedział.

Pochylił się w moją stronę i pokazał mi fajkę, którą wydobył z pochewki uszytej z zielonego płótna. Miała chyba dziewięć czy dziesięć cali długości. Cybuch wykonany był z czerwonego drewna, pozbawiony jakichkolwiek ozdób. Zdaje się, że lulka była zrobiona także z drewna, ale w porównaniu z cybuchem miała dość spore rozmiary. Wypolerowana była na gładko i miała kolor ciemnoszary, przypominający odcień węgla drzewnego.

Uniósł fajkę na wysokość mej twarzy. Pomyślałem, że chce mi ją wręczyć. Wyciągnąłem rękę, ale szybkim ruchem cofnął fajkę.

– Tę fajkę dostałem od swego dobroczyńcy – powiedział. – Z kolei ja przekażę ją tobie. Ale najpierw musisz się z nią zapoznać. Za każdym twoim pobytem w tym miejscu będę ci ją dawał. Zacznij od dotykania. Na początek bierz ją w ręce tylko na chwilę, aż się do siebie przyzwyczaicie. Potem wkładaj do kieszeni, a może i za koszulę. Na koniec włóż ją do ust. Trzeba to wszystko robić powolutku i bardzo ostrożnie. Kiedy zadzierzgnie się między wami więź *[la amistad estd hecha],* zapalisz fajkę. Jeśli będziesz postępował według mych rad i nie będziesz robił niczego z pośpiechem, możliwe, że dym stanie się także twoim ulubionym sprzymierzeńcem.

Podał mi fajkę, ale nie wypuszczał jej z dłoni. Wyciągnąłem w jej stronę prawą rękę.

– Oburącz – powiedział.

Obiema dłońmi dotknąłem fajki na krótką chwilę. Don Juan wyciągnął ją w moją stronę na taką odległość, że nie mogłem uchwycić jej pełną garścią, tylko ledwie musnąć. Następnie cofnął rękę.

– Pierwszy etap polega na tym, żeby polubić fajkę. To wymaga czasu!

– Czy mogę się nie spodobać fajce?

– Nie. Nie możesz się jej nie spodobać, ale musisz nauczyć się sympatii dla niej, żeby pomogła ci przezwyciężyć strach, kiedy nadejdzie pora jej zapalenia.

– Czym ją nabijasz, don Juanie?

– Tym!

Rozpiął kołnierz; moim oczom ukazał się woreczek, który miał zawieszony pod koszulą na szyi niczym medalion. Zdjął go, rozwiązał i bardzo ostrożnie wysypał na dłoń część zawartości.

Jak mogłem się zorientować, mieszanina przypominała z wyglądu drobno poszatkowane liście herbaty, przechodzące w kolorze od ciemnego brązu do jasnej zieleni, z kilkoma jasnożółtymi plamkami.

Wsypał mieszankę z powrotem do woreczka, zamknął go, związał skórzaną tasiemką i włożył pod koszulę.

– Co to za mieszanka?

– Zawiera mnóstwo składników. Zdobycie ich wszystkich nastręcza ogromne trudności. Trzeba odbyć daleką wędrówkę. Grzybki potrzebne do sporządzenia mieszanki *los honguitos* rosną jedynie w pewnych porach roku i tylko w niektórych miejscach.

– Czy w zależności od rodzaju potrzebnej ci pomocy używasz odpowiedniej mieszanki?

– Nie! Dym jest jeden, nie ma niczego podobnego do niego.

Wskazał na woreczek wiszący na jego piersi i uniósł fajkę spoczywającą dotąd między jego nogami.

– Obie są tym samym! Idą z sobą w parze. Ta fajka i tajemnica tej mieszanki należały do mego dobroczyńcy. Zostały mi przekazane w ten sam sposób, w jaki przekazał mi je mój dobroczyńca. Choć trudno ją przyrządzić, mieszankę da się uzupełnić. Jej tajemnica tkwi w jej składnikach, a także w sposobie obchodzenia się z nimi i ich mieszania. Fajka natomiast to sprawa całego życia. Trzeba się nią opiekować niezwykle troskliwie. Jest twarda i mocna, ale nie wolno nią o nic uderzyć ani nigdzie jej

rzucić. Wolno jej dotykać suchymi dłońmi, nigdy spoconymi, a palić należy ją tylko w pojedynkę. Nikomu, ale to nikomu nie wolno jej pokazywać, chyba że chce się ją komuś podarować. Tego nauczył mnie mój dobroczyńca i tak też postępowałem z moją fajką przez całe życie.

– Co by się stało, gdybyś ją zgubił albo zepsuł? Bardzo wolno pokręcił głową i spojrzał na mnie.

– Umarłbym!

– Czy fajki wszystkich czarowników są takie same jak twoja?

– Nie wszystkie. Ale niektórzy znani mi ludzie mają takie same fajki jak ja.

– Czy mógłbyś sam sobie zrobić taką fajkę, don Juanie? – nalegałem. – Przypuśćmy, że nie miałbyś fajki, a chciałbyś mi ją dać, co wtedy?

– Gdybym nie miał fajki, nie mógłbym – ani bym nie chciał – ci jej dać. Dałbym ci zamiast niej coś innego.

Był jakby trochę zły na mnie. Bardzo ostrożnie włożył swą fajkę do pochewki, której wnętrze musiało być wyścielone jakąś miękką tkaniną, bo fajka – pasująca jak ulał – wsunęła się do środka nadzwyczaj gładko. Wszedł do domu, żeby odnieść fajkę na miejsce.

– Gniewasz się na mnie, don Juanie? – spytałem, kiedy wrócił. Wydawał się zaskoczony moim pytaniem.

– Nie gniewam się nigdy na nikogo! Żadna istota ludzka nie jest w stanie uczynić nic na tyle ważnego, żeby wywołać mój gniew. Na ludzi można się gniewać jedynie wówczas, gdy uważa się, że ich czyny mają istotne znaczenie. Ja tak już nie uważam.

Wtorek, 26 grudnia 1961

Pora zasadzenia "pędu" – jak don Juan nazwał korzeń – nie została ustalona, choć miał to być kolejny etap oswajania dającej moc rośliny.

Wczesnym popołudniem 23 grudnia przybyłem do domu don Juana. Jak zwykle, spędziliśmy pewien czas, siedząc w milczeniu. Dzień był ciepły i pochmurny. Upłynęło kilka miesięcy od chwili, gdy dał mi pierwszą porcję.

– Nadeszła pora, by zwrócić ziele ziemi – powiedział nagle don Juan. – Ale najpierw chcę ci zapewnić ochronę. Strzeż tego i zachowaj wyłącznie dla siebie. Nikt inny nie powinien tego oglądać, ale ponieważ ja się tym zajmę, zobaczę to także. To niedobrze, bo jak ci już mówiłem, nie przepadam za czarcim zielem. Nie jesteśmy jednością. Ale moja pamięć niedługo umrze, jestem za stary. Musisz tego strzec przed urokiem innych, dopóki bowiem obraz tego zabezpieczenia żyje w czyjejś pamięci, dopóty szkodzi to jego mocy.

Wszedł do swej izby, skąd przyniósł trzy jutowe zawiniątka wyciągnięte spod starej słomianki. Usiadł ponownie na werandzie.

Po dłuższym milczeniu otwarł jedno zawiniątko. Znajdowała się w nim znaleziona przez nas roślina z rodzaju *Datura,* rodzaju żeńskiego – liście, kwiaty i torebki nasienne były całkiem uschnięte. Wyjął długi kawałek korzenia podobny kształtem do litery Y i zawiązał zawiniątko.

Korzeń wysechł i skurczył się, a odgałęzienia oddzieliły się od siebie i wykrzywiły jeszcze bardziej. Don Juan położył korzeń na swym podołku i otwarł skórzany woreczek, z którego wydobył nóż. Wyciągnął uschnięty korzeń w moją stronę.

– Ta część odnosi się do głowy – powiedział i wykonał pierwsze nacięcie na ogonku litery Y, przypominającej w odwróconej pozycji sylwetkę człowieka z rozstawionymi nogami.

– Ta część odnosi się do serca – powiedział następnie, zagłębiając nóż w samo prawie spojenie litery Y. Odciął końce korzenia, pozostawiając mniej więcej trzy cale drewna na obu odgałęzieniach litery Y. A potem powoli i cierpliwie wyrzeźbił figurkę człowieka.

Korzeń był suchy i włóknisty. Przystępując do rzeźbienia, don Juan wykonał dwa nacięcia i zeskrobał wypełniające przestrzeń między nimi włókna do głębokości nacięć. Gdy jednak zabrał się do szczegółów, sięgnął po dłuto, tak samo jak przy rzeźbieniu rąk i dłoni. Produkt ostateczny stanowiła figurka muskularnego mężczyzny z założonymi na piersi rękoma i splecionymi dłońmi.

Don Juan wstał i udał się w kierunku rosnącej przy werandzie, na wprost domu, błękitnej agawy. Ujął twardy kolec wyrastający z jednego z mięsistych, centralnie położonych liści, zgiął go i przekręcił trzy czy cztery razy. Zatoczone koła spowodowały, że kolec oderwał się prawie od liścia i zwisał luźno.

Wówczas don Juan odgryzł kolec, a właściwie zwarł na nim zęby i wyrwał z podłoża. Wyrwany kolec pociągnął ze sobą pasmo długich, podobnych do nici włókien, wyrastających z drewnianej części niczym biały ogon długości dwóch stóp. Nie wypuszczając kolca spomiędzy zębów, don Juan skręcił z włókien powrósło, którym skrępował nogi figurki. Obwiązywał dolną część wyrzeźbionego ciała, dopóki nie zużył całego powrósła, następnie zaś wprowadzał kolec bardzo umiejętnie, jakby to było szydło, w pierś figurki, poniżej złożonych ramion, póki ostry czubek nie wychynął raptem spomiędzy jej dłoni. Używszy ponownie zębów, wyciągnął delikatnie kolec na prawie całą jego długość. Wyglądał jak długa dzida wystająca z piersi figurki. Nie spojrzawszy na nią ani razu więcej, don Juan włożył ją do swego skórzanego woreczka. Sprawiał wrażenie całkowicie wyczerpanego. Położył się na podłodze i zasnął.

Było już ciemno, kiedy się obudził. Spożyliśmy posiłek, który mu przyniosłem, i posiedzieliśmy jeszcze trochę na werandzie. Don Juan poszedł następnie na tył domu, zabierając ze sobą trzy jutowe zawiniątka. Naciął chrustu, uschniętych gałęzi i rozpalił ognisko. Gdyśmy usadowili się na wprost ognia, rozwiązał wszystkie zawiniątka. Oprócz tego, które zawierało wyschnięte kawałki żeńskiej rośliny, znajdowało się tam także to z wszystkim, co zostało z rośliny męskiej, oraz trzecie pokaźne, z zielonymi, świeżo uciętymi kawałkami tegoż czarciego ziela.

Don Juan podszedł do świńskiego koryta i wrócił z kamiennym moździerzem, bardzo głębokim i wyglądającym bardziej na garnek, którego dno kończyło się łagodną krzywizną. Wygrzebał w ziemi płytkie zagłębienie, w którym umieścił moździerz. Dorzuciwszy chrustu do ognia, wziął zawiniątka z uschniętymi kawałkami żeńskiej i męskiej rośliny i wysypał całą ich zawartość do moździerza. Wytrząsnął jutę, aby mieć pewność, że we wnętrzu moździerza znalazły się najmniejsze nawet okruchy. Z trzeciego zawiniątka wydobył dwa świeże kawałki korzenia czarciego ziela.

– Przygotuję je teraz dla ciebie – powiedział.

– O jakim przygotowaniu mówisz, don Juanie?

– Jeden kawałek pochodzi z rośliny męskiej, drugi z żeńskiej. To jedyny moment, kiedy obie rośliny należy umieścić obok siebie. Te kawałki wydobyte zostały z głębokości jednego jardu.

Ucierał je w moździerzu jednostajnymi uderzeniami tłuczka, śpiewając przy tym cicho i monotonnie pozbawioną rytmu pieśń. Jej słowa były dla mnie niezrozumiałe. Praca całkowicie go pochłonęła.

Zakończywszy ucieranie korzeni, wyjął z zawiniątka liście czarciego ziela. Były czyste, dopiero co ucięte; pozbawione wszelkich skaz, jak choćby dziur wygryzionych przez robaki lub nacięć. Wrzucał je po jednym do moździerza. Następnie w ten sam pozbawiony pośpiechu sposób wrzucił tam również pęk kwiatów ziela. Naliczyłem czternaście. Sięgnął wówczas po garść torebek nasiennych, pokrytych kolcami i zamkniętych. Nie zdążyłem ich policzyć, bo wrzucił je od razu do moździerza, przypuszczam jednak, że było ich też czternaście. Dodał jeszcze trzy łodygi oczyszczone z liści. Były ciemnoczerwone, czyste, sądząc zaś po ich licznych rozwidleniach, musiały należeć do okazów sporej wielkości.

Zgromadziwszy te wszystkie części w moździerzu, don Juan tymi samymi miarowymi ruchami utarł zawartość na miazgę. W pewnej chwili przechylił moździerz i wygarnął papkę do starego garnka. Wyciągnął rękę w moją stronę, jak gdyby chciał, żebym ją osuszył. Tymczasem ujął mnie za lewą dłoń i błyskawicznym ruchem rozsunął mój środkowy i czwarty palec na maksymalną odległość. Ugodził mnie wówczas ostrzem noża w miejsce pomiędzy palcami i rozciął skórę na całej długości czwartego palca. Uczynił to tak umiejętnie i z taką prędkością, że nim wyszarpnąłem dłoń, rana była już głęboka i spłynęła obficie krwią. Ponownie chwycił moją rękę, skierował ją nad garnek i ścisnął, by spowodować dodatkowe krwawienie.

Straciłem czucie w ręce. Znajdowałem się w stanie szoku, było mi dziwnie zimno, zesztywniałem, a w piersi i uszach odczuwałem ucisk. Poczułem, że osuwam się na ziemię. Traciłem przytomność! Wypuścił moją rękę i zamieszał zawartość garnka. Doszedłszy do siebie, naprawdę się na niego rozgniewałem. Upłynęło sporo czasu, nim odzyskałem równowagę psychiczną.

Ustawił wokół ogniska trzy kamienie, na których umieścił garnek. Do wszystkiego, co się w nim znajdowało, dodał jeszcze coś, co uznałem za sporą grudkę kleju stolarskiego, dolał garnek wody i czekał, aż się to wszystko zagotuje. Sam zapach roślin z rodzaju *Datura* jest bardzo szczególny. W połączeniu z klejem wydającym silny odór w momencie zagotowania zaczęły one wydzielać tak gryzące opary, że stoczyłem z sobą walkę, żeby nie zwymiotować.

Mikstura gotowała się długo, my zaś siedzieliśmy bez ruchu przed garnkiem. Chwilami, gdy wiatr przywiał w moją stronę falę wydobywającego się z garnka smrodu, wstrzymywałem oddech, starając

się uniknąć tej woni.

Don Juan rozwiązał swój skórzany woreczek i wyciągnął figurkę; podał mi ją ostrożnie i polecił włożyć do garnka, ale tak, żebym nie poparzył sobie dłoni. Pozwoliłem jej ześlizgnąć się gładko w głąb gotującej się bryi. Wydobył nóż, a ja przez sekundę myślałem, że chce mnie znowu zranić, don Juan tymczasem zepchnął figurkę czubkiem noża i zatopił ją.

Przyglądał się jeszcze dłuższą chwilę gotującej się mazi, a potem zabrał się do czyszczenia moździerza. Pomagałem mu. Gdy skończyliśmy pracę, odstawił moździerz i tłuczek pod płot. Wróciliśmy do domu, garnek zaś pozostał na kamieniach przez całą noc.

Nazajutrz o świcie don Juan polecił mi wyciągnąć figurkę z mazi i zawiesić ją pod dachem twarzą na wschód, ażeby wyschła w słońcu. W południe była sztywna jak drut. Wskutek upału klej zakrzepł i nasiąkł zieloną barwą liści. Nabrała ostatecznie niesamowitego połysku.

Don Juan powiedział mi, żebym zdjął figurkę. Następnie wręczył mi skórzany woreczek wykonany przez siebie ze starej zamszowej kurtki, którą mu kiedyś przywiozłem. Woreczek wyglądał tak samo jak jego własny, z tą tylko różnicą, że don Juana wykonany został z miękkiej brązowej skóry.

– Włóż do środka swój “wizerunek" i zamknij – powiedział.

Nie patrzył na mnie, celowo odwrócił głowę. Kiedy włożyłem figurkę do woreczka, podał mi siatkę i polecił, abym umieścił w niej gliniany garnek.

Podszedł do mego auta, wyjął mi z rąk siatkę i przymocował do otwartego wieka skrytki na rękawiczki.

– Chodź ze mną – powiedział.

Poszedłem za nim. Obszedł dom, zataczając pełne koło. Zatrzymał się na werandzie i ponownie okrążył budynek, tym razem odwrotnie do kierunku wskazówek zegara, i znów powrócił na werandę. Stał jakiś czas nieruchomo, po czym usiadł.

Nabrałem zwyczaju, by wierzyć, że wszystko, co robi don Juan, ma jakieś znaczenie. Zastanawiałem się nad znaczeniem okrążania domu, gdy krzyknął:

– Hej! Zapomniałem, gdzie go położyłem. Spytałem, czego szuka. Odpowiedział, że zapomniał, gdzie umieścił pęd, który miałem zasadzić. Jeszcze raz obeszliśmy dom wkoło, nim sobie przypomniał.

Pokazał mi słoik stojący na deseczce przybitej do ściany wysoko pod dachem. Znajdowała się tam druga połówka pierwszej porcji korzenia czarciego ziela. U szczytu odrośli pojawił się zawiązek liści. W słoiku była odrobina wody, ale ani odrobiny ziemi.

– Czemu nie ma ziemi? – zapytałem.

– Ziemia może być różna, a czarcie ziele toleruje tylko taką, na której będzie żyło i rosło. Nadszedł czas, by roślina wróciła do gleby, nim zniszczy ją robactwo.

– Czy możemy zasadzić ją w pobliżu domu? – spytałem.

– Nie! Nie! Tylko nie tutaj. Trzeba ją zasadzić w miejscu, które ci odpowiada.

– Ale gdzie ja znajdę takie miejsce?

– Tego nie wiem. Możesz ją zasadzić, gdziekolwiek zechcesz. Ale trzeba się nią opiekować i doglądać jej, bo musi żyć, byś zyskał potrzebną ci moc. Jeśli umrze, będzie to oznaczać, że cię nie chce, wówczas nie wolno się jej narzucać. Oznacza to, że nie będziesz miał nad nią władzy. A zatem musisz się o nią troszczyć i jej doglądać, żeby rosła. Nie znaczy to jednak, że wolno ci ją rozpieszczać.

– A czemu?

– Bo jeśli nie będzie chciała rosnąć, nie ma sensu jej mamić. Musisz jednak udowodnić, że ci na niej zależy. Odgarniaj od niej robaki i racz ją wodą, kiedy będziesz u niej z wizytą. Trzeba to robić regularnie, aż do chwili, kiedy wyda nasiona. Dopóki nie wykiełkuje pierwsze nasienie, nie będziemy mogli być pewni, czy cię zechce.

– Przecież to niemożliwe, don Juanie, żebym doglądał korzenia w taki sposób, jak sobie tego życzysz.

– Jeśli pragniesz jej potęgi, musisz tak uczynić! Nie ma innej drogi!

– Czy możesz się nią opiekować w mym imieniu podczas mojej nieobecności, don Juanie?

– Nie! Nie mogę! Ja nie! Każdy musi pielęgnować swój pęd. Miałem swój. Teraz ty musisz mieć swój. A poza tym, jak już ci powiedziałem, dopóki nie wyda nasion, nie wolno ci uważać się za gotowego do rozpoczęcia nauki.

– Jak sądzisz, gdzie powinienem ją zasadzić?

– Musisz sam podjąć decyzję! I nikt, nawet ja, nie może znać tego miejsca! W ten sposób odbywa się zasadzenie. Nikt, ale to nikt, nie powinien się dowiedzieć, gdzie znajduje się twoja roślina. Gdyby ktoś szedł za tobą lub cię zobaczył, ucieknij z pędem w inne miejsce. Mógłby ci wyrządzić straszliwą szkodę, gdyby pomanipulował przy roślinie. Mógłby zrobić z ciebie kalekę albo cię uśmiercić. To dlatego nawet ja nie powinienem wiedzieć, gdzie jest twoja roślina.

Podał mi słoik.

– Weź to.

Wziąłem. Niemal siłą zaciągnął mnie do auta.

– Musisz teraz odjechać. Jedź wybrać miejsce dla swego korzenia. Wykop głęboką jamę w miękkiej ziemi, niedaleko od wody. Pamiętaj, że musi być w pobliżu wody, żeby mogła rosnąć. Jamę masz wygrzebać wyłącznie rękoma, nawet gdybyś się pokaleczył do krwi. Umieścisz pęd w samym środku dołka i otoczysz go ziemnym wałem *[pilon].* Nasącz go wodą, a gdy wsiąknie, wypełnij dołek miękką ziemią. Następnie wybierz miejsce w odległości dwóch kroków od pędu, w tym kierunku (wskazał kierunek południowo-wschodni). Wygrzebiesz drugą jamę, także rękoma, i wrzucisz do niej zawartość tego garnka. Następnie roztrzaskaj garnek i zakop skorupy w innym miejscu, daleko od pędu. Jak zakopiesz garnek, wrócisz do korzenia i znowu go podlejesz. Wówczas wyciągniesz swój wizerunek, umieścisz go między palcami, tam gdzie masz świeżą ranę, i stojąc w miejscu, w którym zakopałeś klej, delikatnie dotkniesz rośliny ostrą igłą. Okrążysz ją czterokrotnie, zatrzymując się za każdym razem w tym samym miejscu, żeby jej dotknąć.

– Czy muszę podążać w określonym kierunku, kiedy będę chodził dokoła korzenia?

– W dowolnym. Ale zawsze musisz pamiętać, w którym kierunku znajduje się zakopany przez ciebie klej, i jaki obrałeś kierunek, okrążając roślinę. Dotykaj jej delikatnie za każdym razem prócz ostatniego, kiedy powinieneś zadać jej głębokie pchnięcie. Ale zrób to ostrożnie – uklęknij, żebyś miał pewniejszą rękę, bo nie wolno ci uszkodzić podstawy korzenia. Gdybyś go złamał, będziesz skończony. Korzeń na nic się nie zda.

– Czy mam coś mówić, okrążając roślinę?

– Nie. Zrobię to za ciebie.

Sobota, 27 stycznia 1962

Zaraz po moim przybyciu don Juan oznajmił, że chce mi pokazać, jak się przyrządza mieszankę do palenia. Poszliśmy w góry, zanurzając się w głąb jednego z wąwozów. Don Juan zatrzymał się obok wysokiego, delikatnego krzewu, który wyraźnie różnił się kolorem od otaczającej go roślinności. Chaparral wokół krzewu miał barwę żółtawą, sam krzak natomiast był jasnozielony.

– Z tego krzaka musisz zebrać liście i kwiaty – powiedział don Juan. – Właściwą porą ich zbierania jest Dzień Zaduszny *[el dia de las animas].*

Wydobył nóż i odciął czubek cienkiej gałęzi. Wybrawszy inną, podobną gałąź, uczynił to samo. Powtarzał tę czynność, dopóki nie zgromadził pełnej garści obciętych czubków gałęzi. Wówczas usiadł na ziemi.

– Spójrz – powiedział. – Poucinałem wszystkie gałęzie wyrastające sponad rozwidlenia, gdzie dwa lub więcej liści łączy się z pniem. Zauważyłeś, że wszystkie są takie same? Ścinałem tylko czubek każdej gałęzi, gdzie liście są świeże i delikatne. Teraz musimy poszukać jakiegoś miejsca w cieniu.

Chodziliśmy dopóty, dopóki nie zaczął sprawiać wrażenia, że znalazł to, czego szukał. Wydobył wówczas z kieszeni długi sznurek i związał nim pień oraz niższe gałęzie dwu krzewów, zamieniając go w ten sposób w coś w rodzaju sznura do suszenia bielizny, na którym pozawieszał wierzchołkiem do dołu koniuszki gałęzi. Rozmieścił je na sznurze w równych odstępach, tak że zaczepione za rozwidlenie liści i trzonu przypominały długi szereg zielonych jeźdźców.

– Trzeba dopilnować, żeby liście schły w cieniu – powiedział don Juan. – Miejsce powinno być odosobnione i trudne do odszukania. Dzięki temu liście będą miały zapewnioną ochronę. Należy

pozostawić je do uschnięcia w miejscu, do którego nie można się dostać. Kiedy uschną, trzeba powkładać je do zawiniątka i szczelnie zamknąć.

Pościągał liście ze sznurka i wyrzucił je w pobliskie zarośla. Najwidoczniej chciał mi tylko zademonstrować sposób postępowania.

Udaliśmy się w dalszą wędrówkę, podczas której don Juan zerwał trzy różne kwiaty, mówiąc, że są to składniki mieszanki, które należy zebrać o tej samej porze. Trzeba je jednak umieścić w oddzielnych glinianych garnkach i ususzyć w ciemności; każdy garnek należy nakryć przykrywką, ażeby znajdujące się w środku kwiaty pokryty się pleśnią. Powiedział, że funkcja liści i kwiatów polega na osłodzeniu mieszanki do palenia.

Wyszedłszy z wąwozu, zmierzaliśmy ku korytu rzeki. Zatoczyliśmy wielkie koło i powróciliśmy do domu don Juana. Późnym wieczorem zasiedliśmy w jego własnej izbie – na co pozwalał mi rzadko – i opowiedział mi o ostatnim składniku mieszanki, czyli o grzybach.

– Prawdziwa tajemnica mieszanki tkwi w grzybach – stwierdził don Juan. – Są one tym składnikiem, który najtrudniej zebrać. Wyprawa do miejsca, gdzie rosną, trwa długo i jest niebezpieczna, a wybór właściwego gatunku wiąże się z jeszcze większym ryzykiem. Rośnie on wśród grzybów innego rodzaju, całkowicie nieprzydatnych; gdyby suszyły się razem, właściwa odmiana uległaby zniszczeniu. Upłynie sporo czasu, nim człowiek nauczy się dobrze rozpoznawać grzyby i przestanie popełniać błędy. Użycie złych grzybów wyrządzi wielkie szkody – zarówno człowiekowi, jak i fajce. Słyszałem o ludziach, którzy padli trupem, zaciągnąwszy się zanieczyszczonym dymem. Zebrane grzyby wkłada się od razu do bani, toteż nie ma jak ponownie ich sprawdzić. Chodzi o to, że trzeba je porozrywać na strzępy, żeby mogły przedostać się przez wąską szyjkę naczynia.

– W jaki sposób można uniknąć pomyłki?

– Zachowując ostrożność i wiedząc, co wybrać. Powiedziałem ci, że to trudne. Nie wszyscy mogą obłaskawić dym; większość ludzi nawet tego nie próbuje.

– Jak długo przechowuje się grzyby w bani?

– Rok. Wszystkie pozostałe składniki zamyka się szczelnie na ten sam okres. Następnie odmierza się równe porcje i uciera oddzielnie na bardzo drobny proszek. Grzybków ucierać nie trzeba, bo same zamieniają się w pył, wystarczy utrzeć większe kawałki. Na jedną miarkę wszystkich pozostałych składników przypadają cztery miarki grzybów. To wszystko miesza się razem i wsypuje do takiego woreczka jak mój.

Don Juan wskazał na torebkę wiszącą pod jego koszulą.

– Następnie zbiera się ponownie wszystkie składniki, a kiedy pozostawione zostały do wyschnięcia, można już zapalić mieszaninę, którą sobie przedtem człowiek przygotował. W twoim wypadku – zapalisz w przyszłym roku. Rok później mieszanka będzie już wyłącznie twoją własnością, bo sam zbierzesz wszystkie jej składniki. Za pierwszym razem ja podam ci ogień. Wypalisz całą mieszankę, jaka znajdzie się w fajce, i będziesz czekał. Nadejdzie dym. Poczujesz, że nadszedł. Pozwoli ci ujrzeć wszystko, co zechcesz. Prawdę mówiąc, jest to sprzymierzeniec nie mający sobie równych. Ale wola i dążenie każdego, kto szuka, muszą być bez skazy. Jest to konieczne, gdyż palący musi pragnąć powrotu, w przeciwnym razie dym nie pozwoli mu wrócić. Po drugie palący musi chcieć zapamiętać wszystko, co dym pozwoli mu zobaczyć, bo inaczej umysł przesłoni mu tylko tuman mgły.

Sobota, 8 kwietnia 1962

Podczas naszych rozmów don Juan konsekwentnie używał lub odwoływał się do wyrażenia “człowiek wiedzy", nigdy jednak nie wyjaśnił, co przez to rozumie. Zapytałem go o to.

– Człowiekiem wiedzy jest ten, kto ufnie znosi udręki nauki – odpowiedział. – Jest to człowiek, który bez zbędnego pośpiechu i bez zachwiań posuwa się najdalej jak potrafi w rozwikłaniu tajemnic mocy i wiedzy.

– Czy każdy może zostać człowiekiem wiedzy?

– Nie każdy.

– Co zatem trzeba robić, żeby nim zostać?

– Trzeba rzucić wyzwanie i pokonać czterech naturalnych wrogów człowieka.

– Jeśli pokona się tych czterech wrogów, będzie się człowiekiem wiedzy?

– Tak. Można nazwać się człowiekiem wiedzy jedynie wówczas, gdy jest się zdolnym do pokonania

całej czwórki.

– Czy więc każdy, kto pokona owych wrogów, zostanie człowiekiem wiedzy?

– Każdy, kto ich pokona, stanie się człowiekiem wiedzy.

– Ale czy istnieją jakieś specjalne wymagania, które trzeba spełnić, nim rozpocznie się walkę z tymi wrogami?

– Nie. Każdy może spróbować zostać człowiekiem wiedzy. Udało się to jedynie nielicznej garstce, ale nie ma się czemu dziwić. Wrogowie, których człowiek spotyka na ścieżce nauki pozwalającej zostać człowiekiem wiedzy, naprawdę budzą grozę; większość ludzi im ulega.

– Jacy to wrogowie, don Juanie?

Nie chciał rozmawiać na ten temat. Stwierdził, że upłynie sporo czasu, nim taka rozmowa nabierze dla mnie sensu. Próbowałem kontynuować ten temat, pytając, czy sądzi, że mógłbym zostać człowiekiem wiedzy. Odpowiedział, że tego nikt nie może orzec na pewno. Nie dałem jednak za wygraną, starając się dowiedzieć, czy istnieją jakieś wskazówki pozwalające mu stwierdzić, czy mam jakąś szansę zostać człowiekiem wiedzy. Odpowiedział, że będzie to zależało od wyniku mej walki z czterema wrogami – od tego, czy to ja ich pokonam, czy też oni mnie pokonają – rezultatu nie da się jednak przewidzieć z góry.

Spytałem wówczas, czy mógłby użyć swych umiejętności czarnoksięskich lub wróżbiarskich w celu ustalenia wyniku starcia. Odparł sucho, że nie istnieje żaden sposób pozwalający przewidzieć rezultat owej próby sił, gdyż stanie się człowiekiem wiedzy to kwestia doraźna. Na moją prośbę, żeby wyjaśnił tę sprawę, odpowiedział:

– Człowiekiem wiedzy nie zostaje się raz na zawsze. Właściwie nigdy się nim nie jest, tylko zostaje się nim na krótką chwilę, kiedy pokona się czterech naturalnych wrogów.

– Chcę bardzo, don Juanie, żebyś powiedział, kim są Ci wrogowie.

Nie odpowiedział. Spróbowałem ponownie, ale zmienił temat i zaczął mówić o czymś innym.

Niedziela, 15 kwietnia 1962

W trakcie przygotowań do odjazdu postanowiłem zagadnąć go jeszcze raz o wrogów człowieka wiedzy. Wysunąłem argument, że przez jakiś czas nie będę mógł przyjechać, a zatem dobrze byłoby, gdybym mógł zanotować słowa don Juana i zastanowić się nad nimi podczas mej nieobecności.

Chwilę się wahał, lecz w końcu zaczął mówić.

– Przystępując do nauki, człowiek nigdy nie ma pewności co do swych celów. Jego dążenia naznaczone są skazą, jego zamiary są mgliste. Spodziewa się nagrody, której nigdy nie otrzyma, bo nie ma najmniejszego pojęcia o udrękach nauki. Powoli zaczyna się uczyć, najpierw po kawałeczku, później wielkimi porcjami. Wkrótce też dochodzi do kolizji myśli. To, czego się uczy, nie odpowiada nigdy temu, co sobie wyobrażał lub wymarzył, toteż zaczyna się bać. Uczenie się nie jest nigdy tym, czego się spodziewamy. Każdy etap nauki jest nowym zadaniem, a lęk, jaki człowiek odczuwa, zaczyna narastać bezlitośnie i nieustępliwie. Przedmiot naszych dążeń zamienia się w pole bitwy. Tym sposobem napotykamy naszego pierwszego naturalnego wroga – strach! "Straszny to wróg: zdradziecki i trudny do pokonania. Czai się za każdym zakrętem drogi, czekając w ukryciu. A jeśli człowiek ulęknie się jego obecności i ucieknie, ów wróg położy kres jego poszukiwaniom.

– Co się dzieje z człowiekiem, który ze strachu ucieknie?

– Nic, z tym tylko, że niczego się już nie nauczy. Nie zostanie nigdy człowiekiem wiedzy. Możliwe, że będzie tchórzem znęcającym się nad słabszymi albo nieszkodliwym strachliwcem, ale w każdym razie będzie pokonany. Pierwszy z wrogów położy kres jego gorącym pragnieniom.

– Jakie ma możliwości pokonania strachu?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Nie wolno mu uciec. Musi rzucić wyzwanie lękowi i wbrew niemu zrobić następny krok w nauce, a potem jeszcze i jeszcze jeden. Nie wolno mu uronić niczego ze strachu, a mimo to nie może się zatrzymać w miejscu. Taka jest zasada! Nadejdzie chwila, kiedy pierwszy wróg się cofnie. Człowiek zaczyna wówczas nabierać pewności siebie. Jego zamiary zyskują na sile. Nauka przestaje być zadaniem wywołującym przerażenie. Kiedy nadchodzi ta radosna chwila, człowiek może stwierdzić bez wahania, że pokonał swego pierwszego naturalnego wroga.

– Czy to się dzieje od razu, don Juanie, czy stopniowo?

– Stopniowo, ale zwycięstwo nad strachem dokonuje się nagle i błyskawicznie.

– Ale czy taki człowiek nie przelęknie się znowu, jeśli przydarzy mu się coś nowego?

– Nie. Skoro człowiek raz pokona strach, wyzwala się od niego na całe życie, bo miejsce strachu zajmuje w nim jasność umysłu, która unicestwia lęk. Odtąd człowiek zna swoje pragnienia, wie, jak je zaspokoić. Potrafi przewidzieć kolejne etapy nauki i widzi wszystko z przenikliwą jasnością. Doznaje uczucia, że nic nie jest przed nim zakryte. Tym sposobem napotyka drugiego wroga – jasność! Owa jasność umysłu, którą tak trudno osiągnąć, usuwa lęk, lecz także zaślepia. Zmusza człowieka, żeby nigdy w siebie nie wątpił. Obdarza go pewnością, że nie ma dla niego rzeczy niemożliwych, gdyż potrafi wszystko przeniknąć. Jest odważny, bo jest przenikliwy. Nic go też nie powstrzyma, bo widzi jasno. Ale to błąd. Jeśli człowiek podda się tej iluzorycznej potędze, ulegnie swemu drugiemu wrogowi i zamiast gnać, będzie się ociągał. Będzie się cackał z nauką, aż w końcu straci zdolność do nauczenia się czegoś więcej.

– Co się dzieje z człowiekiem w ten sposób pokonanym, don Juanie? Umiera?

– Nie, nie umiera. Jego drugi wróg odebrał mu wszelką chęć, żeby starał się zostać człowiekiem wiedzy. Taki człowiek zamienia się w nadętego wojownika lub błazna. Ale jasność umysłu, za którą tak słono zapłacił, nie przekształci się nigdy w ciemność i strach. Do końca życia zachowa swoją przenikliwość, ale niczego się już nie nauczy ani niczego nie będzie żarliwie pragnął. ; – Co powinien uczynić, żeby uniknąć porażki?

– Musi zrobić to samo, co zrobił z lękiem: powinien rzucić wyzwanie swej przenikliwości, korzystając z niej tylko w patrzeniu na świat, czekać cierpliwie i odmierzać starannie każdy kolejny krok. Przede wszystkim zaś powinien uważać, że jego przenikliwość niewiele różni się od obłędu. Nadejdzie chwila, kiedy zrozumie, że owa przenikliwość to tylko punkcik w polu jego wzroku. W ten sposób pokona swego drugiego wroga i znajdzie się w położeniu, w którym nic mu już nie będzie zagrażać. Nie będzie to błędem. To nie będzie jedynie punkcik w polu widzenia. Będzie to prawdziwą mocą.

Doszedłszy do tego punktu, przekona się, że znalazł się w końcu w posiadaniu mocy, do której dążył od tak dawna. Może z nią począć, co tylko zechce. Ma sprzymierzeńca do dyspozycji. Jego wola jest prawem. Widzi wszystko, co go otacza. Ale napotkał również trzeciego wroga moc! Moc to najpotężniejszy z wrogów człowieka. Oczywiście, najłatwiej się jest poddać, bo przecież człowieka tak naprawdę nie można pokonać. Wydaje rozkazy; zaczyna od podejmowania rozsądnego ryzyka, a kończy na ustanawianiu praw, gdyż to on jest panem i władca. Człowiek na tym etapie właściwie nie dostrzega, że znalazł się w okrążeniu wroga. Raptem, nic o tym nie wiedząc, przegra całą bitwę, a wróg uczyni z niego kapryśnego okrutnika.

– Czy utraci swą moc?

– Nie, nie utraci nigdy ani przenikliwości, ani swej mocy.

– Czym zatem będzie się różnił od człowieka wiedzy?

– Człowiek pokonany przez moc umiera, nie dowiedziawszy się właściwie, jak się z nią obchodzić. Moc jest jedynie brzemieniem ciążącym na jego losie. Taki człowiek nie jest panem samego siebie i nie wie, kiedy i jak użyć swej mocy.

– Czy klęska zadana przez któregoś z tych wrogów jest ostateczna?

– Oczywiście. Skoro któryś z nich zatriumfuje nad człowiekiem, nic nie da się już zrobić.

– A czy możliwe jest, na przykład, żeby człowiek pokonany przez moc spostrzegł swój błąd i go naprawił?

– Nie. Jeśli człowiek raz się podda, jest skończony.

– A jeśli moc tylko przejściowo go oślepi, a później człowiek ją odrzuci?

– Będzie to znaczyło, że walka trwa i że człowiek próbuje jeszcze zostać człowiekiem wiedzy. Prawdziwa klęska nadchodzi dopiero wówczas, gdy człowiek przestaje próbować i poddaje się.

– Ale jest przecież możliwe, don Juanie, że człowiek poddaje się najpierw na długie lata strachowi, a mimo to ostatecznie go przezwycięża.

– Nie, to nieprawda. Jeśli raz podda się strachowi, nigdy go już nie przezwycięży; nauka będzie napawała go lękiem i zaniecha wszelkich prób. Jeśli jednak będzie starał się uczyć wbrew lękowi, odniesie ostateczne zwycięstwo, bo w rzeczywistości nie pozwoli mu nigdy nad sobą zapanować.

– W jaki sposób można pokonać trzeciego wroga, don Juanie?

– Trzeba mu się z rozmysłem przeciwstawić. Trzeba sobie uświadomić, że moc, nad którą człowiek rzekomo zapanował, w rzeczywistości nigdy nie stanowi jego własności. Cały czas człowiek musi się bardzo pilnować, wykorzystując z wielką ostrożnością i starannością wszystko, czego się nauczył. Jeśli zrozumie, że jasność umysłu i moc, którym nie towarzyszy panowanie nad sobą, są gorsze od błędu, dojdzie do punktu, w którym nic nie wymknie się spod kontroli. Tym sposobem zada klęskę swemu trzeciemu wrogowi. Wówczas to znajdzie się on u kresu swej wyprawy po wiedzę, jednocześnie zaś, właściwie bez ostrzeżenia, napotka ostatniego ze swych wrogów – starość! Jest to wróg najbardziej okrutny, którego nigdy nie da się pokonać całkowicie, można tylko odpierać jego ataki.

Człowiek nie odczuwa już więcej lęku, nie trapią go żadne obawy ani niecierpliwa jasność umysłu – sprawuje pełną kontrolę nad swą mocą, równocześnie jednak zaczyna odczuwać przemożne pragnienie odpoczynku. Jeśli podda się pragnieniu, by położyć się i zapomnieć o wszystkim, jeśli pofolguje swemu zmęczeniu, przegra ostatnią rundę, a ciosy wroga uczynią zeń słabiutkiego starowinę. Pragnienie wycofania się weźmie górę nad całą jego przenikliwością, mocą i wiedzą. Jeśli jednak ów człowiek otrząśnie się ze zmęczenia i mężnie zniesie swój los do samego końca, będzie zasługiwał na miano człowieka wiedzy, choćby przez krótką chwilę zwycięstwa w odpieraniu ataków swego ostatniego niezwyciężonego wroga. I ta chwila jasności umysłu, mocy i wiedzy – wystarczy.

4.

Don Juan rzadko mówił otwarcie o Mescalito. Ilekroć zadawałem mu pytanie na ten temat, uchylał się od odpowiedzi, zawsze jednak mówił dostatecznie dużo, by wywołać wrażenie, że Mescalito ma cechy istoty ludzkiej. Jest płci męskiej, nie tylko z powodu reguły gramatycznej nadającej temu słowu rodzaj męski, lecz także dlatego, że zgodnie ze swymi właściwościami jest obrońcą i nauczycielem. Zawsze, gdy rozmawialiśmy na ten temat, don Juan w różny sposób potwierdzał właśnie tę jego charakterystykę.

Niedziela, 24 grudnia 1961

– Czarcie ziele nigdy nikogo nie chroniło. Ta roślina dostarcza tylko mocy, Mescalito natomiast jest łagodny jak niemowlę.

– Mówiłeś jednak, że niekiedy budzi grozę.

– Oczywiście, że budzi grozę, ale gdy się go pozna, jest łagodny i dobry.

– W jaki sposób okazuje swą dobroć?

– Jest obrońcą i nauczycielem.

– W jaki sposób broni człowieka?

– Można go nosić cały czas przy sobie, a ustrzeże cię przed wszelkim niebezpieczeństwem.

– Jak można go nosić cały czas przy sobie?

– W woreczku przywiązanym do ręki albo zawieszonym na sznurku u szyi.

– Nosisz go przy sobie?

– Nie, bo mam sprzymierzeńca. Ale inni noszą.

– Czego uczy?

– Uczy właściwego sposobu życia.

– W jaki sposób?

– Pokazuje różne rzeczy i mówi, czym są. *[Ensena las cosas y te dice lo que son.]*

– W jaki sposób?

– Sam się przekonasz.

Wtorek, 30 stycznia 1962

– *Co* widzi człowiek, którego Mescalito zabiera ze sobą, don Juanie?

– To nie może być tematem zwykłej rozmowy. Nie mogę ci odpowiedzieć.

– Czy stałoby się coś złego, gdybyś mi powiedział?

– Mescalito to obrońca, dobry i łagodny obrońca, ale to nie znaczy, że można sobie z niego żartować. Jest dobry i dlatego może wzbudzić śmiertelne przerażenie u tych, których nie lubi.

– Nie zamierzam z niego żartować. Chcę się tylko dowiedzieć, co inni ludzie mogą za jego sprawą uczynić lub zobaczyć. Opowiedziałem ci, don Juanie, wszystko, co sam ujrzałem dzięki Mescalito.

– Z tobą sprawa ma się inaczej, może dlatego, że nic o nim nie wiesz. Trzeba cię nauczyć sposobów jego działania, tak jak dziecko uczy się mówić.

– Jak długo mam się jeszcze uczyć?

– Dopóki nie odsłoni ci się znaczenie Mescalito.

– A potem?

– Potem zrozumiesz wszystko sam. Nie będziesz mi już musiał niczego opowiadać.

– A może powiesz mi tylko, dokąd Mescalito ciebie zabiera?

– Nie mogę.

– Chciałbym się tylko dowiedzieć, czy istnieje jakiś inny świat, do którego zabiera on ludzi.

– Istnieje.

– Czy to jest niebo? [Hiszpański wyraz *cielo* oznacza zarówno niebiosa, jak i niebo.]

– Mescalito zabiera człowieka w głąb nieba *[cielo}.*

– Czyli tam, gdzie jest Bóg?

– Pleciesz bzdury. Nie wiem, gdzie jest Bóg.

– Czy Mescalito jest Bogiem, jedynym czy też jednym spośród wielu bogów?

– Jest obrońcą i nauczycielem. Jest mocą.

– Mocą w nas samych?

– Nie. Nie ma z nami nic wspólnego. Przebywa poza nami.

– A więc każdy, kto go spożyje, musi ujrzeć tę samą jego postać.

– Bynajmniej. Nie dla wszystkich jest taki sam.

Czwartek, 12 kwietnia 1962

– Dlaczego nie opowiesz mi czegoś więcej o Mescalito, don Juanie?

– Nie ma co opowiadać.

– Na pewno jest mnóstwo rzeczy, które powinienem wiedzieć, nim się z nim spotkam.

– Nie. Możliwe, że nie trzeba, żebyś wiedział cokolwiek. Mówiłem ci, że nie dla wszystkich jest taki sam.

– Wiem, a jednak chciałbym wiedzieć, jaki inni ludzie mają do niego stosunek.

– Opinie tych, którym chce się rozprawiać na ten temat, nie są wiele warte. Sam zobaczysz. Będzie chyba tak, że do pewnego momentu będziesz o nim rozmawiał, a potem nie powiesz już ani słowa na ten temat.

– Czy możesz mi opowiedzieć o swoich przeżyciach podczas pierwszego spotkania?

– A po co?

– Dowiem się, jak postępować z Mescalito.

– Wiesz już i tak więcej ode mnie. Przecież bawiliście się razem. Kiedyś zrozumiesz, jak życzliwie potraktował cię obrońca. Jestem przekonany, że za pierwszym razem powiedział ci bardzo dużo, ale byłeś głuchy i ślepy.

Niedziela, 15 kwietnia 1962

– Czy Mescalito przyjmuje dowolną postać, ukazując się człowiekowi?

– Tak. Dowolną.

– Jakie ze znanych ci postaci występują najczęściej?

– Nie istnieją najczęstsze postaci.

– Chcesz powiedzieć, że przyjmuje on dowolną postać, nawet ukazując się ludziom, którzy dobrze go znają?

– Nie. Dowolną postać przyjmuje tylko wobec tych, którzy znają go mało, ale wobec tych, którzy znają go dobrze, jest zawsze stały.

– Jak to “stały"?

– Pojawia się im niekiedy pod postacią człowieka, podobnego do nas, albo w postaci światła. Po prostu światła.

– A czy Mescalito kiedykolwiek zmienia swą stałą postać podczas spotkań z tymi, którzy go dobrze znają?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Piątek, 6 lipca 1962

Późnym popołudniem w sobotę 23 czerwca rozpoczęła się moja wspólna z don Juanem wyprawa.

Powiedział, że ruszamy na poszukiwanie grzybów *[honguitos]* w stanie Chihuahua, wyprawa zaś będzie długa i uciążliwa. Miał rację. W środę, 27 czerwca, o dziesiątej wieczorem dotarliśmy do małej osady górniczej w północnej części stanu Chihuahua. Trasę od miejsca na skraju miasteczka, gdzie zaparkowałem auto, do domu zaprzyjaźnionej z don Juanem pary małżeńskiej z plemienia Taranumara przebyliśmy pieszo. Tam też przenocowaliśmy.

Rankiem, około piątej, obudził nas gospodarz. Przyniósł nam owsianki i fasoli. Podczas posiłku rozmawiał z don Juanem, ale nie wspomniał ani słowem o naszej wyprawie.

Po śniadaniu Indianin nalał mi wody do manierki, a do plecaka wsunął dwie słodkie bułki. Don Juan podał mi manierkę, zasznurował plecak, podziękował gospodarzowi za gościnę, po czym zwracając się w moją stronę, powiedział:

– Pora ruszać.

Mniej więcej milę szliśmy polną drogą, a potem skręciliśmy na pola i po dwóch godzinach marszu znaleźliśmy się u podnóży gór położonych na południe od osady. Pięliśmy się po łagodnych zboczach w kierunku południowo-zachodnim. Gdy dotarliśmy do partii bardziej stromych, don Juan zmienił kierunek i poszliśmy rozległą doliną ku wschodowi. Pomimo podeszłego wieku don Juan narzucił tak niesamowicie szybkie tempo, że około południa byłem zupełnie wyczerpany. Usiedliśmy, a don Juan rozwiązał torbę z chlebem.

– Jeżeli chcesz, możesz zjeść wszystko – powiedział.

– A ty?

– Nie jestem głodny, a później nie będziemy potrzebowali tego pokarmu.

Byłem bardzo głodny i zmęczony, toteż skorzystałem z tej propozycji. Wydawało się, że nadeszła odpowiednia pora, żeby porozmawiać o celu naszej wyprawy, i zagadnąłem całkiem od niechcenia:

– Sądzisz, że pobędziemy tu dłużej?

– Przybyliśmy tu, żeby nazbierać trochę Mescalito. Zatrzymamy się tu do jutra.

– Gdzie jest Mescalito?

– Wszędzie dookoła nas.

Cały teren porastały obficie liczne gatunki kaktusów, ale nie potrafiłem odróżnić wśród nich pejotlu.

Podjęliśmy wędrówkę i o trzeciej po południu dotarliśmy do długiej, wąskiej doliny położonej wśród wzgórz o stromych zboczach. Na myśl o poszukiwaniu pejotlu ogarnęło mnie dziwne podniecenie, choć nigdy w życiu nie widziałem tej rośliny w jej naturalnym otoczeniu. Weszliśmy do doliny, a po przejściu chyba czterystu stóp spostrzegłem nagle trzy łatwe do rozpoznania okazy pejotlu. Rosły tuż obok siebie kilka cali ponad ziemią po lewej stronie ścieżki na wprost mnie. Przypominały z wyglądu okrągłe, mięsiste, zielone róże. Podbiegłem do nich, pokazując je don Juanowi.

Nie zwrócił na mnie uwagi i umyślnie odwrócił się plecami. Wiedziałem, że postąpiłem niewłaściwie i przez resztę popołudnia szliśmy w milczeniu, posuwając się wolno po płaskim dnie doliny usianym kamieniami o ostrych krawędziach. Wędrowaliśmy wśród kaktusów, płosząc gromady jaszczurek, niekiedy zaś osamotnionego ptaka. Mijałem rosnący tuzinami pejotl, nie odzywając się słówkiem.

O szóstej znaleźliśmy się u stóp gór wznoszących się na skraju doliny. Dotarłszy do skalnego występu, don Juan zrzucił swój worek i usiadł.

Poczułem ponownie głód, ale nie mieliśmy już nic do jedzenia; zaproponowałem, żebyśmy zerwali Mescalito i udali się w drogę powrotną do osady. Don Juan sprawiał wrażenie poirytowanego; cmoknął głośno i powiedział, że przenocujemy w tym miejscu.

Siedzieliśmy spokojnie. Na lewo od nas wznosiła się skalna ściana, a na prawo znajdowała się dolina, którą przemierzyliśmy wcześniej. Rozciągała się ona dość szeroko i sprawiała wrażenie szerszej i mniej płaskiej, niż sądziłem. Spoglądając na nią z miejsca, gdzieśmy siedzieli, spostrzegłem, że usiana była wieloma wzgórzami i wypukłościami.

– Jutro zaczniemy wracać – powiedział, nie patrząc na mnie, don Juan i wskazał na dolinę. – Utorujemy sobie drogę powrotną i zerwiemy go, idąc polami. Ale zerwiemy go tylko wówczas, gdy natrafimy na niego po drodze. To on nas znajdzie, a nie odwrotnie. Znajdzie nas, jeżeli tego zapragnie.

Don Juan oparł się o skalną ścianę i trzymając głowę odwróconą ode mnie, mówił dalej, jakby prócz mnie była tam jeszcze jakaś inna osoba.

– Jeszcze jedno. Tylko ja mogę go zerwać. Możliwe, że będziesz niósł torbę albo szedł przede mną – jeszcze nie wiem. Ale jutro nie wskażesz w jego stronę, jak zrobiłeś to dzisiaj!

– Przepraszam, don Juanie.

– W porządku. Nie wiedziałeś.

– Czy twój dobroczyńca nauczył cię tego wszystkiego na temat Mescalito?

– Nie. Nikt mnie niczego nie uczył. Moim nauczycielem był sam obrońca.

– Czyli że Mescalito to jakby osoba, z którą można porozmawiać?

– Nie.

– To w jaki sposób on uczy? Don Juan milczał dłuższą chwilę.

– Pamiętasz, jak się z nim bawiłeś? Wiedziałeś wtedy, o co mu chodzi, prawda?

– Wiedziałem!

– Właśnie w ten sposób uczy. Wtedy tego nie wiedziałeś, ale gdybyś poświęcił mu trochę uwagi, przemówiłby do ciebie.

– Kiedy?

– Za pierwszym razem, kiedyś go zobaczył. Wyglądało na to, że moje pytania bardzo go poirytowały. Powiedziałem mu, że muszę je zadawać, bo chcę się dowiedzieć możliwie jak najwięcej.

– Nie mnie pytaj! – Uśmiechnął się złośliwie. – Zapytaj jego. Jak się z nim zobaczysz następnym razem, spytaj go o wszystko, czego byś się chciał dowiedzieć.

– Czyli że Mescalito jest kimś, z kim można porozmawiać...

Nie pozwolił mi skończyć, chwycił manierkę, zsunął się ze skalnego występu i zniknął za skałą. Nie miałem ochoty pozostać tam sam, toteż, choć mnie o to nie prosił, poszedłem za nim. Po przejściu około pięciuset stóp doszliśmy do strumyka. Obmył ręce i twarz i napełnił manierkę. Przepłukał usta, ale nie połknął wody. Nabrałem wody w dłonie i napiłem się trochę, lecz don Juan powstrzymał mnie, mówiąc, że to niewskazane.

Podał mi manierkę i ruszył z powrotem ku występowi. Doszedłszy na miejsce, usiedliśmy z twarzami zwróconymi do doliny, a plecami do skały. Spytałem, czy mogę rozpalić ognisko. Zachował się tak, jakby moje pytanie było czymś nie do pojęcia. Oznajmił, że tej nocy jesteśmy gośćmi Mescalito, który nie pozwoli nam zmarznąć.

Zapadł już zmierzch. Don Juan wydobył ze swych worków dwa cienkie bawełniane koce, cisnął mi jeden na kolana, drugi zaś zarzucił sobie na ramiona i usiadł ze skrzyżowanymi nogami. Dolina pod nami pogrążała się w mroku, jej brzegi rozpływały się już w wieczornej mgle.

Siedzący nieruchomo don Juan wpatrywał się w pole pejotlowe. W twarz wiał mi jednostajny wiatr.

– O zmierzchu rozszczepiają się światy – powiedział łagodnie don Juan, wciąż odwrócony ode mnie.

Nie spytałem, co ma na myśli. Moje oczy ogarnęło zmęczenie. Nagle poczułem głębokie wzruszenie i dziwną, przemożną chęć płaczu!

Położyłem się na brzuchu; skaliste podłoże było twarde i niewygodne, co parę minut musiałem zmieniać pozycję. Na koniec usiadłem i skrzyżowałem nogi, naciągając koc na barki. Ku swemu zdziwieniu, przekonałem się, że jest to pozycja szalenie wygodna – usnąłem.

Zbudziwszy się, usłyszałem, że don Juan mówi do mnie. Było całkiem ciemno. Nie widziałem go dobrze. Nie rozumiałem tego, co do mnie mówił, ale podążyłem za nim, gdy zaczął schodzić ze skalnego występu. Z powodu ciemności poruszaliśmy się – w każdym razie ja się poruszałem – bardzo ostrożnie. Zatrzymaliśmy się u podnóża skalnej ściany. Don Juan usiadł i dał mi znak, bym uczynił to samo na lewo od niego. Rozchylił koszulę i wydobył skórzaną sakiewkę; otwarł ją i położył przed sobą na ziemi. Wewnątrz znajdowało się kilka gałek pejotlowych.

Po długiej przerwie wyciągnął jedną z nich. Ujął ją w prawą dłoń i pocierając kciukiem oraz palcem wskazującym, śpiewał coś monotonnym i łagodnym głosem. Raptem wydał z siebie przeraźliwy okrzyk:

– Ahiii!

Było to coś niesamowitego i nieoczekiwanego. Przepełniła mnie groza. Jak przez mgłę widziałem, że włożył gałkę do ust i zaczął ją żuć. Po chwili podniósł z ziemi sakiewkę, pochylił się w moją stronę i szepnął, bym ją wziął, wybrał jedną gałkę Mescalito, położył sakiewkę znów przed nami, a potem zrobił dokładnie to samo co on.

Wyciągnąłem gałkę pejotlu i potarłem ją tak jak on. Tymczasem don Juan mamrotał dalej swą pieśń, kiwając się miarowo. Kilkakrotnie spróbowałem włożyć gałkę do ust, ale nie mogłem się zdobyć na wydanie okrzyku. Wówczas, niczym we śnie, wydobył się ze mnie niesamowity wrzask: Ahiiii! Przez chwilę myślałem, że to nie ja. Ponownie odczułem w żołądku skutki szoku nerwowego. Opadałem do tyłu, robiło mi się słabo. Wsunąłem do ust gałkę pejotlu i zacząłem żuć. Po chwili don Juan wyjął z sakiewki następną. Odczułem ulgę, widząc, że wymruczawszy swą pieśń, wkłada gałkę do ust. Podał mi sakiewkę, którą położyłem przed nami, i wyjąłem kolejną gałkę. Ten cykl powtórzył się pięciokrotnie, nim poczułem pragnienie. Sięgnąłem po manierkę, ale don Juan polecił mi przepłukać tylko usta, a nie pić, bo zwymiotuję.

Woda chlupotała mi w ustach – w pewnej chwili odczułem nieodpartą pokusę napicia się i połknąłem odrobinę płynu. Mój żołądek momentalnie ogarnęły skurcze. Spodziewałem się, że woda spłynie bez trudu i bezboleśnie w głąb ciała, jak działo się to podczas mego pierwszego spotkania z pejotlem, ku memu wszakże zaskoczeniu zebrało mi się zwyczajnie na wymioty. Trwało to jednak krótko.

Don Juan sięgnął po następną gałkę, podał mi sakiewkę i cały cykl zaczął się od nowa i powtarzał się, dopóki nie zżułem czternastu gałek. Do tej pory ustąpiły wszystkie moje wcześniejsze doznania pragnienia, zimna i niewygody. Zastąpiło je nie znane mi wrażenie ciepła i podekscytowania. Sięgnąłem po manierkę, chcąc odświeżyć sobie usta, lecz była pusta.

– Możemy pójść do strumienia, don Juanie?

Dźwięk mojego głosu nie wydobył się na zewnątrz, tylko uderzył w szczyt mego podniebienia, odbił się w czeluści gardła i krążył echem pomiędzy nimi. Echo było łagodne i muzyczne; wydawało mi się, że skrzydła łopocą mi w gardle. Jego dotknięcie było kojące. Śledziłem jego krążenie, dopóki nie ucichło.

Powtórzyłem pytanie. Mój głos brzmiał tak, jakbym odezwał się w wysoko sklepionej piwnicy.

Don Juan nie odpowiedział. Wstałem i udałem się w kierunku strumienia. Spojrzałem w stronę don Juana, chcąc sprawdzić, czy idzie za mną, ale sprawiał wrażenie, jakby czegoś nasłuchiwał.

Nie znoszącym sprzeciwu gestem nakazał mi zachować ciszę.

– Abuhtol [?] już tu jest! – powiedział.

Słyszałem ten wyraz po raz pierwszy w życiu i zastanawiałem się właśnie, czy zagadnąć o jego znaczenie, gdy usłyszałem brzęczący mi w uszach hałas. Dźwięk stopniowo narastał, upodabniając się w końcu do wibrującego ryku ogromnego byka. Wybuchł na chwilę, po czym stopniowo cichł, dopóki ponownie nie zaległa całkowita cisza. Byłem przerażony gwałtownością i natężeniem hałasu. Opanowało mnie tak wielkie drżenie, że ledwie mogłem wstać, mimo to zachowałem całkowitą zdolność logicznego myślenia. O ile kilka minut wcześniej ogarniała mnie senność, to teraz zupełnie ustąpiła, jej miejsce zajęła natomiast niesłychana klarowność umysłu. Hałas, jaki usłyszałem, przypomniał mi scenę z filmu fantastycznonaukowego, w której gigantyczna pszczoła wylatująca z obszaru promieniowania atomowego brzęczy skrzydełkami. Roześmiałem się. Zobaczyłem, że don Juan wygląda znów na odprężonego. Obraz gigantycznej pszczoły raptem powrócił do mnie. Był bardziej realny niż zwykłe myśli. Widziałem tylko pszczołę otoczoną zewsząd niesamowitą jasnością. Prócz jej obrazu mój umysł nie zawierał niczego innego. Wskutek owego stanu jasności umysłowej, nie mającego w mym życiu żadnych precedensów, doznałem znowu uczucia trwogi.

Oblałem się potem. Pochyliłem się w stronę don Juana, chcąc mu powiedzieć, że się boję. Jego twarz oddalona była od mojej o kilka cali. Wpatrywał się we mnie oczami pszczoły. Wyglądały jak szklane kule świecące w ciemności własnym światłem. Spomiędzy wydętych warg don Juana dobywał się miarowy stukot: "Pektuh – pek – tuh – pet tuh". Odskoczyłem do tyłu, roztrzaskując się niemal o skalną ścianę. Doznałem trwającego, jak mi się zdawało, wieczność i niemożliwego do zniesienia lęku. Dyszałem i pojękiwałem. Zamarzający na mej skórze pot nadawał memu ciału przykrą sztywność. Wówczas usłyszałem glos don Juana:

– Wstawaj! Rusz się! Wstawaj!

Pszczoła zniknęła i znów ujrzałem znajomą twarz Indianina.

– Przyniosę wody – powiedziałem po długiej przerwie. Głos mi się załamał; wypowiadanie słów przychodziło mi z największym trudem. Don Juan potaknął ruchem głowy. Idąc w stronę strumienia, uświadomiłem sobie, że strach opuścił mnie równie szybko i w równie tajemniczy sposób, jak się pojawił.

Doszedłszy do strumienia, spostrzegłem, że widzę wszystko wokół mnie. Przypomniałem sobie, że wyraźnie widziałem don Juana, podczas gdy wcześniej mogłem dojrzeć jedynie zarys jego sylwetki. Zatrzymałem się i spojrzałem daleko przed siebie – sięgałem wzrokiem przeciwnego końca doliny. Doskonale widziałem leżące tam głazy. Pomyślałem, że musi być tuż nad ranem, ale przyszło mi do głowy, że przecież mogłem zatracić poczucie czasu. Spojrzałem na zegarek. Była za dziesięć dwunasta. Sprawdziłem, czy mój zegarek nadal chodzi. To nie mógł być środek dnia, musiała być północ! Zamierzałem skoczyć po wodę i wrócić między skały, ale ujrzałem nadchodzącego don Juana i poczekałem na niego. Powiedziałem mu, że widzę w ciemności.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę bez jednego słowa; możliwe, że jeśli przemówił, to nie usłyszałem jego słów, bo skupiłem się na mej nowej, wyjątkowej zdolności widzenia po ciemku. Potrafiłem rozróżnić najdrobniejsze kamyki rozsiane w piasku. Chwilami wszystko stawało się tak wyraźne, że zdawało mi się, iż to wczesny ranek lub zmierzch. Raz robiło się jasno, to znów ciemno. Rychło też uprzytomniłem sobie, że chwile jasności odpowiadają rozkurczom mego serca, natomiast ciemność jego skurczom. Za każdym uderzeniem mego serca świat zmieniał się z wypełnionego blaskiem na pogrążony w mroku i znów w wypełniony blaskiem.

Skupiłem się całkowicie na tym odkryciu, gdy ten sam osobliwy dźwięk, który dobiegł mnie wcześniej, dał się ponownie słyszeć. Mięśnie mi zesztywniały.

– Anuhctal [bo to słowo usłyszałem tym razem] jest tutaj – powiedział don Juan.

Wydawało mi się, że słyszę ryk tak przerażający, że nic poza nim się nie liczy. Gdy ucichł, spostrzegłem nagły przybór wody: strumyczek, który jeszcze przed chwilą nie miał stopy szerokości, rozlał się w olbrzymie jezioro. Płynące jakby sponad niego światło błyszczało na powierzchni, jak gdyby wyzierając przez gęste listowie. Niekiedy woda migotała przez sekundę czarno-złocistymi rozbłyskami, zamieniając się potem w ciemną, pozbawioną światła, niemal niewidoczną, a jednak w dziwny sposób dającą się odczuć masę.

Nie pamiętam, jak długo siedziałem przykucnięty na brzegu czarnego jeziora, zajęty wyłącznie patrzeniem. Ryk musiał tymczasem zupełnie ucichnąć, gdyż tym, co przywróciło mnie (do rzeczywistości?), było znowu przeraźliwe brzęczenie. Odwróciłem się w poszukiwaniu don Juana. Zobaczyłem, że wspina się w górę i znika za skalnym występem. Uczucie osamotnienia wcale mi jednak nie przeszkadzało; siedziałem tam przykucnięty, przepełniony ufnością i całkowicie odprężony. Ryk znów stał się słyszalny; był bardzo głośny i przypominał szum porywistego wiatru. Wsłuchując się weń bardzo uważnie, zdołałem odkryć wyraźną melodię. Składały się na nią piskliwe dźwięki podobne do głosów ludzkich, którym towarzyszyło głębokie dudnienie bębna. Skupiłem całą uwagę na melodii i znowu spostrzegłem, że skurcze i rozkurczę mego serca zbiegają się z odgłosem bębna i rysunkiem melodii.

Kiedy wstałem, muzyka umilkła. Usiłowałem wsłuchać się w rytm mego serca, ale nie usłyszałem jego uderzeń. Kucnąłem ponownie, bo pomyślałem, że to może pozycja mego ciała wywołuje owe dźwięki! Nic się jednak nie stało! Zupełna cisza! Umilkło nawet moje serce! Uznałem, że już wystarczy, kiedy jednak się podniosłem, poczułem, że ziemia pod moimi stopami drży. Zacząłem tracić równowagę. Przewróciłem się na plecy i pozostałem w tej pozycji, w miarę jak trzęsienie ziemi przybierało na sile. Próbowałem uchwycić się jakiegoś głazu lub rośliny, coś się jednak pode mną przesuwało. Zerwałem się na równe nogi, przez chwilę stałem prosto i ponownie upadłem. Ziemia, na której siedziałem, zsuwała się do wody niczym tratwa. Zamarłem w bezruchu, ogarnięty przerażeniem – wyjątkowym, dogłębnym i absolutnym, tak jak wszystko, co działo się ze mną.

Posuwałem się wodami czarnego jeziora przycupnięty na skrawku ziemi, który wyglądał jak gliniana kłoda. Miałem wrażenie, że zmierzam na południe, niesiony prądem. Widziałem rozstępującą się przede mną wodę. W dotyku była zimna i osobliwie ciężka. Zdawało mi się, że jest obdarzona życiem.

Nie było widać brzegów ani żadnych punktów orientacyjnych, nie mogę sobie także przypomnieć, o czym myślałem i co odczuwałem podczas tej podróży. Wydawało mi się, że dryfowanie trwa już wiele godzin, gdy tratwa wykonała nagle skręt pod kątem prostym na lewo, ku wschodowi. Ślizgała się jeszcze kawałeczek po wodzie i raptem o coś uderzyła. Wskutek zderzenia poleciałem do przodu. Zamknąłem oczy i poczułem ostry ból w momencie, gdy kolanami i wyciągniętymi przed siebie rękoma

uderzyłem o ziemię. Po chwili spojrzałem w górę. Leżałem w błocie. Wyglądało na to, że moja kłoda wtopiła się w ląd. Usiadłem i rozglądnąłem się. Woda cofała się! Posuwała się do tyłu jak powracająca fala, wreszcie zniknęła.

Siedziałem tam bardzo długo, usiłując pozbierać myśli i nadać wszystkiemu, co się wydarzyło, jakąś spójną postać. Odczuwałem ból w całym ciele. Miałem wrażenie, że gardło zmieniło mi się w otwartą ranę: podczas "lądowania" przygryzłem sobie wargi. Wstałem. Podmuch wiatru sprawił, iż byłem zziębnięty. Ubranie było mokre. Moje ręce, szczęki i kolana opanowało tak gwałtowne drżenie, że musiałem ponownie położyć się na ziemi. Krople potu zalewające mi oczy piekły tak bardzo, że krzyczałem z bólu.

Po pewnym czasie trochę się uspokoiłem i wstałem. Mimo gęstego mroku widziałem wszystko bardzo wyraźnie. Przeszedłem kilka kroków. Usłyszałem wyraźny dźwięk wielu ludzkich głosów. Wydawało mi się, że głośno z sobą rozmawiają. Poszedłem za tym dźwiękiem;

przemierzywszy mniej więcej pięćdziesiąt jardów, raptownie się zatrzymałem. Był to ślepy zaułek. Znajdowałem się wewnątrz corralu zbudowanego z ogromnych głazów. Widziałem następny ich rząd, za nim następny i jeszcze jeden, i tak aż po samą górę. Spośród nich dobiegała zniewalająco piękna muzyka – nieprzerwany strumień przedziwnych dźwięków.

U stóp jednego z głazów ujrzałem człowieka siedzącego na ziemi profilem do mnie. Podszedłem do niego na odległość około dziesięciu stóp; wówczas zwrócił spojrzenie w moją stronę. Stanąłem w pół kroku: jego oczy miały wygląd wody, którą widziałem wcześniej! Ich barwa była tak samo intensywna, iskrzyły się tą samą złocistością i czernią. Jego głowa zwężała się ku czubkowi jak truskawka, a zieloną skórę pokrywały niezliczone brodawki. Z wyjątkiem spiczastego kształtu, głowa tego człowieka dokładnie odpowiadała wyglądem powierzchni pejotlu. Stałem wpatrzony w niego, nie mogąc oderwać oczu. Wydawało mi się, że swym ciężkim spojrzeniem umyślnie naciska mi na pierś.

Dławiłem się. Straciwszy równowagę, runąłem na ziemię. Odwrócił wówczas wzrok i usłyszałem, że coś do mnie mówi. Początkowo brzmienie jego głosu podobne było do szelestu łagodnego wiatru. Później zamienił się w mych uszach w muzykę – w melodię na głosy – i "wiedziałem", że składają się na nią słowa: "Czego chcesz?"

Ukląkłem przed nim i opowiedziałem mu o swym życiu, a potem się rozpłakałem. Ponownie spojrzał na mnie. Wydawało mi się, że odpycha mnie wzrokiem, i zaświtała mi myśl, że oto nadeszła chwila mojej śmierci. Dał znak, bym się zbliżył. Zawahałem się przez sekundę, nim postąpiłem w jego stronę. Kiedy podszedłem do niego, odwrócił ode mnie wzrok i pokazał mi wierzch dłoni. "Spójrz" – powiedziała melodia. Na środku dłoni ujrzałem okrągły otwór. "Spójrz" – powtórzyła melodia. Spojrzałem w głąb otworu i ujrzałem siebie. Byłem zgrzybiałym starcem, który biegnie pochylony ku ziemi wśród warkoczy świetlistych iskier. Wtem uderzyły mnie trzy iskry: dwie w głowę, a jedna w lewe ramię. Moja postać – tam w otworze – wyprostowała się na chwilę, przyjmując pozycję całkowicie pionową, a następnie zniknęła zupełnie razem z otworem.

Mescalito znów skierował wzrok na mnie. Jego oczy znajdowały się tak blisko mnie, że "usłyszałem" delikatne szemranie tego osobliwego dźwięku, który tylekroć słyszałem owej nocy. Stopniowo przepełnił je spokój, aż upodobniły się do cichego stawu, którego powierzchnię mąciły złote i czarne rozbłyski.

Odwrócił ode mnie spojrzenie kolejny raz i podskakując niczym świerszcz, przemierzył około pięćdziesięciu jardów. Skakał dalej, póki nie zniknął.

Pamiętam także, że zacząłem kroczyć przed siebie. Zachowując się w sposób niezwykle racjonalny, próbowałem rozpoznać punkty orientacyjne, takie jak góry nieopodal, aby zorientować się, gdzie jestem. Przez cały czas moją uwagę zaprzątały strony świata i sądziłem, że północ musi się znajdować na lewo ode mnie. Dość długo szedłem w tym kierunku, nim uświadomiłem sobie, że jest już jasno i nie korzystam z mej umiejętności "widzenia w nocy". Przypomniałem sobie, że mam zegarek, i popatrzyłem na tarczę. Była ósma.

Kiedy dotarłem do skalnej półki, gdzie znalazłem się poprzedniej nocy, była dziesiąta. Don Juan leżał na ziemi.

– Gdzie byłeś? – spytał. Usiadłem, żeby złapać oddech. Po długim milczeniu zapytał:

– Widziałeś go?

Zacząłem relacjonować przebieg wydarzeń od samego początku, ale przerwał mi, mówiąc, że liczy się tylko to, czy go widziałem. Zapytał, jak blisko mnie znajdował się Mescalito. Odpowiedziałem, że

prawie go dotknąłem.

Ten fragment mojej opowieści wzbudził jego zainteresowanie. Z uwagą wysłuchał wszystkich szczegółów, niczego nie komentując i przerywając mi tylko po to, by zapytać o kształt widzianej przeze mnie istoty, jej nastawienie oraz inne dotyczące jej szczegóły. Mniej więcej w południe don Juan miał już chyba dość mego opowiadania. Wstał i przytroczył do mej piersi płócienny worek. Kazał mi iść za sobą i oznajmił, że zamierza uwolnić Mescalito, którego będę musiał wziąć w dłonie i w łagodny sposób umieścić w worku.

Wypiliśmy trochę wody i ruszyliśmy w drogę. Gdy dotarliśmy do krańca doliny, don Juan jakby wahał się przez moment, nim zadecydował, w którym iść kierunku. Odkąd powziął decyzję, szliśmy już prosto przed siebie.

Ilekroć napotykaliśmy pejotl, kucał przed rośliną i bardzo delikatnie odcinał czubek swym krótkim, ząbkowanym nożem. Wykonywał nacięcie tuż nad ziemią, po czym posypywał "ranę" – bo tak to nazywał – sproszkowaną siarką, którą niósł z sobą w skórzanym woreczku. Do lewej ręki brał świeżą gąbkę, prawą zaś nacierał ją proszkiem. Następnie prostował się i podawał mi gałkę, którą, zgodnie z jego zaleceniem, brałem w obie dłonie i wkładałem do płóciennej torby.

– Stój prosto i nie dopuść, żeby torba dotknęła ziemi, krzaków lub czegokolwiek innego – powtarzał za każdym razem, jak gdyby obawiał się, że mogę zapomnieć.

Zebraliśmy sześćdziesiąt pięć gałek. Kiedy worek wypełnił się całkowicie, umieścił go na mym grzbiecie, a do piersi przytroczył mi nowy. Przemierzając cały płaskowyż, uzbieraliśmy dwie pełne torby zawierające sto dziesięć gałek pejotlu. Były tak ciężkie i wypchane, że prawie uniemożliwiły mi chodzenie.

Don Juan powiedział mi szeptem, że torby są takie ciężkie, bo Mescalito, chce wrócić do ziemi. Wyjaśnił, że Mescalito nabrał takiego ciężaru dlatego, że się zasmucił, iż znalazł się poza swą siedzibą; moja głowa w tym, by torby nie dotknęły ziemi, jeśli bowiem dopuściłbym do tego, Mescalito nigdy więcej nie pozwoliłby mi się dotknąć.

W pewnej chwili ucisk rzemieni na mych barkach stał się nie do wytrzymania. Coś napierało na mnie ze straszliwą siłą, chcąc mnie powalić na ziemię. Ogarnęła mnie trwoga. Spostrzegłem, że zacząłem iść szybciej, prawie biegłem, posuwając się kłusem za don Juanem.

Raptem ciężar na plecach i piersi zmniejszył się. Ładunek stał się gąbczasty i nabrał lekkości. Pobiegłem swobodnie i dogoniłem don Juana. Powiedziałem mu, że przestałem już odczuwać ciężar. Wyjaśnił, że opuściliśmy siedzibę Mescalito.

Wtorek, 3 lipca 1962

– Mescalito już cię chyba prawie zaakceptował – powiedział don Juan.

– Czemu mówisz, że prawie mnie zaakceptował, don Juanie?

– Nie zabił cię, nawet nie zrobił ci nic złego. Napędził ci strachu, ale niezbyt dużego. Gdyby cię w ogóle nie zaakceptował, ukazałby ci się pod potworną postacią, przepełniony gniewem. Są ludzie, którzy poznali, co to znaczy groza, wówczas gdy spotkali się z Mescalito i nie zostali przez niego zaakceptowani.

– Skoro to takie straszne, czemuś mi o tym nie powiedział, zanim wyruszyliśmy w drogę?

– Brak ci odwagi, by szukać go naumyślnie. Sądziłem, że lepiej będzie, żebyś nie wiedział.

– Przecież mogłem umrzeć, don Juanie!

– Owszem. Byłem jednak pewny, że nie stanie ci się żadna krzywda. Już raz bawił się z tobą. Nie zrobił ci nic złego. Pomyślałem sobie, że również tym razem okaże ci współczucie.

Spytałem, czy naprawdę uważa, że Mescalito okazał mi współczucie. To, co przeżyłem, było przerażające – wydawało mi się, że już po mnie.

Odpowiedział, że Mescalito potraktował mnie naprawdę życzliwie – pokazał mi scenę będącą odpowiedzią na pytanie. Don Juan stwierdził, że Mescalito udzielił mi lekcji. Spytałem, jakiej i co oznaczała. Odparł, że nie sposób udzielić odpowiedzi na to pytanie, bo byłem zanadto przerażony, żeby dokładnie wiedzieć, o co pytałem Mescalito.

Don Juan sondował moją pamięć, chcąc ustalić, co powiedziałem Mescalito, zanim pokazał mi scenę na dłoni. Nie mogłem sobie przypomnieć. Pamiętałem tylko tyle, że osunąłem się na kolana i

“wyznałem mu swoje grzechy".

Odniosłem wrażenie, że dalsza rozmowa na ten temat przestała już don Juana interesować. Spytałem:

– Czy mógłbyś nauczyć mnie słów pieśni, którą nuciłeś?

– Nie. To moje słowa, nauczył mnie ich mój opiekun. To są moje pieśni. Nie mogę ci powtórzyć ich treści.

– Dlaczego nie możesz, don Juanie?

– Bo te pieśni są ogniwem łączącym mnie z mym opiekunem. Jestem pewien, że pewnego dnia nauczy cię on twych własnych pieśni. A zatem czekaj, aż nadejdzie ta chwila, i broń Boże nie powielaj nigdy, ale to nigdy, pieśni należących do kogoś innego i nigdy też o nie nie wypytuj.

– Jakie imię wykrzyknąłeś, don Juanie? Czy możesz mi to powiedzieć?

– Nie. Jego imienia nie można wypowiadać, chyba że się go wzywa.

– A jeśli sam chcę go wezwać?

– Jeśli kiedyś cię zaakceptuje, wyjawi ci swoje imię. Tylko ty jeden będziesz z niego korzystał – żeby go przywołać pełnym głosem lub wypowiedzieć po cichu do siebie. Możliwe, że ci powie, że ma na imię Jose. Kto wie?

– A czemu lepiej nie używać jego imienia, gdy się o nim rozmawia?

– Zajrzałeś mu w oczy, prawda? Z obrońcą nie ma żartów. Dlatego nie mogę lekceważyć tego, że postanowił się z tobą pobawić!

– W jaki sposób może być obrońcą, skoro niektórym ludziom zadaje ból?

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Mescalito jest obrońcą, ponieważ dostępny jest dla każdego, kto go szuka.

– Czyż jednak nie jest prawdą, że na tym świecie wszystko dostępne jest dla każdego, kto tylko czegoś poszukuje?

– Nie, to nieprawda. Moc sprzymierzeńców dostępna jest jedynie dla *brujos,* ale każdy może skosztować Mescalito.

– To czemu niektórym zadaje on ból?

– Nie wszystkim Mescalito przypada do gustu, ale wszyscy poszukują go z myślą o tym, żeby skorzystać, nie wykonując najmniejszego wysiłku. Nic dziwnego, że spotkanie z nim jest dla nich zawsze przerażające.

– Co się dzieje, gdy Mescalito zaakceptuje kogoś całkowicie?

– Ukazuje mu się pod postacią człowieka lub światła. Jeśli ktoś uzyskał akceptację tego rodzaju, Mescalito przestaje się zmieniać. Możliwe, że przy następnym spotkaniu będzie światłem, a kiedyś może cię nawet poderwać do lotu i wyjaśnić ci wszystkie swe tajemnice.

– Co trzeba zrobić, żeby znaleźć się w tym punkcie, don Juanie?

– Musisz być silny, a twoje życie powinna przepełniać prawda.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że trzeba żyć z rozwagą, dobrze i mocno.

5.

Co pewien czas don Juan pytał mimochodem o stan mojego czarciego ziela. W ciągu roku, który upłynął od zasadzenia korzenia, roślina rozrosła się w wielki krzew. Wydała nasiona, a torebki nasienne uschły. Wreszcie don Juan zawyrokował, że nadszedł czas, bym dowiedział się więcej o czarcim zielu.

Niedziela, 27 stycznia 1963

Don Juan udzielił mi dziś wstępnych informacji na temat “drugiej porcji" korzenia czarciego ziela – drugiego etapu poznawania tradycji. Stwierdził, że druga porcja korzenia to prawdziwy początek nauki; w porównaniu z nią pierwsza porcja to dziecinna igraszka. Nad drugą porcją trzeba zapanować; trzeba ją przyjąć co najmniej dwadzieścia razy – mówił don Juan – dopiero wówczas można przejść do trzeciego etapu.

– Jakie jest działanie drugiej porcji? – spytałem.

– Druga porcja czarciego ziela używana jest do widzenia! Dzięki niej człowiek, szybując w powietrzu, może dojrzeć, co dzieje się w dowolnym miejscu na ziemi.

– Czy człowiek naprawdę może latać w powietrzu, don Juanie?

– Czemu nie? Powiedziałem ci już, że czarcie ziele służy ludziom poszukującym mocy. Ten, kto zapanuje nad drugą porcją, może wykorzystać czarcie ziele do dokonania niesamowitych wyczynów, aby posiąść więcej mocy.

– Jakich wyczynów?

– Nie mogę odpowiedzieć. Z każdym człowiekiem jest inaczej.

Poniedziałek, 28 stycznia 1963

Słowa don Juana:

– Jeśli uda ci się zakończyć pomyślnie drugi etap, będę ci mógł pokazać jeszcze tylko jeden. W trakcie nauki o czarcim zielu uświadomiłem sobie, że nie dla mnie ta roślinka, i przestałem podążać jej ścieżką.

– Co sprawiło, że potraktowałeś ją odmownie?

– Ilekroć próbowałem użyć tej rośliny, kończyło się to niemal moją śmiercią. Pewnego razu było tak fatalnie, iż myślałem, że już po mnie. Mimo to mogłem uniknąć tej całej męki.

– Jak? Czy istnieje jakiś specjalny sposób na uniknięcie bólu?

– Istnieje.

– Chodzi o jakąś formułę, procedurę, o co?

– Chodzi o sposób obchodzenia się z rzeczami. Kiedy ja na przykład poznawałem czarcie ziele, robiłem to zbyt zapalczywie. Obchodziłem się z rzeczami tak, jak dziecko obchodzi się ze słodyczami. Czarcie ziele to tylko jedna z miliona ścieżek. Każda rzecz to jedna z miliona ścieżek *[un camino entre cantidades de caminos].* Dlatego trzeba zawsze pamiętać, że ścieżka jest tylko ścieżką – jeżeli czujesz, że nie powinieneś nią podążać, nie wolno ci na niej pozostać pod żadnym pozorem. Aby osiągnąć taką jasność rozeznania, trzeba prowadzić życie zdyscyplinowane. Dopiero wówczas przekonasz się, że wszelka ścieżka jest tylko ścieżką i że nie ma niczego uwłaczającego samemu sobie lub innym w tym, że sieją porzuca, jeśli tak nakazuje ci serce. Podejmując jednak decyzję o pozostaniu lub wycofaniu się ze ścieżki, powinieneś wyzbyć się strachu bądź ambicji. Oto moja przestroga: każdej ścieżce przyjrzyj się z bliska i z rozwagą. Wypróbuj ją tyle razy, ile uznasz za konieczne. Postaw pytanie, jakie zadaje jedynie sędziwy starzec. Wspomniał mi o tym mój dobroczyńca, gdy byłem młody, a krew zanadto burzyła mi się w żyłach, bym je zrozumiał. Dziś je rozumiem. Oto ono: Czy ta ścieżka obdarzona jest sercem? Wszystkie ścieżki są podobne do siebie: wiodą donikąd. Prowadzą przez gęstwinę lub w głąb gęstwiny.

Mógłbym powiedzieć, że w ciągu mego życia przemierzyłem wiele długich ścieżek, lecz nie znajduję się w żadnym określonym miejscu. Pytanie mego dobroczyńcy nabrało dla mnie sensu. Czy ta ścieżka obdarzona jest sercem? Jeśli tak, jest dobra, jeśli nie, nie zda się na nic. Obie prowadzą

donikąd, ale jedna obdarzona jest sercem, a druga nie. Jedna pozwala odbyć radosną podróż; póki nią podążasz, stanowicie jedność. Druga sprawi, że przeklniesz swe życie. Jedna przyda ci siły, druga cię osłabi.

Niedziela, 21 kwietnia 1963

We wtorek 16 kwietnia, po południu, udaliśmy się z don Juanem w góry, gdzie rosną okazy czarciego ziela. Poprosił, bym zostawił go samego i poczekał na niego w aucie. Wrócił po blisko trzech godzinach, niosąc pakunek owinięty czerwonym gałganem. Gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną do jego domu, wskazał na zawiniątko, mówiąc, że to jego ostatni podarunek dla mnie.

Spytałem, czy chce przez to powiedzieć, że nauka dobiegła końca. Wyjaśnił, że chodzi mu o to, iż moja roślina rozwinęła się w pełni, więc nie będę już potrzebował jego roślin.

Późnym popołudniem usiedliśmy w jego izbie: wydobył gładko wypolerowany moździerz i tłuczek. Moździerz miał około sześciu cali średnicy. Rozwiązał wielki pakunek złożony z małych zawiniątek, z których wybrał dwa i umieścił je przy mnie na słomianej macie, następnie dołożył jeszcze cztery zawiniątka tej samej wielkości z pakunku, który przyniósł ze sobą. Powiedział, że są to nasiona, które będę musiał utrzeć na proszek. Otworzył pierwsze zawiniątko i wsypał jego zawartość do moździerza. Nasiona były wyschnięte, okrągłe, brązowożółte.

Przystąpiłem do pracy; po pewnym czasie don Juan skorygował mnie, mówiąc, bym najpierw przycisnął tłuczek do jednej ścianki moździerza, potem przesunął go po dnie misy i przycisnął do przeciwnego boku naczynia. Spytałem, co ma zamiar począć z proszkiem, ale nie chciał rozmawiać na ten temat.

Utarcie pierwszej porcji nasion sprawiło mi ogromną trudność. Upłynęły cztery godziny, nim skończyłem tę pracę. Wskutek pozycji, w jakiej siedziałem, rozbolały mnie plecy. Położyłem się na ziemi, chciałem natychmiast zasnąć, ale don Juan rozwiązał następny woreczek i wsypał część jego zawartości do moździerza. Tym razem nasiona były odrobinę ciemniejsze i posklejane z sobą. Pozostałą zawartość woreczka stanowił rodzaj proszku złożonego z maleńkich, okrągłych, ciemnych granulek.

Chciałem coś zjeść, ale don Juan oznajmił, że jeśli pragnę się uczyć, muszę postępować zgodnie z zasadą polegającą na tym, że w trakcie poznawania tajemnic drugiej porcji mogę jedynie wypić trochę wody.

Trzeci woreczek zawierał garść żywych, czarnych wołków zbożowych, a w ostatnim znajdowało się trochę świeżych białych nasion, miękkich niemal jak gąbka, ale włóknistych i trudnych do utarcia na papkę, czego oczekiwał ode mnie don Juan. Kiedy skończyłem ucierać zawartość czterech woreczków, don Juan odmierzył dwa kubki zielonkawej wody, wlał płyn do glinianego garnka i postawił go na ogień. Gdy woda zaczęła kipieć, wrzucił do wrzątku pierwszą garść sproszkowanych nasion. Zamieszał płyn długim, zaostrzonym kawałkiem kija czy kości, który nosił w swym skórzanym mieszku. Gdy woda zagotowała się ponownie, wrzucał kolejno pozostałe substancje, wykonując te same czynności. Na koniec dolał jeszcze jeden kubek zielonkawej wody i odstawił miksturę do gotowania na wolny ogień.

Następnie oznajmił, że nadszedł czas, by utrzeć korzeń. Z zawiniątka przyniesionego do domu wydobył ostrożnie długi kawałek korzenia czarciego ziela, który miał około szesnastu cali długości i z półtora cala średnicy. Don Juan stwierdził, że to druga porcja, i ponownie odmierzył ją osobiście, gdyż korzeń wciąż należał do niego. Powiedział także, że kiedy następnym razem spróbuję czarciego ziela, sam będę musiał odmierzyć swój korzeń.

Pchnął w moją stronę wielki moździerz, ja zaś zabrałem się do ucierania korzenia dokładnie w ten sam sposób, w jaki don Juan uczynił to z pierwszą porcją. Nadzorował moje czynności przebiegające według tego samego wzoru i ponownie pozostawiliśmy utarty korzeń do nasiąknięcia w wodzie pod nocnym niebem. Gotująca się mieszanina nabrała tymczasem w glinianym garnku stałej konsystencji. Don Juan zdjął naczynie z ognia i umieścił je w siatce, którą zawiesił u belki na środku izby.

17 kwietnia około ósmej rano zaczęliśmy z don Juanem ługować wodą ekstrakt korzenia. Dzień był jasny i słoneczny; don Juan dopatrzył się w pięknej pogodzie dobrego znaku zapowiadającego, że czarcie ziele mnie polubiło, dodał, że moja obecność przypomina mu tylko, jak srogo obeszła się z nim niegdyś ta roślina.

Technika zastosowana przez nas przy ługowaniu ekstraktu nie różniła się niczym od tej, którą odnotowałem przy pierwszej porcji. Późnym popołudniem, po ośmiokrotnym odlaniu wody, na dnie

misy znaleźliśmy trochę żółtawej substancji, która mogłaby się zmieścić w łyżce.

Wróciliśmy do izby don Juana, gdzie znajdowały się jeszcze dwa woreczki, których dotąd nie tknął. Otwarł jeden z nich, wsunął dłoń do środka, drugą ręką sfałdował materiał przy przegubie. Sądząc po sposobie, w jaki ruszał dłonią w woreczku, coś jakby przytrzymywał. Nagle, jednym zwinnym ruchem, zdarł woreczek z ręki niczym rękawiczkę, wywracając go na lewą stronę, i podsunął rękę tuż pod moje oczy. Trzymał w niej jaszczurkę. Jej głowa znajdowała się kilka cali od mej twarzy. W wyglądzie jej pyszczka było coś osobliwego. Przyjrzałem się uważnie i mimowolnie wzdrygnąłem. Pyszczek jaszczurki zaszyto prymitywnym ściegiem. Don Juan polecił mi, bym przytrzymał jaszczurkę lewą ręką. Kiedy zacisnąłem wokół niej dłoń, zaczęła się wić. Poczułem mdłości. Ręce mi się pociły.

Don Juan wziął ostatni woreczek i powtarzając te same gesty, wydobył następną jaszczurkę. Również ją podsunął mi pod twarz. Ujrzałem jej zszyte razem powieki. Polecił mi trzymać zwierzę w prawej ręce.

Kiedy ująłem obie jaszczurki w ręce, zrobiło mi się słabo. Ogarnęła mnie przemożna chęć, by wypuścić je na ziemię i uciec z tego miejsca.

– Uważaj, żebyś ich nie zadusił! – powiedział don Juan, a dźwięk jego głosu sprawił mi ulgę i pozwolił zapanować nad sobą.

Zapytał, co mi jest. Próbował zachować poważną minę, ale nie udało mu się i roześmiał się. Spróbowałem rozluźnić uchwyt, lecz ręce tak obficie spłynęły mi potem, że jaszczurki zaczęły się z nich wyślizgiwać. Ich ostre pazurki wpiły się w moje dłonie, wywołując we mnie bardzo silne uczucie wstrętu i mdłości. Zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby. Jedna z jaszczurek wdrapywała się już na mój przegub; wystarczyło, by wyrwała głowę spomiędzy mych palców, a byłaby wolna. Doznałem osobliwego wrażenia ogarniającej mnie fizycznie rozpaczy i skrajnej niewygody. Wycedziłem przez zaciśnięte zęby, żeby don Juan zdjął ze mnie te przeklęte jaszczurki. Nie mogłem opanować trzęsienia głowy. Don Juan przyjrzał mi się z zaciekawieniem. Wydałem niedźwiedzi pomruk, trzęsąc się na całym ciele. Wrzucił jaszczurki do worków i zaczął się śmiać. Ja także chciałem się roześmiać, ale miałem rozstrojony żołądek. Położyłem się na ziemi.

Wyjaśniłem don Juanowi, że to wszystko przez pazurki, którymi drapały po mych dłoniach; odpowiedział, że tysiące rzeczy mogą przyprawić człowieka o obłęd, zwłaszcza jeśli brak mu determinacji i jasno wytyczonego celu, co stanowi niezbędny warunek uczenia się; wówczas jednak, gdy człowiek kieruje się niezłomnym i jasno określonym dążeniem, żadne uczucia nie mogą mu przeszkodzić, bo potrafi nad nimi zapanować.

Don Juan odczekał dłuższą chwilę, po czym – wykonując te same ruchy – ponownie podał mi jaszczurki. Polecił, bym ujął je za łebki i potarł nimi delikatnie o skronie, pytając jednocześnie, o co tylko zechcę.

Początkowo nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Wówczas powtórnie kazał mi zapytać jaszczurki o cokolwiek, czego sam nie potrafiłem ustalić. Podał mi garść przykładów: mógłbym dowiedzieć się o osoby, których normalnie nie widuję, o zaginione przedmioty lub miejsca, w których nie byłem. Uprzytomniłem sobie wówczas, że mówi o przepowiadaniu przyszłości. Ogarnęło mnie wielkie podniecenie. Serce zaczęło tłuc się w piersi i poczułem, że tracę oddech.

Przestrzegł mnie, bym za pierwszym razem nie zadawał pytań dotyczących spraw osobistych; powinienem raczej zagadnąć o coś, co nie ma ze mną żadnego związku. Należało myśleć szybko i jasno, bo biegu mych myśli nie sposób będzie odwrócić.

Gorączkowo usiłowałem sobie przypomnieć coś, co chciałbym wiedzieć. Don Juan ponaglał mnie władczym tonem, a ja ku swemu zaskoczeniu uświadomiłem sobie, że nie jestem w stanie wymyśKć nic, o co chciałbym “zapytać" jaszczurki.

Po dłuższej chwili bolesnego oczekiwania coś wreszcie wymyśliłem. Jakiś czas temu z pewnej czytelni ukradziono sporo książek. Nie była to sprawa natury osobistej, a jednak byłem nią zainteresowany. Nie miałem też żadnych przypuszczeń na temat tożsamości osoby lub osób, które zabrały owe książki. Pocierając jaszczurkami o skronie, zadałem im pytanie, kim był złodziej.

Po chwili don Juan włożył jaszczurki do worków i powiedział, że korzeń i papka nie są otoczone żadną wielką tajemnicą. Papka służy do nadania kierunku, korzeń sprawia, że rzeczy stają się jasne. Prawdziwą tajemnicę stanowią jaszczurki. To one są sekretem wszystkich czarów związanych z drugą porcją. Spytałem, czy to jakaś specjalna odmiana jaszczurek. Potwierdził. Powinny pochodzić z obszaru, gdzie rośnie nasza roślina; powinny być naszymi przyjaciółmi. Żeby zaś zaprzyjaźnić się z jaszczurkami – mówił don Juan – potrzeba długotrwałego oswajania. Należy zadzierzgnąć z nimi

mocne więzy przyjaźni, przynosząc im jedzenie i prawiąc czułe słówka.

Spytałem, dlaczego ich przyjaźń ma tak duże znaczenie. Odpowiedział, że jaszczurki pozwalają się schwytać jedynie wówczas, gdy nas znają, kto zaś traktuje czarcie ziele przyjaźnie, musi równie poważnie traktować jaszczurki. Oznajmił, że jaszczurki z zasady należy chwytać po przygotowaniu papki i korzenia. Powinno sieje chwytać późnym popołudniem. Jeśli nie będzie się w zażyłych stosunkach z jaszczurkami – ciągnął – można spędzić wiele dni na bezowocnych próbach ich złapania, tymczasem papka traci wartość po jednym dniu. Następnie don Juan udzielił mi obszernych pouczeń dotyczących sposobu postępowania po złapaniu jaszczurek.

– Schwytawszy jaszczurki, powkładaj je do oddzielnych worków. Następnie wyjmij pierwszą i przemów do niej. Przeproś za to, że ją skrzywdziłeś, i błagaj ją o pomoc. Potem zaszyj jej pyszczek drewnianą igłą. Do szycia musisz użyć włókien agawy i jednego kolca choii. Ścieg powinien być ciasny. To samo powiedz drugiej jaszczurce i zszyj jej powieki. Powinieneś skończyć przed zapadnięciem nocy. Weź jaszczurkę z zaszytym pyszczkiem i wytłumacz jej, czego chciałbyś się dowiedzieć. Poproś, by poszła wszystko zobaczyć w twoim imieniu. Wyjaśnij jej, że musiałeś zaszyć jej pyszczek, żeby jak najszybciej wróciła do ciebie i nie rozmawiała z nikim innym. Niech wytarza się w papce, którą natrzesz jej wcześniej głowę, a potem wypuść ją na ziemię. Jeśli pobiegnie w kierunku dla ciebie pomyślnym, czary udadzą się i nie nastręczą trudności. Jeśli podąży w kierunku przeciwnym, zakończą się niepowodzeniem. Jeśli jaszczurka będzie zmierzała ku tobie (na południe), możesz liczyć na wyjątkowe szczęście, ale jeśli zacznie się od ciebie oddalać (na północ), czary przysporzą ci mnóstwo kłopotów. Możesz nawet umrzeć! Jeśli więc będzie się oddalała, pora zrezygnować. W tym momencie możesz jeszcze podjąć taką decyzję. Stracisz wówczas władzę wydawania poleceń jaszczurkom, ale lepsze to niż utrata życia. Możesz także nie przerywać czarów wbrew mojej przestrodze. Będziesz musiał wziąć następną jaszczurkę i kazać jej wysłuchać opowieści siostrzyczki, a następnie przedstawić jej treść tobie.

– Ale w jaki sposób jaszczurka z zaszytym pyszczkiem może mi powiedzieć, co widziała? Czyż nie zamknięto jej pyszczka, żeby uniemożliwić mówienie?

– Zaszycie pyszczka uniemożliwia jej rozmowę z obcymi. Powiadają, że jaszczurki są gadatliwe; zawsze znajdą okazję do paplania. Tak czy owak, kolejny etap polega na posmarowaniu papką tyłu łebka i potarciu nim o swoją prawą skroń w ten sposób, żeby papka nie poplamiła środkowej części czoła. W początkowej fazie nauki dobrze jest przywiązać jaszczurkę sznurkiem za środek ciała do prawego barku. Dzięki temu nie zgubisz jej ani nie uszkodzisz. W miarę jednak jak będziesz czynił postępy w oswajaniu się z mocą czarciego ziela, jaszczurki nauczą się spełniać twoje polecenia, nie schodząc z twego barku. Po wsmarowaniu papki w prawą skroń, w czym posłuży ci jaszczurka, zanurz palce obu rąk w kleistej mazi, natrzyj nią wpierw obie skronie, a następnie rozetrzyj po całej głowie. Papka schnie błyskawicznie; można ją aplikować dowolną liczbę razy. Za każdym razem zaczynaj od łebka jaszczurki, a potem użyj palców. Prędzej czy później jaszczurka, która udała się na zwiady, powróci i opowie siostrze o całej swej wyprawie, a ślepa jaszczurka powtórzy ci jej relację, jakbyś należał do jej gatunku. Po zakończeniu czarów postaw ją na ziemi i wypuść, ale nie patrz, dokąd biegnie. Gołymi rękami wykop głęboką jamę i zagrzeb w niej wszystko, z czego korzystałeś.

Około szóstej po południu don Juan wygarnął ekstrakt korzenia na płaski kawałek iłołupka – było tego mniej niż łyżeczka żółtego krochmalu. Połowę włożył do kubka: dolał trochę żółtawej wody. Pokręcił kubkiem, żeby substancja się rozpuściła, następnie podał mi go i nakazał, bym wypił miksturę. Była pozbawiona smaku, pozostawiła jednak w mych ustach lekko gorzki posmak. Woda była za gorąca, co mnie rozdrażniło. Serce zaczęło mi bić szybciej, ale wkrótce znów się odprężyłem.

Don Juan sięgnął po drugą misę z papką. Wyglądała na twardą; jej powierzchnia połyskiwała. Spróbowałem podrapać skorupkę palcem, ale don Juan skoczył w moją stronę i odepchnął mi rękę od misy. Bardzo się rozgniewał, gdyż – jak powiedział – próba tego rodzaju dowodziła mojej kompletnej bezmyślności, jeśli zaś pragnę się naprawdę czegoś nauczyć, powinienem zachować ostrożność. To jest moc – powiedział, wskazując na szklistą masę – nikt zaś nie wie, jaka moc. Wystarczy, że musimy się z nią zadawać dla własnych celów – a uniknąć tego nie możemy, bo jesteśmy ludźmi – powinniśmy jednak przynajmniej odnosić się do niej z należytym szacunkiem. Mikstura wyglądała jak owsianka. Zawierała zapewne dostateczną ilość krochmalu nadającego jej taką właśnie konsystencję. Poprosił, bym przygotował worki z jaszczurkami. Wydobył jaszczurkę z zaszytym pyszczkiem i ostrożnie mi ją podał. Kazał mi wziąć ją do lewej ręki i, nabrawszy na palec trochę papki, natrzeć nią jej łeb, a potem umieścić ją w garnku i nie wypuszczać stamtąd, póki całe jej ciało nie pokryje się papką.

Następnie polecił mi wydobyć jaszczurkę z garnka. Podniósł naczynie i zaprowadził mnie w skalistą okolicę nieopodal swego domu. Wskazawszy na wielką skałę, kazał mi usiąść przed nią, jakby

była moim czarcim zielem, i trzymając jaszczurkę na wysokości mej twarzy, ponownie wyjaśnić jej, czego chciałbym się dowiedzieć, i uprzejmie poprosić, by poszła w moim imieniu poszukać odpowiedzi. Poradził mi, bym powiedział jaszczurce, że przepraszam ją za to, że ją niepokoję, i obiecuję, ze w zamian okażę życzliwość wszystkim jaszczurkom. Wówczas nakazał mi chwycić ją między trzeci i czwarty palec lewej dłoni, gdzie niegdyś wykonał nacięcie, i tańczyć wokół głazu, powtarzając dokładnie te same czynności, które wykonałem, przesadzając korzeń czarciego ziela – zapytał, czy pamiętam wszystko, co wówczas robiłem. Potwierdziłem. Podkreślił, że wszystko musi się odbyć dokładnie tak samo, jeśli więc czegoś nie pamiętam, powinienem zaczekać, aż odzyskam całkowitą jasność umysłu. Przestrzegał z wielkim naciskiem, że jeśli będę działał zbyt pospiesznie i bez zastanowienia, srogo na tym ucierpię. Zgodnie z ostatnim pouczeniem, jakiego mi udzielił, miałem umieścić jaszczurkę z zaszytym pyszczkiem na ziemi i zaobserwować, w którym oddali się kierunku, co pozwoli mi ustalić wynik moich działań. Nie wolno mi było ani na moment spuszczać jaszczurki z oczu, gdyż typowa ich sztuczka polega na zmyleniu uwagi i ucieczce.

Nie było jeszcze całkiem ciemno. Don Juan spojrzał na niebo.

– Zostawię cię samego – powiedział i oddalił się.

Wykonałem wszystkie jego polecenia, po czym umieściłem jaszczurkę na ziemi. Tkwiła nieruchomo tam, gdzie ją położyłem. Wreszcie zerknęła na mnie i pobiegła ku ciągnącym się na wschód skałom, wśród których zniknęła.

Usiadłem na ziemi twarzą do skały, jakby to była moja roślina. Przepełnił mnie głęboki smutek. Zadumałem się nad jaszczurką z zaszytym pyszczkiem. Rozmyślałem o jej osobliwej wyprawie oraz o tym, w jaki sposób na mnie spojrzała, nim pomknęła ku skałom. Dziwne to były myśli, coś w rodzaju niepokojącego widzenia. Na swój sposób ja także byłem jaszczurką odbywającą inną osobliwą podróż. Być może sądzone mi było patrzeć; czułem wówczas, że nigdy nie zdołam opowiedzieć tego, co widziałem. Panowała już zupełna ciemność. Nie mogłem dojrzeć skał przede mną. Przypominały mi się słowa don Juana: “Zmierzch to szczelina pomiędzy światami!"

Po długim wahaniu przystąpiłem do działań. Papka, choć wyglądała jak owsianka, w dotyku niczym jej nie przypominała. Była niezwykle gładka i zimna. Wydawała osobliwy, cierpki zapach. W zetknięciu ze skórą wywoływała wrażenie chłodu i błyskawicznie wysychała. Natarłem skronie jedenaście razy, lecz nie stwierdziłem żadnego efektu. Starałem się bardzo uważnie rejestrować wszelkie zmiany percepcji bądź nastroju, bo nie wiedziałem nawet, czego się spodziewać. Właściwie nie pojmowałem istoty tego, czego doświadczałem, i poszukiwałem wciąż wskazówek.

Papka na mych skroniach zaczęła się łuszczyć. Miałem właśnie znów jej trochę wetrzeć, gdy uprzytomniłem sobie, że siedzę na piętach na japońską modłę. Wcześniej siedziałem po turecku i nie mogłem sobie przypomnieć, żebym zmieniał pozycję. Upłynęło trochę czasu, nim zdałem sobie sprawę, że siedzę na posadzce w jakimś wysoko sklepionym krużganku. Sądziłem, że sklepienia są ceglane, lecz przyjrzawszy się im, stwierdziłem, że są kamienne.

Zmiana w percepcji nie nastąpiła łatwo. Przyszła tak nagle, że nie byłem na nią przygotowany. Poszczególne elementy wizji były rozmyte jak w marzeniu sennym. Mimo to składniki nie zmieniały się. Były stale i mogłem zatrzymać się przy którymkolwiek i dokładnie je obejrzeć. Wizja nie miała tej ostrości i realności jak wizja wywołana przez pejotl. Była mglista i utrzymana w nadzwyczaj miłej pastelowej tonacji.

Zastanawiałem się, czy mogę powstać, za chwilę zaś spostrzegłem, że się poruszam. Znalazłem się na szczycie schodów, na dole stała H., moja znajoma. Miała rozgorączkowane oczy, płonące szalonym blaskiem. Roześmiała się głośno i tak intensywnie, że ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęła wspinać się po schodach. Chciałem uciec lub znaleźć jakieś schronienie, bo kiedyś brakowało jej piątej klepki. To właśnie przyszło mi na myśl. Ukryłem się za kolumną, a ona przeszła obok mnie, nie patrząc. “Wybiera się w daleką podróż" – brzmiała kolejna myśl, jaka przyszła mi wówczas do głowy, ostatnią zaś myślą, jaką zapamiętałem, było “Śmieje się do rozpuku, ilekroć ma jej odbić szajba".

Wtem sceneria nabrała wielkiej wyrazistości, przestała zupełnie przypominać sen. Wszystko wyglądało normalnie; odnosiłem wrażenie, że spoglądam na otoczenie przez szybę. Usiłowałem dotknąć kolumny, poczułem jednak tylko tyle, że nie mogę się poruszyć, mimo to wiedziałem, że mogę przebywać tam i przyglądać się całej scenie tak długo, jak tylko zechcę. Tkwiłem w niej, nie byłem jednak jej składnikiem.

Odczułem napór racjonalnie brzmiących myśli i argumentów. Na tyle, na ile byłem w stanie osądzić, mój stan nie różnił się wcale od wszelkich przejawów trzeźwej świadomości. Każdy jej element należał do sfery, w której zachodzą moje normalne procesy psychofizyczne. A przecież

wiedziałem, że nie jest to stan zwyczajny.

Sceneria zmieniała się raptownie. Było ciemno, a ja znajdowałem się w przedsionku jakiegoś budynku. Ciemność panująca w jego wnętrzu uprzytomniła mi, że poprzednią scenę oświetlało cudownie czyste światło słoneczne. Wydawało się to jednak czymś tak oczywistym, że wówczas nie zwróciłem na to uwagi. Wpatrując się w obrazy składające się na tę nową wizję, ujrzałem młodego mężczyznę, który wychodził z jakiegoś pokoju, dźwigając na plecach wielki plecak. Nie wiedziałem, kto to taki, choć wydawało mi się, że już go gdzieś widziałem. Wyminął mnie i zszedł po schodach. Zapomniałem już o mym przerażeniu, o dylematach mojego rozumu. "Co to za facet?" – myślałem. "Czemu go zobaczyłem?"

Sceneria znów się zmieniła i oto patrzyłem, jak ów młody mężczyzna niszczy książki – skleja z sobą niektóre stronice, wymazuje pieczątki itd. A potem ujrzałem, jak układa książki w drewnianej skrzynce. Skrzynek była cała sterta, lecz nie u niego w pokoju, tylko w magazynku. Przed moje oczy napłynęły inne obrazy, ale już nie tak wyraźne. Wszystko zasnuło się mgłą i zaczęło wirować.

Don Juan potrząsał mnie za ramiona, aż się ocknąłem. Pomógł mi wstać i wróciliśmy do jego domu. Od chwili, gdy zacząłem wcierać papkę w skronie, do momentu ocknięcia upłynęło trzy i pół godziny, ale sama wizja nie trwała dłużej niż dziesięć minut. Nie odczuwałem żadnych dolegliwości, jedynie głód i senność.

Czwartek, 18 kwietnia 1963

Wczoraj wieczorem don Juan poprosił mnie, bym opisał treść moich ostatnich przeżyć, ale byłem zbyt śpiący, żeby rozmawiać o tym. Nie potrafiłem się skoncentrować. Dziś, zaraz po mym przebudzeniu, zagadnął mnie ponownie.

– Kto ci powiedział, że H., ta dziewczyna, miała źle w głowie? – spytał, kiedy skończyłem opowiadać.

– Nikt. Tak mi się po prostu pomyślało.

– Sądzisz, że były to twoje własne myśli? Odpowiedziałem, że tak sądzę, choć nie miałem żadnych powodów, by myśleć, że H. była chora. Dziwne to były myśli. Odnosiłem wrażenie, że wyskakują znikąd w moim umyśle. Don Juan przyjrzał mi się badawczo. Spytałem, czy mi wierzy; roześmiał się i stwierdził, że mam nawyk niezwracania uwagi na to, co robię.

– Na czym polegał mój błąd, don Juanie?

– Powinieneś był słuchać jaszczurek.

– W jaki sposób?

– Jaszczurka na twym ramieniu opowiadała ci wszystko, co widziała jej siostra. Mówiła do ciebie. Opisywała ci każdy szczegół, aleś wcale nie słuchał. Wydawało ci się, że słowa jaszczurki to twoje myśli.

– Bo to były moje własne myśli, don Juanie.

– Nie były. Na tym właśnie polegają te czary. Chodzi nie tyle o to, żeby oglądać, ile raczej o to, żeby wsłuchać się w tę wizję. Mnie przydarzyło się to samo. Chciałem cię przestrzec, ale przypomniałem sobie, że mój dobroczyńca tego nie uczynił.

– Czy przeżyłeś coś takiego jak ja, don Juanie?

– Nie. Przeżyłem istne piekło. Moja wyprawa mogła kosztować mnie życie.

– Dlaczego?

– Może dlatego, że nie spodobałem się czarciemu zielu, a może dlatego, że nie bardzo wiedziałem, o co chcę zapytać. Tak jak ty wczoraj. Musiałeś myśleć o tej dziewczynie, gdy zadałeś pytanie o książki.

– Nie przypominam sobie.

– Jaszczurki nigdy się nie mylą, traktują każdą myśl jako pytanie. Jaszczurka wróciła i opowiedziała ci o H. coś, czego nikt nie byłby w stanie zrozumieć, bo nawet ty nie wiedziałeś, jaka była treść twoich myśli.

– A co powiesz o tej drugiej wizji?

– W momencie, gdy zadałeś tamto pytanie, twoje myśli musiały się uspokoić. Właśnie w ten

sposób trzeba odprawiać czary – z jasnością umysłu.

– Chcesz powiedzieć, że wizji z dziewczyną nie można traktować poważnie?

– Czyż można traktować ją poważnie, skoro nie wiesz, na jakie pytania odpowiadały ci jaszczurki?

– Czy byłoby dla nich jaśniejsze, gdyby zadać im tylko jedno pytanie?

– Tak jest. Sprawa byłaby jaśniejsza, gdybyś uspokoił myśli.

– Ale co by się stało, don Juanie, gdyby to jedno pytanie nie było zbyt proste?

– Dopóki w twych myślach panuje spokój, dopóki nie dotykają one czegoś innego, dla jaszczurek wszystko jest jasne, a ich odpowiedź jest jasna dla ciebie.

– Czy w miarę jak wizja się rozwija, można im zadać więcej pytań?

– Nie. Wizja polega na tym, żeby patrzeć na wszystko, o czym mówią jaszczurki. Dlatego powiedziałem, że jest to wizja bardziej do słuchania niż do oglądania. Dlatego prosiłem cię, żebyś nie zajmował się sprawami osobistymi. Zwykle bowiem, kiedy pytanie odnosi się do ludzi, odczuwamy zbyt silne pragnienie, by ich dotknąć lub z nimi porozmawiać, co powoduje, że jaszczurka przestaje mówić, a czary przestają działać. Nim spróbujesz zobaczyć coś, co dotyczy ciebie osobiście, powinieneś zdobyć o wiele większą wiedzę niż ta, którą obecnie posiadasz. Następnym razem będziesz musiał słuchać uważnie. Pewien jestem, że jaszczurki powiedziały ci bardzo dużo, ale nie słuchałeś.

Piątek, 19 kwietnia 1963

– Jakie były składniki tego, co utarłem na papkę, don Juanie?

– Nasiona czarciego ziela i karmiące się nimi wołki zbożowe. Miarka wynosi jedną garść nasion i jedną garść owadów.

Zademonstrował zwiniętą prawą dłonią. Spytałem don Juana, co by się stało, gdyby użyć tylko jednego składnika mieszaniny, a pominąć pozostałe. Odpowiedział, że takie postępowanie doprowadziłoby jedynie do wzbudzenia wrogości pomiędzy czarcim zielem a jaszczurkami.

– Nie wolno ci wzbudzać wrogości u jaszczurek – ciągnął – bo nazajutrz późnym popołudniem musisz wrócić do miejsca, gdzie znajduje się twoja roślina. Przemów do wszystkich jaszczurek i poproś, żeby te dwie, które pomogły ci w czarach, pojawiły się znowu. Szukaj ich aż do zapadnięcia zupełnej ciemności. Jeżeli ich nie znajdziesz, powinieneś nazajutrz spróbować ponownie. Jeśli będziesz dostatecznie silny, znajdziesz obie, a potem będziesz musiał je zjeść, i to natychmiast. Zostaniesz wówczas na zawsze obdarzony zdolnością widzenia tego, co nieznane. Nie będziesz już musiał łapać jaszczurek, żeby wykonać ten rodzaj czarów. Odtąd bowiem będą żyły w twym wnętrzu.

– A co mam zrobić, jeśli znajdę tylko jedną?

– Jeśli znajdziesz tylko jedną jaszczurkę, musisz ją wypuścić u kresu twych poszukiwań. Jeśli znajdziesz ją pierwszego dnia, nie zatrzymuj jej, licząc, że nazajutrz schwytasz drugą. To by jedynie zniweczyło waszą przyjaźń.

– A jeśli nie znajdę ani jednej?

– Może tak byłoby dla ciebie najlepiej. Wynikałoby z tego, że ilekroć zapragniesz ich pomocy, musisz schwytać dwie jaszczurki, ale będzie to również znaczyło, że jesteś wolny.

– Co to znaczy “wolny"?

– Wolny, bo nie jesteś niewolnikiem czarciego ziela. Jeśli jaszczurki zamieszkają w twym wnętrzu, czarcie ziele nigdy cię nie puści.

– To źle?

– Naturalnie, że źle. Ta roślina odgrodzi cię od wszystkiego. Zostanie twoim sprzymierzeńcem, a resztę życia będziesz musiał poświęcić jej pielęgnowaniu. Jest zaborcza. Jeśli zapanuje nad tobą, nie będziesz miał innej drogi przed sobą, jak tylko jej własna.

– A jeśli okaże się, że jaszczurki są martwe?

– Gdybyś znalazł którąś z nich lub obie martwe, musisz powstrzymać się na pewien czas od czarów. Zrób sobie przerwę. To chyba wszystko; przedstawiłem ci zasadę. Ilekroć będziesz odprawiał te czary, musisz trzymać się ściśle podanych przeze mnie wskazówek, siedząc przed swoją rośliną. Jeszcze jedno: dopóki czary nie dobiegną końca, nie wolno ci jeść ani pić.

6.

Następny etap nauk don Juana polegał na zapoznaniu mnie z innym aspektem zawładnięcia drugą porcją korzenia czarciego ziela. W czasie, który upłynął pomiędzy tymi dwoma fazami nauki, don Juan wypytywał mnie jedynie o rozwój mojej rośliny.

Czwartek, 27 czerwca 1963

– Dobrze jest wypróbować czarcie ziele, nim podejmie się ostateczną decyzję o wejściu na jego ścieżkę – powiedział don Juan.

– Jak je wypróbować?

– Trzeba jeszcze raz spróbować czarów z jaszczurkami. Masz wszystko, czego potrzeba, żeby zadać im jeszcze jedno pytanie, tym razem bez mojej pomocy.

– Czy to absolutnie niezbędne, don Juanie?

– To najlepszy sposób sprawdzenia, jakie uczucia żywi do ciebie czarcie ziele. Ta roślinka cały czas poddaje cię próbie, nic więc nie stoi na przeszkodzie, żebyś i tyją wypróbował, a jeśli w którymkolwiek miejscu na jej ścieżce poczułbyś, że z jakiegoś powodu nie powinieneś posuwać się dalej – po prostu się zatrzymaj.

Sobota, 29 czerwca 1963

Poruszyłem temat czarciego ziela. Chciałem, żeby don Juan opowiedział mi o nim więcej, zarazem jednak nie miałem ochoty czynnie w tym uczestniczyć.

– Drugiej porcji używa się tylko do wróżenia, prawda, don Juanie? – spytałem, by zacząć rozmowę.

– Nie tylko. Za pomocą drugiej porcji można się nauczyć magii jaszczurek, równocześnie zaś wypróbować czarcie ziele, w rzeczywistości jednak drugiej porcji używa się do innych celów. Magia jaszczurek to zaledwie początek.

– Do czego więc się jej używa?

Don Juan nie odpowiedział. Zmienił raptownie temat, pytając, jaką wielkość osiągnęły okazy czarciego ziela rosnące wokół mej rośliny. Zademonstrowałem.

Powiedział wówczas:

– Mówiłem ci, jak odróżnić okaz męski od żeńskiego. Idź teraz do swych roślin i przynieś mi oba rodzaje. Najpierw idź do starej rośliny, zwracając baczną uwagę, w którą stronę spłynęła deszczówka. Deszcz musiał daleko ponieść nasiona. Przyjrzyj się rowkom *[zanjitas]* wyżłobionym przez wodę i na tej podstawie ustal kierunek strumienia. Odszukaj roślinę rosnącą najdalej od twojej. Wszystkie okazy czarciego ziela rosnące pomiędzy tymi dwoma punktami należą do ciebie. Później, kiedy wydadzą nasiona, będziesz mógł rozszerzyć swoje terytorium, posuwając się wzdłuż strumienia płynącego obok każdej rośliny, która rośnie po drodze.

Don Juan udzielił mi drobiazgowych pouczeń co do sposobu wykonywania narzędzia do ścinania. Ścięcie korzenia powinno odbyć się następująco: po pierwsze, należało wybrać korzeń przeznaczony do ścięcia i oczyścić z ziemi miejsce, gdzie łączy się on z łodygą. Po drugie, należało powtórzyć dokładnie taki sam taniec, jaki wykonałem, przesadzając korzeń. Po trzecie, należało odciąć łodygę i pozostawić korzeń w ziemi. Na koniec zaś trzeba było wykopać korzeń długości szesnastu cali. Polecił mi także, bym nic nie mówił ani nie uzewnętrzniał żadnych uczuć podczas całej operacji.

– Powinieneś wziąć ze sobą dwa kawałki płótna – ciągnął. – Rozłożysz je na ziemi i umieścisz na nich rośliny. Potnij potem rośliny na kawałki i ułóż w kupki. Możesz to uczynić w dowolnej kolejności, ale dobrze zapamiętaj, bo odtąd musisz wykonywać te czynności zawsze w ten sam sposób. Jak tylko skończysz, przynieś mi rośliny.

Sobota, 6 lipca 1963

W poniedziałek, l lipca, ściąłem okazy czarciego ziela, o które prosił don Juan. Nim wykonałem taniec wokół roślin, czekałem, aż się całkiem ściemni, gdyż nie chciałem, żeby mnie ktokolwiek zobaczył. Czułem się dość nieswojo. Byłem pewien, że ktoś będzie świadkiem moich osobliwych poczynań. Wcześniej wybrałem te rośliny, które uznałem za okaz męski i żeński. Musiałem odciąć po

szesnaście cali każdego korzenia, a dokopanie się na tę głębokość za pomocą kija nie należało do łatwych zadań. Zajęło mi to sporo czasu. Kończyłem pracę w zupełnej ciemności, a kiedy nadeszła pora ucięcia korzeni, musiałem użyć latarki. Moja początkowa obawa, że ktoś będzie mnie obserwował, była niczym w porównaniu z lękiem, że ktoś wypatrzy światło migające w zaroślach.

Zaniosłem rośliny do domu don Juana we wtorek, 2 lipca. Otworzył zawiniątka i zbadał ich zawartość. Oznajmił, że jednak będzie musiał dać mi nasiona swych roślin. Pchnął ku mnie moździerz. Zawartość przyniesionego przeze mnie szklanego słoja – suche nasiona wymieszane z sobą – wsypał do moździerza.

Spytałem, co to za nasiona; odpowiedział, że są to nasiona zjedzone przez wołki zbożowe. Wśród nasion spostrzegłem sporo robaczków, maleńkich czarnych wołków zbożowych. Don Juan powiedział, że to specjalne robaki, które trzeba będzie powyjmować i umieścić w osobnym słoju. Podał mi inny słój wypełniony w jednej trzeciej wołkami tego samego rodzaju.

Naczynie było zatkane kawałkiem papieru uniemożliwiającym owadom ucieczkę.

– Następnym razem będziesz musiał użyć robaków z własnych roślin – powiedział don Juan. – Poucinasz torebki nasienne pokryte maleńkimi dziurkami, w środku jest pełno robaków. Otworzysz torebki i wysypiesz ich zawartość do słoja. Uzbierasz garść robaków i umieścisz je w innym naczyniu. Nie patyczkuj się z nimi. Nie musisz postępować z nimi delikatnie ani taktownie. Odmierz garść nasion zjedzonych przez robaki i garść wołków sproszkowanych, resztę zakop w którymkolwiek miejscu znajdującym się na południowy wschód od twej rośliny. Następnie pozbieraj dobre suche nasiona i zmagazynuj je osobno. Możesz zebrać, co tylko zechcesz. Zawsze wolno ci z tego skorzystać. Dobrze jest powyciągać nasiona z torebek, tak żebyś mógł od razu wszystko zakopać.

Don Juan polecił mi następnie, żebym najpierw utarł zjedzone nasiona, potem jaja wołków, następnie robaki, a na końcu suche nasiona.

Gdy wszystko to zostało utarte na drobniutki proszek, don Juan sięgnął po ścięte i poukładane przeze mnie w stożki kawałki czarciego ziela. Oddzielił męski korzeń i owinął go delikatnie w kawałek płótna. Podał mi resztę i nakazał, bym pociął wszystko na kawałeczki, porządnie je utarł, a następnie zlał calutki sok do garnka. Wyjaśnił, że muszę ucierać w tej samej kolejności, w jakiej układałem kawałki w stosiki.

Kiedy skończyłem, polecił mi odmierzyć kubek wrzącej wody i wymieszać ją z zawartością garnka, a następnie dolać jeszcze dwa kubki. Podał mi gładko wypolerowany kawałek kości. Zamieszałem nim w garnku i postawiłem na ogień. Wówczas don Juan oznajmił, ze musimy zająć się korzeniem i w tym celu będziemy musieli użyć większego moździerza, ponieważ korzenia męskiego w ogóle nie wolno krajać.

Wróciliśmy do domu. Przygotował moździerz, a ja zabrałem się do ucierania korzenia w ten sam sposób co przedtem. Pozostawiliśmy korzeń do nasiąknięcia w wodzie pod gołym nocnym niebem i weszliśmy do wnętrza domostwa.

Don Juan kazał mi pilnować mikstury w garnku. Miałem pozwolić jej się gotować, dopóki nie nabierze takiej gęstości, że trudno j ą będzie zamieszać. Następnie ułożył się do snu na macie. Papka gotowała się już z godzinę, gdy spostrzegłem, że coraz trudniej ją zamieszać. Uznałem, że jest gotowa, i ściągnąłem garnek z ognia. Włożyłem go do siatki pod okapem i poszedłem spać.

Zbudziłem się, gdy wstał don Juan. Na czystym niebie świeciło słońce. Dzień był upalny i suchy. Don Juan stwierdził ponownie, że jest przekonany, iż czarcie ziele mnie polubiło.

Zabraliśmy się do przyrządzania korzenia; pod koniec dnia na dnie misy uzbierało się nam już całkiem sporo żółtawej substancji. Don Juan zlał wierzchnią wodę. Sądziłem, że operacja dobiegła końca, ale ponownie napełnił misę wrzątkiem. Udał się następnie po garnek wiszący pod okapem. Papka sprawiała wrażenie prawie całkiem wyschniętej. Don Juan zaniósł garnek do domu, postawił go na podłodze i usiadł, po czym przemówił.

– Mój dobroczyńca powiedział mi, że można wymieszać roślinę z tłuszczem, i to właśnie zrobisz. Mój dobroczyńca uczynił to dla mnie, ale jak już powiedziałem, nigdy za tą rośliną nie przepadałem, nigdy też nie próbowałem naprawdę się z nią zjednoczyć. Dobroczyńca powiedział mi, że w celu osiągnięcia możliwie najlepszego efektu ci, którzy rzeczywiście pragną zapanować nad mocą, powinni zmieszać roślinę z tłuszczem dzika, najlepiej z tłuszczem z jelit. Wybór jednak należy do ciebie.

Niewykluczone, że los zrządzi, iż postanowisz obrać czarcie ziele za swego sprzymierzeńca, a wówczas poradzę ci – jak mi poradził mój dobroczyńca – byś zapolował na dzika i zdobył tłuszcz z

jego jelit *[sebo de tripa}.* Dawniej, gdy czarcie ziele było przewyborne, *brujos* wyprawiali się na specjalne polowania na dziki, by zdobyć tłuszcz. Wybierali największe i najsilniejsze okazy samców. Służył im do tego specjalny rodzaj czarów, z których czerpali szczególną siłę, siłę wręcz niewiarygodną, nawet jak na tamte czasy. Ale dziś po tej sile nie zostało śladu. Nie wiem, gdzie się podziała. Nie znam nikogo, kto wiedziałby coś na ten temat. Możliwe, że samo ziele cię tego wszystkiego nauczy.

Don Juan odmierzył garść tłuszczu, wrzucił go do misy z zaschniętą papką, po czym resztę tłuszczu pozostałą na dłoni starł na krawędź garnka. Polecił mi, bym mieszał zawartość, dopóki nie zmieni się w jednolitą masę.

Uwijałem się przy miksturze niemal trzy godziny. Don Juan zerkał na nią od czasu do czasu i stwierdzał, że nie jest jeszcze gotowa, aż nadszedł moment, kiedy wydał się zadowolony. Powietrze wtłoczone do masy nadało jej jasnoszary kolor i konsystencję galarety. Powiesił wówczas misę spod dachu obok drugiej. Oznajmił, że zajmie się nią dopiero nazajutrz, gdyż przygotowanie owej drugiej porcji zajmie dwa dni. Do tego momentu zabronił mi jeść cokolwiek. Wolno mi było wyłącznie pić wodę.

Nazajutrz, w czwartek, 4 lipca, polecił mi czterokrotnie wyługować korzeń. Kiedy za czwartym razem wylewałem wodę z misy, było już ciemno. Usiedliśmy na werandzie. Don Juan postawił przed sobą obie misy. Ekstraktu korzenia, podobnego do białawego krochmalu, uzbierała się łyżeczka. Włożywszy go do kubka, dolał wody. Ręką, w której trzymał kubek, wykonał kilka obrotowych ruchów, by substancja się rozpuściła, po czym podał mi kubek, polecając, bym wypił całą jego zawartość. Wypiwszy duszkiem, odstawiłem kubek na podłogę i osunąłem się na ziemię. Czułem łomotanie serca, zaczęło mi brakować tchu. Don Juan polecił mi rzeczowym tonem, żebym zdjął całe ubranie. Na pytanie o powód odpowiedział, że muszę natrzeć się papką. Wahałem się, nie wiedziałem, czy się rozebrać. Don Juan nakazał mi pośpiech, dodając, że nie wolno marnować czasu. Rozebrałem się do naga.

Don Juan narysował ułamkiem kości dwie poziome linie na powierzchni papki, dzieląc w ten sposób zawartość misy na trzy równe części. Następnie ze środka górnej linii wyprowadził linię pionową prostopadłą do dwóch pozostałych, dzielącą papkę na pięć części. Wskazawszy na prawy dolny róg, powiedział, że odpowiada on mojej lewej stopie; pole wyżej odpowiadało mojej lewej nodze. Górna i największa część odpowiadała moim genitaliom; pole położone pod nią, po lewej stronie, odpowiadało mojej prawej nodze, a lewy dolny róg – prawej stopie. Polecił mi, bym posmarował papką przeznaczoną dla mojej lewej stopy piętę i wtarł dokładnie papkę. Następnie kierował mną, gdy wcierałem papkę na całej długości wewnętrznej strony lewej nogi, w genitalia, od góry do dołu wewnętrznej strony mojej prawej nogi, a wreszcie w moją prawą piętę.

Postępowałem według jego wskazówek. Papka była zimna i wydzielała nadzwyczaj silny zapach. Zaschnęła, kiedy tylko skończyłem nacieranie. Woń mieszaniny wdarła się do mych nozdrzy. Dławiła mnie. Dusiłem się od gryzącego, przypominającego jakiś gaz, odoru. Usiłowałem oddychać przez usta i przemówić do don Juana, ale bezskutecznie.

Don Juan wpatrywał się we mnie. Wykonałem krok w jego stronę. Nogi miałem jak z gumy, a przy tym okropnie długie. Wykonałem następny krok. Wydawało mi się, że w stawach kolanowych mam sprężyny, które drżą, wibrują i rozciągają się elastycznie, niczym filary sklepienia. Posuwałem się naprzód. Ruch mego ciała był powolny i rozedrgany; przypominał bardziej dygotanie w przód i ku górze. Spojrzałem w dół i zobaczyłem siedzącego dużo niżej don Juana. Z rozpędu postąpiłem kolejny krok przed siebie, a krok ów był jeszcze bardziej sprężysty i trwał jeszcze dłużej niż poprzedni. A potem poszybowałem. Pamiętam, że na chwilę opadłem na dół, później zaś odbiłem się oboma stopami, skoczyłem do tyłu i pofrunąłem na plecach. Ujrzałem rozciągające się nade mną mroczne niebo i przepływające obok mnie chmury. Przewróciłem się na brzuch, żeby patrzeć w dół. Ujrzałem ciemne skupisko gór. Poruszałem się z niewiarygodną prędkością. Ręce przywarły mi ciasno do boków. Głowa pełniła jakby funkcję steru. Kiedy odchyliłem ją do tyłu, zataczałem koła w płaszczyźnie poziomej. Zmiana kierunku odbywała się poprzez zwrócenie głowy w pożądaną stronę. Nigdy dotąd nie zaznałem uczucia tak wielkiej wolności ani takiej chyżości. Wspaniała ciemność napełniła mnie smutkiem, a może tęsknotą. Czułem się tak, jakbym odnalazł miejsce, skąd się wywodzę – nocną ciemność. Spróbowałem rozejrzeć się dookoła, ale wyczułem tylko tyle, że noc jest pogodna i pełna mocy.

Raptem pojąłem, że nadeszła pora powrotu; tak jakbym otrzymał rozkaz, który muszę wykonać. Niczym pióro, zacząłem bocznymi ruchami opadać ku ziemi. Ten rodzaj ruchu podziałał na mnie fatalnie. Był wolny i rwany. Czułem się tak, jakbym był ściągany w dół za pomocą lin nawiniętych na

koła. Zrobiło mi się niedobrze. Głowa pękała mi od rozdzierającego bólu. Zewsząd otoczyła mnie czerń, a ja czułem nadzwyczaj wyraźnie, że jestem w niej zawieszony.

Następne, co pamiętam, to wrażenie przebudzenia. Znajdowałem się w łóżku we własnym pokoju. Usiadłem. Wówczas obraz pokoju rozpłynął się. Wstałem. Byłem nagi! Ruch towarzyszący wstawaniu znowu przyprawił mnie o mdłości.

Rozpoznałem niektóre znaki orientacyjne. Znajdowałem się około pól mili od domu don Juana, w pobliżu miejsca, gdzie rosły jego czarcie zioła. Nagle wszystko zaczęło się zgadzać, a ja uświadomiłem sobie, że będę musiał przejść nago całą drogę powrotną do jego domu. Pozbawienie odzieży stanowiło wielką niedogodność psychiczną, nic jednak nie mogłem na to poradzić. Zastanawiałem się, czy nie zrobić sobie okrycia z gałęzi, ale pomysł ten wydał mi się groteskowy, a poza tym miało się już ku świtowi, gdyż poranna zorza świeciła jasno. Zapomniawszy o mych dolegliwościach psychicznych i cielesnych, powędrowałem w stronę domu. Panicznie lękałem się, że zostanę odkryty, toteż wypatrywałem ludzi i psów. Próbowałem pobiec, ale pokaleczyłem sobie stopy o ostre kamyki. Zwolniłem kroku. Było już całkiem widno. Wówczas ujrzałem, że ktoś nadchodzi drogą, i szybko wskoczyłem w zarośla. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, wydała mi się absurdalna. Jeszcze przed chwilą doświadczałem trudnej do opisania rozkoszy latania, w chwilę potem musiałem się ukryć zawstydzony własną nagością. Pomyślałem, żeby znów wyskoczyć na drogę i biegnąc co sił w nogach, minąć nadchodzącego osobnika. Sądziłem, że będzie tak zaskoczony, że nim uprzytomni sobie, iż ma przed sobą nagusa, będę już daleko. Medytowałem nad tym wszystkim, ale nie ośmieliłem się zrobić najmniejszego ruchu.

Wędrowiec zmierzający w moją stronę był już bardzo blisko, kiedy się zatrzymał. Usłyszałem, że woła mnie po imieniu – to był don Juan niosący moje ubranie. Gdy skończyłem się ubierać, spojrzał na mnie i roześmiał się; śmiał się tak zaraźliwie, że i ja zacząłem wić się ze śmiechu.

Tegoż dnia, w piątek, 5 lipca, późnym popołudniem, poprosił mnie, bym mu szczegółowo zrelacjonował swoje przeżycia. Uczyniłem to możliwie jak najdokładniej.

– Drugiej porcji czarciego ziela używa się do latania – powiedział, kiedy skończyłem. – Sama maść nie wystarczy. Mój dobroczyńca twierdził, że to korzeń kieruje i obdarza mądrością; za jego też przyczyną możliwe jest latanie. Im więcej się uczysz i im częściej latasz po jego spożyciu, tym większą zdobywasz jasność widzenia. Będziesz mógł poszybować w przestworzach na odległość wieluset mil, aby zobaczyć, co się dzieje w dowolnym miejscu, lub żeby zadać śmiertelny cios odległemu nieprzyjacielowi. Kiedy oswoisz się z czarcim zielem, nauczy cię ono, jak dokonywać takich wyczynów. Nauczyło cię już, na przykład, jak się zmienia kierunek latania, w podobny sposób nauczy cię jeszcze wielu niewiarygodnych rzeczy.

– Na przykład czego, don Juanie?

– Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie, bo z każdym człowiekiem jest inaczej. Mój dobroczyńca nigdy mi nie powiedział, czego się nauczył. Powiedział mi tylko, co mam robić, ale nie wspominał nigdy, co zobaczył. Należy to zachować dla siebie.

– Przecież ja opowiadam ci wszystko, co widziałem, don Juanie.

– Teraz tak, ale wkrótce przestaniesz; kiedy następnym razem spożyjesz czarcie ziele, uczynisz to w samotności, nieopodal swych roślin, bo w tym właśnie miejscu wylądujesz. Zapamiętaj to sobie. Właśnie dlatego wybrałem się do mych roślin, żeby cię odszukać.

Wypowiedziawszy te słowa, zamilkł, a ja usnąłem. Obudziłem się wieczorem pełen energii. Bez sprecyzowanego powodu biło ze mnie fizyczne zadowolenie. Byłem szczęśliwy.

– Dobrze ci było w nocy czy też odczuwałeś przerażenie? – zapytał don Juan.

Odpowiedziałem mu, że w nocy było naprawdę wspaniale.

– A głowa? Bardzo cię bolała?

– Ból głowy był tak samo silny jak wszystkie inne moje doznania. Tak mocno głowa mnie jeszcze nigdy nie bolała.

– Czy w związku z tym przeszła ci ochota, żeby znowu skosztować mocy czarciego ziela?

– Nie wiem. Teraz nie mam na to ochoty, ale nie wiadomo, co będzie później. Naprawdę nie wiem, don Juanie.

Chciałem mu zadać pewne pytanie. Wiedziałem, że będzie unikał odpowiedzi, czekałem więc, żeby sam poruszył ten temat; czekałem cały dzień, toteż ostatecznie, nim jeszcze wyruszyłem owego

wieczoru w drogę, musiałem mu je zadać:

– Czyja naprawdę latałem, don Juanie?

– Tak mi powiedziałeś, prawda?

– Wiem. Chodzi mi o to, czy latało moje ciało? Czy poderwałem się z ziemi jak ptak?

– Wiecznie zadajesz mi pytania, na które nie mogę odpowiedzieć. Fruwałeś. Takie jest przeznaczenie drugiej porcji czarciego ziela. Spożywając je częściej, nauczysz się latać bezbłędnie. Nie jest to proste. Człowiek lata dzięki pomocy drugiej porcji czarciego ziela. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Twoje pytanie pozbawione jest sensu. Ptaki latają na ptasią modłę, a człowiek, który spożył czarcie ziele, lata na człowieczą modłę *[el enyerbado vuela asi].*

– Tak jak ptaki? [*Ąsi como los pdjaros?]*

– Nie, lata tak jak człowiek, który spożył to ziele *[No, asi como los enyerbados.]*

– To znaczy, że w rzeczywistości nie latałem, don Juanie. Fruwałem jedynie w mej wyobraźni, w mym umyśle. Gdzie było moje ciało?

– W zaroślach – zasyczał, ale natychmiast ryknął śmiechem. – Kłopot z tobą polega na tym, że pojmujesz wszystko tylko w jeden sposób. Sądzisz, że człowiek nie może latać, tymczasem *brujo* potrafi przenieść się tysiąc mil w ciągu sekundy, żeby zobaczyć, co się dzieje. Może zadać cios swym wrogom przebywającym w wielkiej odległości. No więc lata czy nie lata?

– Bo widzisz, don Juanie, różnimy się nastawieniem. Przypuśćmy teoretycznie, że ktoś z uczących się ze mną był obecny przy tym, jak przyjmowałem czarcie ziele. Czy zobaczyłby, że latam?

– A ty znowu ze swoim, “co by było, gdyby..." W ten sposób nie ma sensu rozmawiać. Gdyby twój przyjaciel lub ktokolwiek inny przyjął drugą porcję czarciego ziela, mógłby zrobić tylko jedno: latać. Gdyby zaś po prostu się tobie przyglądał, niewykluczone, że ujrzałby, jak latasz, albo by nie ujrzał. To zależy od człowieka.

– Ale mnie chodzi o to, don Juanie, że jeśli obaj patrzymy na ptaka i widzimy, że leci, to zgodzimy się, że ptak leci. Gdyby jednak dwóch moich kolegów ujrzało, że latam w taki sposób, w jaki robiłem to wczoraj w nocy, czy również zgodziliby się co do tego, że latam?

– Możliwe, że tak. Zgadzasz się, że ptaki latają, bo widziałeś, jak latały. Latanie to u ptaków rzecz naturalna. Nie zgodzisz się jednak co do tego, że ptaki robią też inne *rzeczy,* ponieważ nie widziałeś nigdy, jak je robią. Gdyby twoi koledzy słyszeli o ludziach latających dzięki czarciemu zielu, toby się zgodzili.

– Sformułujmy to inaczej, don Juanie. Chcę powiedzieć, że gdybym przykuł się do skały ciężkim łańcuchem, to i tak bym pofrunął, bo moje ciało nie brało żadnego udziału w lataniu.

Don Juan spojrzał na mnie *z–* niedowierzaniem.

– Obawiam się, że jeśli przykujesz się do skały – powiedział – będziesz musiał poszybować, dźwigając skałę z łańcuchem.

7.

Zbieranie składników i przygotowanie z nich mieszaniny do palenia odbywało się w cyklu rocznym. W ciągu pierwszego roku don Juan nauczył mnie zasad postępowania. W grudniu 1962 roku, czyli w drugim roku nauki, cykl został wznowiony, a don Juan udzielał mi jedynie wskazówek, zaś ja sam zbierałem składniki, przyrządzałem je i chowałem na rok następny.

W grudniu 1963 roku rozpoczął się cykl trzeci. Don Juan pokazał mi wówczas sposób łączenia ususzonych składników mieszanki, które zebrałem i przygotowałem rok wcześniej. Umieścił mieszankę w skórzanym woreczku, po czym po raz kolejny wyruszyliśmy, żeby nazbierać różnych składników potrzebnych w przyszłym roku.

Don Juan rzadko wspominał o “dymku" w ciągu roku, który upłynął od jednej do drugiej wyprawy zbierackiej. Ilekroć jednak go odwiedzałem, wręczał mi do potrzymania swą fajkę, a “oswajanie się" z fajką przebiegało w sposób przez niego opisany. Przekazanie fajki w moje ręce rozłożył na wiele etapów. Wymagał przy tym absolutnego i nadzwyczaj uważnego skupienia się na tej czynności i udzielał mi bardzo szczegółowych wskazówek. Pouczył mnie także, że niezdarne obchodzenie się z fajką musiałoby doprowadzić do mojej lub jego śmierci.

Natychmiast po zakończeniu trzeciego cyklu zbierania i przygotowań don Juan po raz pierwszy od ponad roku zaczął opowiadać o dymie-sprzymierzeńcu.

Poniedziałek, 23 grudnia 1963

Wracaliśmy autem do domu don Juana, nazbierawszy trochę żółtych kwiatów do mieszanki. Stanowiły one jeden z niezbędnych jej składników. Wypowiedziałem uwagę, że w tym roku zbieranie składników odbywa się w innej kolejności niż w zeszłym. Roześmiał się i odpowiedział, że dym nie jest małostkowy i kapryśny jak czarcie ziele. W wypadku dymu kolejność zbierania jest nieistotna; ważne jest wyłącznie to, by osobę używającą mieszanki cechowała precyzja i dokładność.

Spytałem don Juana, co uczynimy z mieszanką, którą przygotował i dał mi na przechowanie. Odpowiedział, że należy ona do mnie, i dodał, że powinienem jak najszybciej jej użyć. Spytałem, ile jej na jeden raz potrzeba. Woreczek, który od niego otrzymałem, zawierał mniej więcej tyle mieszanki, ile woreczek tytoniu. Odpowiedział, że powinienem zużyć całą zawartość mego woreczka w ciągu roku, to zaś, ile będę za każdym razem potrzebował, zależy tylko ode mnie.

Chciałem się dowiedzieć, co by się stało, gdybym nigdy nie wypalił całej zawartości woreczka. Don Juan odpowiedział, że nic, bo dym nie ma żadnych wymagań. Sam nie odczuwał już potrzeby palenia, mimo to co roku sporządzał świeżą mieszankę. Poprawił się jednak, stwierdzając, że potrzebę palenia odczuwa rzadko. Spytałem, co robi z nie wykorzystaną mieszanką, ale nie odpowiedział. Powiedział tylko, że jeśli nie zużyje się jej w ciągu roku, przestaje być dobra.

Wywiązała się wówczas między nami długa rozmowa. Sformułowałem swoje pytanie niezbyt poprawnie, a jego odpowiedź była niejasna. Chciałem się dowiedzieć, czy mieszanka utraci właściwości halucynogenne lub swą moc, powodując w ten sposób konieczność powtórzenia po roku całego rocznego cyklu, obstawał jednak przy tym, że nie utraci ona swojej mocy w żadnym momencie. Dzieje się tylko tyle – ciągnął dalej, żeczłowiek już jej nie potrzebuje, bo sporządził sobie nowy zapas, natomiast starej mieszanki musi się pozbyć w określony sposób; w jaki mianowicie – tego don Juan nie chciał powiedzieć.

Wtorek, 24 grudnia 1963

– Mówiłeś, don Juanie, że nie musisz już palić.

– Owszem, nie odczuwam już takiej potrzeby, bo dym stał się mym sprzymierzeńcem. Mogę go przywołać zawsze i wszędzie, ilekroć zechcę.

– Czy to znaczy, że spotyka się z tobą, nawet jeśli nie palisz?

– To znaczy, że spotykam się z nim w sposób nieskrępowany.

– Czy ja też będę w stanie to uczynić?

– Owszem, pod warunkiem że pozyskasz w nim swego sprzymierzeńca.

Wtorek, 31 grudnia 1963

We czwartek, 26 grudnia, zetknąłem się po raz pierwszy ze sprzymierzeńcem don Juana, czyli z dymem. Przez cały dzień obwoziłem don Juana po okolicy i pomagałem w codziennych zajęciach. Wróciliśmy do domu późnym popołudniem. Wspomniałem, że od samego rana nic nie jedliśmy, ale zupełnie się tym nie przejął, tylko zaczął mi opowiadać, że jest absolutnie niezbędne, abym oswoił się z dymem. Oznajmił, że muszę poznać go osobiście, bym mógł docenić, jak ważnym jest sprzymierzeńcem.

Nie dając mi żadnej okazji odezwania się choćby słówkiem, don Juan poinformował mnie, że zaraz zapali dla mnie swoją fajkę. Próbowałem go odwieść od tego zamiaru, stwierdzając, że chyba nie jestem jeszcze gotowy. Oświadczyłem, że odnoszę wrażenie, iż nie miałem fajki w ręce od zbyt dawna. Odrzekł jednak, że nie pozostało mi wiele czasu na naukę i muszę już za chwilę zapalić fajkę. Wydobył ją następnie ze swego woreczka i obsypał pieszczotami. Usiadłem tuż obok niego na podłodze i gorączkowo starałem się zasłabnąć, byle tylko opóźnić wykonanie tego nieuniknionego kroku.

W pokoju było prawie całkiem ciemno. Don Juan zapalił lampę naftową i postawił ją w rogu. Normalnie utrzymywała ona izbę w dającym odprężenie półmroku, jej żółtawe światło działało zawsze kojąco. Tym razem jednak sprawiało wrażenie przyćmionego i nienormalnie czerwonego, wywoływało we mnie niepokój. Don Juan rozwiązał woreczek z mieszanką, nie zdejmując go z tasiemki okalającej jego szyję. Przycisnął fajkę do piersi, wsunął ją pod koszulę i wsypał trochę mieszanki do główki. Kazał mi obserwować swoje czynności, podkreślając, że gdyby okruchy mieszanki się rozsypały, wpadłyby za koszulę.

Napełniwszy główkę w trzech czwartych, don Juan zawiązał woreczek jedną ręką, nie wypuszczając z drugiej fajki. Sięgnął następnie po gliniany spodeczek, podał mi go i poprosił, bym wyjął z płonącego na zewnątrz paleniska garść drzewnych węgielków. Udałem się na tyły domostwa i nabrałem węgli ze znajdującego się tam pieca z wysuszonych na słońcu cegieł. Szybko wróciłem, ogarnięty głębokim niepokojem i pełen złych przeczuć.

Usiadłem przy don Juanie i podałem mu spodek. Spojrzawszy na leżące na nim węgle, spokojnie stwierdził, że są za duże. Chciał mniejsze, które zmieściłyby się w główce. Udałem się ponownie do pieca i wydobyłem trochę takich, jakich sobie życzył. Wziął spodek z węglami i postawił go przed sobą. Siedział wsparty na skrzyżowanych nogach. Zerknął na mnie kątem oka i pochylił się ku ziemi, niemal dotykając podbródkiem talerzyka z węglami. Fajkę ujął w lewą dłoń, błyskawicznym ruchem prawej chwycił węgielek i włożył go do główki, po czym wyprostował się i włożył fajkę – którą trzymał teraz oburącz – do ust i pyknął z niej trzykrotnie. Wyciągnął do mnie ramiona, nakazując głośnym szeptem, bym wziął fajkę z jego rąk i również pociągnął.

Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby odmówić i uciec, ale don Juan zażądał powtórnie – również szeptem – bym wziął od niego fajkę. Spojrzałem na niego. Wpatrywał się we mnie, ale wzrokiem przyjaznym i zatroskanym. Przecież to jasne, że wybór został dokonany dawno temu; nie istniała inna możliwość, jak tylko spełnić jego polecenie.

Wziąłem fajkę, którą od razu chciałem wypuścić: była gorąca! Włożyłem ją do ust nadzwyczaj ostrożnie, bo wyobrażałem sobie, że moje wargi nie zniosą takiego gorąca. Tymczasem wcale gorąca nie poczułem.

Don Juan nakazał mi się zaciągnąć. Dym napłynął mi do ust i zdawał się w nich krążyć. Był ciężki! Czułem się tak, jakbym miał usta pełne ciasta. To porównanie przyszło mi na myśl, choć nigdy w życiu nie miałem ust pełnych ciasta. Dym miał smak mentolu i nagle moją jamę ustną przepełnił chłód. Doznałem wrażenia świeżości. “Jeszcze, jeszcze!" – usłyszałem szept don Juana. Czułem, jak dym wsiąka w głąb mego ciała całkowicie swobodnie, prawie poza moją kontrolą. Don Juan nie musiał mnie już ponaglać. Zaciągnąłem się automatycznie.

Wtem don Juan pochylił się ku mnie i wyjął mi z rąk fajkę. Delikatnie wytrząsnął z niej popiół na talerzyk z węgielkami, po czym zamoczył palce w ślinie i okrężnymi ruchami wyczyścił wnętrze główki. Przedmuchał kilkakrotnie cybuch. Widziałem, jak włożył fajkę do swego woreczka. Z zaciekawieniem śledziłem jego czynności.

Skończywszy czyścić fajkę i odłożywszy ją na bok, zaczął mi się przyglądać, a ja uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że całe me przeniknięte mentolem ciało ze-sztywniało. Głowa mi ciążyła i bolały mnie szczęki. Nie mogłem utrzymać ust zamkniętych, ale ślina nie napływała. Odczuwałem palącą suchość ust, a mimo to nie chciało mi się pić. Głowę przepełniło mi gorąco – zimne! Miałem wrażenie, że przy każdym wydechu pękają mi nozdrza i górna warga; oddech nie palił mnie jednak, tylko

sprawiał ból niczym sopel lodu.

Don Juan siedział przy mnie; po mojej prawej stronie, *i* nie ruszając się, przytrzymywał woreczek z fajką na podłodze, jak gdyby był to dla niego wielki wysiłek fizyczny. Dłonie mi ciążyły, ramiona zaś obwisły, pociągając za sobą barki. Ciekło mi z nosa. Obtarłem go wierzchem dłoni, ścierając zarazem wargę! Obtarłem twarz i jednocześnie starłem z niej całą skórę! Rozpadałem się na kawałki! Miałem wrażenie, że całe moje ciało się roztapia. Zerwałem się na równe nogi i spróbowałem uchwycić się czegoś – czegokolwiek – o co mógłbym się oprzeć. Ogarnęło mnie przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie zaznałem. Uchwyciłem się słupa wbitego przez don Juana na środku izby. Stałem tam przez chwilę, po czym odwróciłem się, by spojrzeć na don Juana. Siedział nadal bez ruchu, przytrzymując fajkę i wpatrując się we mnie.

Mój oddech stał się boleśnie gorący (zimny?). Zatykał umie. Pochyliłem głowę w przód, chcąc oprzeć ją o siup, ale nie trafiłem, a głowa opadła mi dalej, poza miejsce, w którym się znajdował. Zatrzymałem się ledwie o kilka centymetrów od podłogi. Podźwignąłem się sam: słup miałem tuż przed oczyma! Ponownie spróbowałem oprzeć o niego głowę. Starałem się opanować i zachować przytomność umysłu; usiłując nie zamykać oczu, pochyliłem się do przodu, chcąc dotknąć czołem słupa. Znajdował się w odległości kilku cali od mych oczu, kiedy jednak oparłem o niego głowę, doznałem najzupełniej niesamowitego wrażenia, że przechodzę przez drewno, z którego był zrobiony.

Rozpaczliwie poszukując jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, doszedłem do wniosku, że mój wzrok zniekształca głębię, wobec czego słup musi się znajdować o dziesięć stóp dalej, bez względu na to, że miałem go tuż przed oczami. Wpadłem wówczas na logiczny i racjonalny sposób sprawdzenia pozycji słupa. Drobnymi kroczkami zacząłem okrążać go bokiem. Zakładałem przy tym, że chodząc w ten sposób dokoła słupa, mogę zatoczyć koło o średnicy co najwyżej pięciu stóp; jeśli zatem słup znajduje się istotnie w odległości dziesięciu stóp ode mnie lub dalej, w pewnej chwili dotknę go niechybnie plecami. Sądziłem, że w tejże chwili słup zniknie, gdyż w rzeczywistości będzie się znajdował za mną.

Zacząłem wówczas okrążać słup, ale cały czas znajdował się przed mymi oczami. W przypływie desperacji chwyciłem go oburącz, lecz moje ręce przeszły przezeń. Schwyciłem powietrze. Wyliczyłem dokładnie odległość dzielącą mnie od słupa. Sądziłem, że wynosi ona trzy stopy, to znaczy taki dystans postrzegłem wzrokiem. Przez pewien czas zajmowałem się sposobem, w jaki postrzegam głębię, przechylając głowę na boki i koncentrując jedno lub drugie oko najpierw na słupie, a potem na tle. Taki sposób oceniania głębi pozwolił mi nabrać pewności, że słup powinien znajdować się w odległości trzech stóp. Wyciągnąłem ramiona przed siebie, by chronić głowę, i natarłem z całej siły. Wrażenie było to samo: przeszedłem przez słup. Tym razem jednak dotarłem aż do podłogi. Dźwignąłem się ponownie. Moje powstanie stanowiło być może najbardziej niezwykły z wyczynów, jakich dokonałem tej nocy. Uczyniłem to wyłącznie wysiłkiem myśli! Ażeby się podnieść, nie użyłem mięśni ani szkieletu w taki sposób, w jaki zwykłem to robić, albowiem nie miałem już nad nimi kontroli. Przekonałem się o tym w momencie, gdy wyrżnąłem o ziemię. Tak silna jednak nękała mnie ciekawość, że działając niejako odruchowo, podniosłem się wysiłkiem myśli. Nim też uprzytomniłem sobie, że nie mogę się ruszać, stanąłem na nogi.

Wezwałem na pomoc don Juana. W pewnej chwili ryknąłem rozpaczliwie, co sił w płucach, ale don Juan ani drgnął. Przypatrywał mi się ciągle z ukosa, jak gdyby nie chciał odwrócić głowy i spojrzeć mi prosto w twarz. Uczyniłem krok w jego stronę, zamiast jednak posunąć się naprzód, zatoczyłem się do tyłu i osunąłem na ścianę. Czułem, że grzmotnąłem o nią plecami, lecz nie była wcale twarda – zawisłem w miękkiej, gąbczastej substancji, i to właśnie była ściana. Z wyciągniętymi poziomo rękoma zacząłem się z wolna w nią jakby zapadać. Mogłem jedynie wysłać błagalne spojrzenie w głąb izby. Don Juan cały czas przyglądał mi się, ale nie wykonał najmniejszego gestu pomocy. Uczyniwszy ogromny wysiłek, spróbowałem wyrwać swe ciało ze ściany, ono jednak zapadało się w nią coraz głębiej. Ogarnięty nie dającym się opisać przerażeniem poznałem, że gąbczasta masa zamyka się na mojej twarzy. Usiłowałem zamknąć oczy, ale sztywne powieki nie chciały opaść.

Nie przypominam sobie, co działo się dalej. Don Juan znalazł się raptem tuż przede mną. Byliśmy w drugiej izbie. Ujrzałem stół i ogień płonący w ziemnym piecyku, a kątem oka dostrzegłem płot okalający budynek. Widziałem wszystko nadzwyczaj wyraźnie. Don Juan przyniósł lampę naftową, którą zawiesił u belki na środku pomieszczenia. Spróbowałem spojrzeć w innym kierunku, ale byłem w stanie patrzeć jedynie prosto przed siebie. Nie mogłem odróżnić ani nie czułem żadnej części mojego ciała. Również mój oddech stał się niewyczuwalny, za to myślało mi się szalenie jasno. Zupełnie wyraźnie uprzytomniłem sobie wszystko, co działo się przede mną. Don Juan zbliżył się do mnie i opuściła mnie jasność umysłu, tak jakby coś się we mnie zatrzymało. Proces umysłowy zatrzymał się,

a widok zbliżającego się don Juana przepełnił mnie nienawiścią. Chciałem rozedrzeć go na strzępy. Byłbym go zabił, gdybym mógł się ruszyć. Z początku czułem nacisk na czaszkę, ale później to wrażenie minęło. Pozostało już tylko jedno – przemożny gniew na don Juana, który znajdował się zaledwie kilka cali ode mnie. Chciałem go rozszarpać. Czułem, że wydaję z siebie charkot. Moim wnętrzem zaczęły targać konwulsje. Usłyszałem przemawiającego do mnie don Juana. Jego głos był miękki i kojący, a także – tak to odczułem – niesłychanie miły. Podszedłszy jeszcze bliżej, zaczął recytować hiszpańską kołysankę: “Święta Anno, czemu płacze ta dziecina? Bo zgubiła jabłko. Ja dam ci jabłuszko. Dam ci dwa. Jedno dla dzieciny, a drugie dla ciebie" *[Senora Santa Ana, porgue Hora el nińo? Por una manzana que se le ha perdido. Yo le dare una. Yo le dare dos. Una para el nińo y otrą para vos].* Ogarnęła mnie fala ciepła. Było to ciepło płynące z serca i uczuć. Słowa don Juana odzywały się dalekim echem, przywracając pamięci odległe dzieciństwo.

Agresja, którą wcześniej odczuwałem, ustąpiła. Nienawiść zamieniła się w tęsknotę – radosną serdeczność dla don Juana. Powiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mi zasnąć oraz że nie posiadam już ciała i mogę bez żadnych przeszkód zamienić się w cokolwiek zechcę. Zrobił krok do tyłu. Patrzyłem na niego z normalnego poziomu wzroku – tak jakby stał przede mną. Obie ręce wyciągnął w moją stronę, mówiąc, bym wszedł mu w objęcia.

Albo on postąpił ku mnie, albo ja podszedłem do niego. Dłońmi dotykał niemal mej twarzy – moich oczu, choć ich nie czułem. “Wejdź w mą pierś" – usłyszałem słowa don Juana. Poczułem, że wchłaniam go w siebie. Było to identyczne doznanie jak w wypadku gąbczastej ściany.

A potem słyszałem jedynie głos nakazujący mi, bym patrzył i widział. Samego don Juana nie mogłem już dostrzec. Oczy musiałem mieć nadal otwarte, bo ujrzałem rozbłyski światła na jakimś czerwonym polu. Odniosłem wrażenie, że przez zamknięte powieki przyglądam się światłu. Wówczas nastąpiło ponowne uruchomienie moich procesów myślowych. Zalał mnie wartki potok obrazów – twarzy i scen, które wyskakiwały z ciemności i znikały bez jakiegokolwiek logicznego związku. Przypominało to szybko zmieniające i nakładające się na Siebie obrazy marzenia sennego. A potem myśli zaczęło ubywać, traciły intensywność, aż wkrótce zupełnie zniknęły. Pozostała jedynie świadomość doznawanego przeze mnie uczucia szczęścia. Nie potrafiłem dojrzeć żadnych kształtów ani światła. Wtem coś dźwignęło mnie w górę. Czułem wyraźnie, jak coś mnie unosi. I oto całkowicie swobodnie mknąłem z niewiarygodną lekkością w wodzie bądź powietrzu. Śmigałem niczym węgorz; wykonywałem dowolne akrobacje, szybując w dół i w górę. Zewsząd owiewały mnie podmuchy zimnego wiatru, a ja począłem wirować niczym piórko zdmuchiwane to tu, to tam, i w dół, ciągle już w dół, ku ziemi.

Sobota, 28 grudnia 1963

Zbudziłem się wczoraj późnym popołudniem. Don Juan poinformował mnie, że spałem spokojnie przez prawie dwie doby. Głowa pękała mi z bólu. Napiłem się wody i zrobiło mi się niedobrze. Czułem zmęczenie, ogromne zmęczenie i posiliwszy się, poszedłem znów spać.

Dziś poczułem się całkiem wypoczęty. Rozmawiałem z don Juanem o mych doznaniach wywołanych przez dymek. Sądząc, że chce, bym opowiedział mu wszystko tak jak zawsze, zacząłem opisywać swoje wrażenia, ale przerwał mi, mówiąc, że to niepotrzebne. Oznajmił, że nie zrobiłem nic szczególnego i natychmiast zasnąłem, a zatem nie ma o czym mówić.

– A moje odczucia? Czy one wcale się nie liczą? – nalegałem.

– Nie, w wypadku dymu są nieistotne. Później, kiedy nauczysz się, jak odbywać podróż, porozmawiamy, ale musisz nauczyć się wchodzić w rzeczy.

– Czy naprawdę można “wejść w rzeczy"?

– Zapomniałeś? Wszedłeś w ścianę i przeszedłeś przez nią.

– Raczej postradałem rozum.

– O nie.

– Czy zachowywałeś się tak samo jak ja, kiedy pierwszy raz zapaliłeś, don Juanie?

– Nie, inaczej. Mamy odmienne charaktery.

– Co robiłeś?

Don Juan nie odpowiedział. Przeformułowałem swoje pytanie i zadałem je powtórnie, odrzekł jednak, że nie pamięta swych przeżyć i że moje pytanie można porównać do pytania rybaka o to, jak się czuł, kiedy pierwszy raz łowił ryby. Powiedział, że dym to wyjątkowy sprzymierzeniec, na co

przypomniałem mu, że to samo powiedział o Mescalito. Odparł wówczas, że wprawdzie są wyjątkowi, to jednak nie są tym samym.

– Mescalito jest obrońcą, bo przemawia do nas i kieruje naszym postępowaniem – stwierdził. – Mescalito uczy właściwego sposobu życia. Można go zobaczyć, bo znajduje się poza nami. Dym natomiast jest sprzymierzeńcem. Przekształca nas i obdarza swą mocą, nie stając nigdy przed naszymi oczami. Nie można z nim rozmawiać. Wiesz jednak, że istnieje, bo odbiera ci ciało i sprawia, że stajesz się lekki jak powietrze. Mimo to nigdy nie można go zobaczyć. A przecież obdarza cię mocą dokonania fantastycznych wyczynów, na przykład wówczas, gdy odbiera ci ciało.

– Ja naprawdę czułem, że utraciłem ciało, don Juanie.

– No tak.

– Czy to znaczy, że naprawdę pozbawiony byłem ciała?

– A ty sam jak myślisz?

– Właściwie nie wiem. Mogę ci powiedzieć tylko to, co czułem.

– W rzeczywistości nic więcej nie istnieje, tylko to, co *czujesz.*

– Ale pod jaką postacią mnie oglądałeś, don Juanie? Co widziałeś, patrząc na mnie?

– To nie ma znaczenia. Na przykład wtedy, gdy chwyciłeś się słupa, czułeś, że go nie ma, i obszedłeś go wkoło, żeby się upewnić, czy się tam znajduje. Jednak w momencie, kiedy na niego wlazłeś, poczułeś ponownie, że naprawdę go tam nie było.

– Ale oglądałeś mnie pod tą samą postacią co teraz, prawda?

– Nie, wyglądałeś inaczej niż w tej chwili!

– Masz rację, przyznaję! Ale posiadałem ciało, prawda, mimo że tego nie czułem?

– Nie, do jasnej cholery! Twoje ciało różniło się od tego, jakie teraz posiadasz!

– No to co się stało z moim ciałem?

– Myślałem, że zrozumiałeś. Dymek je zabrał.

– Ale dokąd?

– Skąd u licha mam to wiedzieć?

Dalsze próby uzyskania “racjonalnego" wytłumaczenia nie miały sensu. Oświadczyłem mu, że nie chcę się spierać ani zadawać głupich pytań, ale gdybym miał się pogodzić z myślą, że można utracić własne ciało, kosztowałoby mnie to utratę zdolności racjonalnego myślenia.

Odrzekł, że jak zwykle przesadzam, bo niczego z powodu dymku nie utraciłem ani nie mogłem utracić.

Wtorek, 28 stycznia 1964

Spytałem don Juana, co sądzi o tym, żeby udostępnić dym każdemu, kto zapragnąłby zdobyć to doświadczenie. Oburzony odparł, że udostępnienie każdemu równałoby się morderstwu, gdyż taka osoba nie miałaby przewodnika. Poprosiłem, żeby wyjaśnił, co ma na myśli. Odpowiedział, że rozmawiam z nim żywy dzięki temu, że czuwał nad moim powrotem i przywrócił mi ciało. Gdyby nie on, nigdy bym się nie obudził.

– W jaki sposób przywróciłeś mi ciało, don Juanie?

– Dowiesz się później, ale będziesz musiał nauczyć się robić to wszystko sam. To dlatego chcę, żebyś się nauczył możliwie jak najwięcej, dopóki jestem przy tobie. Zmarnowałeś już dostatecznie dużo czasu na zadawanie głupich pytań na absurdalne tematy. Możliwe jednak, że nie jest ci sądzone nauczyć się wszystkiego, co dotyczy dymku.

– Więc co mam robić?

– Pozwól, by dym cię nauczył możliwie jak najwięcej.

– Czy dym również uczy?

– Naturalnie, że tak.

– Czy uczy w ten sam sposób jak Mescalito?

– Nie, bo to jest inny nauczyciel. Pokazuje co innego.

– To czego uczy?

– Pokazuje, w jaki sposób postępować z mocą, jaką daje, i że trzeba go przyjmować możliwie jak najczęściej.

– Twój sprzymierzeniec, don Juanie, jest naprawdę przerażający. Nie przeżyłem dotąd niczego podobnego. Myślałem, że postradałem rozum.

Nie wiadomo czemu to właśnie sformułowanie było najostrzejszym, jakie przyszło mi na myśl. Ujmowałem całe zdarzenie ze specyficznej perspektywy polegającej na porównaniu z sobą różnych doświadczeń halucynogennych, przez jakie przeszedłem, a jedynym nasuwającym mi się wnioskiem było to, że dym prowadzi do postradania rozumu.

Don Juan nie zgodził się z moim porównaniem; twierdził, że tym, czego doświadczyłem, była niewyobrażalna potęga dymu. Żeby zaś móc sobie z nią poradzić – mówił dalej – trzeba wieść mocne życie. Pojęcie mocnego życia odnosi się nie tylko do okresu przygotowań, lecz także zawiera w sobie postawę człowieka, który przeszedł przez podobne do mego doświadczenia. Dym jest jednak tak mocny, że trzeba wielkiej siły, żeby mu dorównać, inaczej zetrze nas z powierzchni ziemi.

Spytałem, czy dym działa na każdego tak samo. Odpowiedział, że wywołuje przemianę, ale nie we wszystkich.

– Z jakiego to zatem specjalnego powodu wywołał przemianę u mnie? – spytałem.

– Sądzę, że to bardzo głupie pytanie. Wykonałeś jak należy wszelkie wymagane czynności. Nic dziwnego, że dym cię przemienił.

Ponownie poprosiłem go, żeby opowiedział mi, jak wyglądałem. Chciałem się tego dowiedzieć, bo myśl o bezcielesnej istocie, posiana w mym umyśle przez don Juana, była dla mnie – co łatwo zrozumieć – nieznośna.

Odrzekł wówczas, że prawdę mówiąc, obawiał się na mnie spojrzeć; odczuwał chyba to samo co jego dobroczyńca, gdy przyglądał się palącemu po raz pierwszy don Juanowi.

– Dlaczego się bałeś? Czy mój widok był aż tak przerażający? – spytałem.

– Nigdy przedtem nie widziałem nikogo palącego.

– Nie widziałeś, jak palił twój dobroczyńca?

– Nie.

– A siebie też nie widziałeś?

– A jakim sposobem?

– Mogłeś palić przed lustrem...

Nic nie odpowiedział, tylko sparzał na mnie i pokręcił głową. Spytałem ponownie, czy można zobaczyć się w lustrze. Odpowiedział, że można, choć nic by to nie dało, bo człowiek najprawdopodobniej umarłby ze strachu, jeśli nie z czego innego.

– To znaczy, że wygląda się przerażająco – stwierdziłem.

– Zastanawiałem się nad tym całe życie – odpowiedział. – Mimo to nie pytałem o to ani nie spojrzałem w lustro. Nawet mi to nie przyszło do głowy.

– To skąd mam się dowiedzieć?

– Będziesz musiał poczekać, tak samo jak ja czekałem, aż do chwili, kiedy przekażesz dym komuś innemu, pod warunkiem, rzecz jasna, że nim zawładniesz. Wówczas zobaczysz, jak się wtedy wygląda. Taka jest zasada.

– A co by było, gdybym zapalił przed obiektywem aparatu fotograficznego i zrobił sobie zdjęcie?

– Nie wiem. Prawdopodobnie naraziłbyś się dymowi. Przypuszczam jednak, że uważasz go za tak nieszkodliwy, iż wydaje ci się, że możesz się z nim bawić.

Odparłem, że nie chodziło mi wcale o zabawę, tylko o to, co powiedział mi wcześniej, że dym nie stawia żadnych wymagań, wobec czego sądziłem, iż nie ma nic złego w pragnieniu dowiedzenia się, jak się wówczas wygląda. Poprawił mnie, stwierdzając, że powiedział tylko, iż nie ma potrzeby przestrzegania jakiejś ustalonej kolejności, odmiennie niż w wypadku czarciego ziela; dym wymaga od

nas jedynie właściwego podejścia. Z tego też wynika konieczność ścisłego przestrzegania zasady. Wyjaśnił mi, że nie ma znaczenia, jaki będzie pierwszy zebrany przez nas składnik mieszaniny, pod warunkiem że ilość będzie się zgadzała.

Spytałem, czy byłoby czymś niewłaściwym, gdybym opowiedział innym o mych przeżyciach. Odrzekł na to, że jedynymi tajemnicami, których nigdy nie wolno ujawnić, są sposoby przyrządzania mieszanki, odbywanie podróży i powrotu; wszelkie inne kwestie dotyczące dymu są nieistotne.

8.

Ostatnie moje spotkanie z Mescalito trwało cztery dni z rzędu. Don Juan nazwał tę długą sesję *mitote.* Był to obrzęd pejotlowy z udziałem *peyoteros* i uczniów. Uczestniczyło w nim dwóch starszych mężczyzn – mniej więcej w wieku don Juana – z których jeden był mistrzem ceremonii, oraz pięciu młodszych, wśród nich ja.

Obrzęd odbył się w meksykańskim stanie Chihuahua, nieopodal granicy z Teksasem. Polegał na śpiewaniu i spożywaniu pejotlu w porze nocnej. W dzień natomiast kobiety, które przebywały poza miejscem, gdzie odbywał się obrzęd, przynosiły każdemu z mężczyzn trochę wody oraz symboliczną ilość rytualnego jadła.

Sobota, 12 września 1964

Podczas pierwszej nocy obrzędu, w czwartek, 3 września, spożyłem osiem gałek pejotlu. Nie wywołały one u mnie żadnego skutku, albo jedynie minimalny. Przez prawie całą noc miałem oczy zamknięte, bo tak czułem się dużo lepiej. Nie usnąłem ani nie odczuwałem zmęczenia. Pod sam koniec tej sesji śpiewy stały się nadzwyczaj piękne. Przez krótką chwilę poczułem zachwyt i chciało mi się płakać, kiedy jednak pieśń dobiegła końca, owo doznanie zniknęło.

Podnieśliśmy się wszyscy z ziemi i wyszliśmy na zewnątrz. Kobiety dały nam wody. ^Niektórzy mężczyźni przepłukali nią usta, inni połknęli kilka łyków. Mężczyźni cały czas zachowywali milczenie, kobiety natomiast trajkotały i chichotały od rana do nocy. Rytualny posiłek podawano w południe – była nim gotowana kukurydza.

W piątek, 4 września, o zachodzie słońca, rozpoczęła się druga tura. Mistrz ceremonii odśpiewał swą pieśń do pejotlu, po czym zaczął się znowu cykl śpiewania pieśni i przyjmowania gałek pejotlu. Zakończył się rankiem, kiedy każdy z mężczyzn odśpiewał własną pieśń wespół z pozostałymi uczestnikami.

Wyszedłszy na zewnątrz, spostrzegłem, że jest mniej kobiet niż poprzedniego dnia. Któraś z nich podała mi wodę, ale zewnętrzne otoczenie przestało mnie interesować. Spożyłem kolejne osiem gałek, ale skutek ich działania był już inny.

Gdzieś pod koniec tej tury tempo śpiewania znacznie wzrosło, a wszyscy śpiewaliśmy jednocześnie. Spostrzegłem, że coś lub ktoś spoza domu chce dostać się do środka. Nie umiałem określić, czy śpiew ma na celu uniemożliwienie temu “czemuś" wtargnięcie do wewnątrz, czy też zwabienie go do środka.

Tylko ja jeden nie miałem własnej pieśni. Pozostali mężczyźni – zwłaszcza młodzi – przyglądali mi się badawczo. Wskutek rosnącego zakłopotania zamknąłem oczy.

Uprzytomniłem sobie wówczas, że postrzegam o wiele lepiej wszystko, co się dzieje, kiedy mam oczy zamknięte. Skupiłem na tym całą mą uwagę. Zamknąwszy oczy, ujrzałem siedzących przede mną mężczyzn; gdy je otwarłem, obraz nie uległ żadnej zmianie. Bez względu na to, czy miałem oczy zamknięte, czy otwarte, otoczenie przedstawiało mi się dokładnie tak samo.

Wtem wszystko zniknęło czy też rozpadło się na kawałeczki, a pojawiła się podobna do człowieka postać Mescalito, którego widziałem przed dwoma laty. Siedział w pewnej odległości ode mnie, odwrócony profilem w moją stronę. Utkwiłem w nim wzrok, ale nie spojrzał na mnie, ani razu nie odwrócił się do mnie.

Uznałem, że coś źle robię i to przeszkadza mu zbliżyć się do mnie. Wstałem i ruszyłem ku niemu, by go o to zapytać. Ruch spowodował jednak, że obraz zaczął tracić ostrość, a na pierwszy plan wysunęły się postacie mężczyzn, wśród których się znajdowałem. Ponownie usłyszałem głośne i zapamiętałe śpiewy.

Wszedłem pomiędzy okoliczne zarośla i wałęsałem się po nich dłuższą chwilę. Wszystko było doskonale widoczne. Zorientowałem się, że widzę w ciemności, ale mało

mnie to obeszło. Ważne było tylko jedno: dlaczego Mescalito mnie unika?

Wracałem już do grupy i miałem właśnie wejść do budynku, gdy usłyszałem głośny pomruk i poczułem, że ziemia pode mną zadrżała. Ten sam dźwięk usłyszałem przed dwoma laty w dolinie

pejotlowej.

Wbiegłem powtórnie w zarośla. Wiedziałem, że jest tam Mescalito i że go tam odnajdę. Ale nie odnalazłem. Czekałem aż do rana i dołączyłem do reszty tuż przed zakończeniem tury.

Ta sama ceremonia powtórzyła się trzeciego dnia. Mimo że nie czułem się zmęczony, przespałem całe popołudnie.

W sobotę, 5 września, starzec odśpiewał swą pieśń pejotlu, rozpoczynając w ten sposób cały cykl od nowa. W trakcie tej tury zżułem tylko jedną gałkę i nie przysłuchiwałem się żadnej pieśni, na nic też, co działo się wokół, nie zwracałem uwagi. Od samego początku całe moje jestestwo skupiło się na jednym – wiedziałem, że brak mi czegoś, co jest strasznie ważne dla mego dobrego samopoczucia. Podczas gdy mężczyźni śpiewali, poprosiłem Mescalito – pełnym głosem – żeby nauczył mnie pieśni. Moja próba zlała się w jedno z głośnym śpiewem mężczyzn. Natychmiast w moich ustach rozległa się pieśń. Odwróciwszy się plecami do grupy, słuchałem. Słowa i melodia powracały wielokrotnie, a ja powtarzałem je tak długo, aż nauczyłem się całej pieśni. Była to długa pieśń po hiszpańsku. Wówczas zaśpiewałem ją kilka razy grupie. Już wkrótce zabrzmiała w mych uszach druga pieśń. Nim wstał ranek, zdążyłem odśpiewać obie pieśni nieskończenie wiele razy. Czułem się jak nowo narodzony, pełen sił.

Gdyśmy otrzymali wodę, don Juan dał mi worek i wszyscy wyruszyliśmy w góry. Odbywszy długą i uciążliwą wędrówkę, dotarliśmy do płytkiej kotliny, gdzie ujrzałem kilka okazów pejotlu. Jakoś jednak nie miałem ochoty się im przyglądać. Razem z don Juanem wyruszyłem w drogę powrotną, zbierając gałki pejotlu, podobnie jak czyniliśmy to, kiedy pomagałem mu po raz pierwszy.

Wróciliśmy, w niedzielę, 6 września, późnym popołudniem. Wieczorem mistrz ceremonii wznowił obrzęd. Nikt nie odezwał się słówkiem, ale wiedziałem doskonale, że to nasze ostatnie zgromadzenie. Tym razem starzec zaśpiewał swą pieśń. Torba ze świeżymi gałkami pejotlu krążyła z rąk do rąk. Wówczas to skosztowałem po raz pierwszy świeżej gałki. Była mięsista, ale trudna do zżucia. Przypominała twardy, zielony owoc i była ostrzejsza i bardziej gorzka w smaku niż gałki suszone. Osobiście odnosiłem wrażenie, że świeży pejotl o wiele bardziej tryska życiem.

Zżułem czternaście gałek: policzyłem starannie. Ostatniej nie skończyłem, bo usłyszałem znajomy głuchy łoskot zwiastujący nadejście Mescalito. Wszyscy śpiewali w zapamiętaniu; wiedziałem jednak, że don Juan i cała reszta usłyszeli hałas. Oddaliłem od siebie myśl, że ich reakcja stanowiła odpowiedź na sygnał dany przez któregoś z nich, po to tylko, by mnie wprowadzić w błąd.

W tejże chwili poczułem wzbierający we mnie przypływ mądrości. To, czego domyślałem się przez trzy lata, zmieniło się teraz w pewność. Trzeba było trzech lat, bym sobie uświadomił, a raczej bym się przekonał, że bez względu na to, co zawiera kaktus *Lophophora williamsii,* w niczym nie jestem temu czemuś potrzebny, by mogło zaistnieć jako istota – istnieje samo przez się, poza mną, całkiem niezależnie. Teraz już to wiedziałem.

Śpiewałem podekscytowany, aż w końcu zaczął mi się plątać język. Miałem wrażenie, że moje pieśni przeniknęły w głąb mojego ciała, wywołując dygotanie, nad którym nie mogłem zapanować. Zapragnąłem wyjść na zewnątrz i odnaleźć Mescalito, gdyż inaczej eksploduję. Zmierzałem w stronę pola, na którym rósł pejotl, cały czas nie przestając śpiewać. Wiedziałem, że te pieśni są wyłącznie moją własnością, stanowią niezbity dowód mej niepowtarzalności. Chłonąłem zmysłami każdy swój krok niosący się echem po ziemi i wywołujący nie dającą się opisać euforię, płynącą z tego, że jest się człowiekiem.

Każda z roślin na polu pejotlowym płonęła błękitnawym iskrzącym się światłem, jedna – szczególnie jasnym. Usiadłem przed nią i śpiewałem jej moje pieśni. A kiedy śpiewałem, wyszedł z niej Mescalito w tej samej ludzkiej postaci, którą widziałem wcześniej. Spojrzał na mnie. Zdobyłem się na wielką śmiałość jak na człowieka z moją naturą i zaśpiewałem dla Mescalito. Rozległ się dźwięk fletów, a może wiatru, znane mi melodyjne wibracje. Wydawało mi się, że tak jak przed dwoma laty zapytał: “Czego pragniesz?"

Przemówiłem głośno i wyraźnie. Stwierdziłem, że wiem, iż coś jest nie tak z moim życiem i moimi uczynkami, ale nie wiem co. Błagałem go, żeby mi powiedział, co u mnie szwankuje, żeby zdradził mi swoje imię, bym mógł go wezwać, ilekroć będę w potrzebie. Spojrzał na mnie, usta wydłużyły mu się niczym trąbka sięgająca aż do mego ucha i wówczas wyjawił mi swoje imię.

Raptem ujrzałem własnego ojca stojącego pośrodku pejotlowego pola; ale samo pole zniknęło i oto znalazłem się w swym dawnym domu, domu mego dzieciństwa. Staliśmy z ojcem przy figowcu. Objąłem go i zacząłem pospiesznie mówić mu to, czego nie byłem zdolny powiedzieć nigdy przedtem.

Każda moja myśl była zwięzła i trafiała w sedno. Było tak, jakbyśmy naprawdę nie mieli już czasu, a ja musiałem powiedzieć wszystko naraz. Niezgrabnie mówiłem mu o uczuciach, jakie do niego żywię; mówiłem rzeczy, które w normalnych warunkach nigdy nie przeszłyby mi przez gardło.

Mój ojciec nie odezwał się. Wysłuchał mnie, po czym zniknął, jak gdyby odciągnięty lub zdmuchnięty. Znowu zostałem sam. Wyrzuty sumienia i smutek sprawiły, że się rozpłakałem.

Wędrowałem pejotlowym polem, wołając imię, którego nauczył mnie Mescalito. Z dziwnego, podobnego do gwiazdy światła pejotlu coś się wyłoniło. Był to długi, lśniący przedmiot – snop światła wielkości człowieka. Przez chwilę oblewał on całe pole intensywnie żółtawym czy bursztynowym blaskiem. Pomyślałem, że oślepnę, jeśli będę nadal patrzył, zasłoniłem więc oczy i ukryłem twarz w dłoniach.

Uświadomiłem sobie wyraźnie, że Mescalito nakazuje mi, bym zjadł jeszcze jedną gałkę pejotlu. Pomyślałem: Nie mogę tego uczynić, bo nie mam noża, którym bym ją odciął.

– Zjedz gałkę podniesioną z ziemi – odpowiedział mi na to w ten sam dziwny sposób.

Położyłem się na brzuchu i zżułem czubek rośliny. Rozogniłem się. W każdym zakątku ciała odczułem ciepło: byłem absolutnie rozluźniony. Wszystko nabrało życia, ujawniło niesłychaną zawiłość szczegółów, a mimo to przeniknięte było ogromną prostotą. Byłem wszędzie – mój wzrok sięgał jednocześnie w górę, w dół i wokoło.

Ten osobliwy stan uczuciowy trwał dostatecznie długo, bym sobie go uprzytomnił. A potem ustąpił miejsca udręce przerażenia, które nie ogarnęło mnie znienacka, lecz jednak szybko. Początkowo moim światem przepełnionym cudowną ciszą wstrząsnęły dokuczliwe hałaśliwe dźwięki, czym się jednak nie przejąłem. Dźwięki te nabrały następnie mocy i zalały mnie nieprzerwanym potokiem. I tak stopniowo utraciłem wrażenie, że unoszę się w świecie niezróżnicowanego i obojętnego piękna. Hałas zaczął przypominać odgłosy jakby stąpania olbrzyma. Coś ogromnego posapywało i krążyło wokół mnie. Wydawało mi się, że na mnie poluje.

Uciekłem i schowałem się za głazem, starając się stamtąd zorientować, co mnie ściga. W pewnej chwili wyczołgałem się z mego schowka, aby się rozejrzeć, i wówczas mój prześladowca – czymkolwiek był – mnie dopadł. Miałem wrażenie, że zaplątałem się w morskie wodorosty. Sądziłem, że ciężar, który na mnie spadł, zmiażdży mnie, ale znalazłem się w środku jakiejś rury czy jamy. Widziałem wyraźnie, że wodorosty nie pokryły całej powierzchni wokół mnie – pod samym głazem pozostał skrawek wolnej ziemi. Zacząłem wczołgiwać się pod skałę. Ujrzałem ogromne krople płynu ściekające z wodorostów. “Wiedziałem", że to kwas trawienny, który wydzielają, żebym się w nim rozpuścił. Kropla spadła mi na ręce. Usiłowałem zetrzeć kwas ziemią i śliną, cały czas nie przestając kopać. W pewnym momencie niemal zamieniłem się w mgłę. Coś popychało mnie cały czas ku jakiemuś światłu. Wydawało mi się, że wodorostom udało się mnie rozpuścić. Niewyraźnie dostrzegłem coraz jaśniej świecące światło, które tak długo przebijało się spod ziemi, aż wreszcie wybuchnęło kaskadą blasku – w nim rozpoznałem wychodzące zza gór słońce.

Powoli moje zdolności percepcyjne wróciły do normy. Leżałem na brzuchu, wspierając podbródek na zgiętym ramieniu. Pejotl przede mną zaczął ponownie nabierać blasku i nim zdołałem poruszyć oczami, powtórnie wyłonił się snop światła. Krążył nade mną. Usiadłem. Spłynęła z niego na moje ciało łagodna siła, później zaś snop światła zniknął mi z oczu.

Całą drogę do miejsca, gdzie znajdowali się pozostali mężczyźni, przemierzyłem biegiem. Wróciliśmy wszyscy do miasteczka. Razem z don Juanem spędziłem jeszcze dzień u don Roberto, mistrza ceremonii. Cały ten czas przespałem. W chwili gdy mieliśmy odjeżdżać, zbliżyli się do mnie młodzi uczestnicy obrzędu. Kolejno brali mnie w objęcia, śmiejąc się wstydliwie. Każdy z nich przedstawił się. Przez kilka godzin rozmawiałem z nimi o wszystkim oprócz ceremonii pejotlowej.

Don Juan stwierdził, że pora jechać. Młodzi mężczyźni ponownie mnie uścisnęli. “Przyjedź znowu" – powiedział któryś. “Już teraz czekam na ciebie" – dodał inny. Odjeżdżałem powoli, usiłując dojrzeć starszyznę, ale nie było nikogo.

Czwartek, 10 września 1964

Chcąc zdać relację z moich przeżyć don Juanowi, musiałem zawsze odtwarzać je krok po kroku, najlepiej jak tylko umiałem. Wydawało mi się, że to jedyny sposób, by sobie przypomnieć każdy szczegół.

Dziś opowiedziałem mu szczegółowo o ostatnim spotkaniu z Mescalito. Przysłuchiwał się uważnie mojej opowieści, aż do momentu, kiedy Mescalito wyjawił mi swoje imię. W tym miejscu don Juan

przerwał mi.

– Już się usamodzielniłeś – stwierdził. – Obrońca cię zaakceptował. Odtąd moja pomoc nie będzie ci właściwie potrzebna. Nie musisz już zdawać dalszych relacji o waszych kontaktach. Znasz już jego imię i nie powinieneś go wymieniać żadnej żywej istocie ani wspominać o tym, jak cię traktuje.

Upierałem się, żeby mu opowiedzieć szczegółowo o mych doznaniach, bo ich sens zupełnie mi się wymykał. Stwierdziłem, że potrzebna mi jest jego pomoc w interpretacji tego, co widziałem. Odpowiedział, że poradzę sobie sam i że będzie lepiej, jeśli zacznę myśleć samodzielnie. Odparłem wówczas, że zależy mi na zapoznaniu się z jego opinią, ponieważ wyrobienie sobie własnego zdania zajęłoby mi zbyt wiele czasu; nie wiedziałem zresztą, jak się do tego zabrać.

– Choćby te pieśni – powiedziałem – o co w nich chodzi?

– To zależy wyłącznie od ciebie – odpowiedział.

– Skąd mam znać odpowiedź na to pytanie? Może ci jej udzielić jedynie obrońca, podobnie jak jedynie on może nauczyć cię swych pieśni. Gdybym to ja miał ci powiedzieć, o co w nich chodzi, równałoby się to temu, że nauczyłbyś się nie swoich pieśni.

– Co chcesz przez to powiedzieć, don Juanie?

– Nie da się inaczej stwierdzić, kto jest symulantem, jak tylko przysłuchując się pieśniom obrońcy śpiewanym przez ludzi. Prawdziwe jego pieśni mają duszę, on także jest ich nauczycielem. Pozostałe pieśni są tylko naśladowaniem innych. Ludzie potrafią niekiedy posuwać się do takich oszustw. Śpiewają nie swoje pieśni, nie wiedząc nawet, o czym one mówią.

Oznajmiłem, że chcę się tylko dowiedzieć, w jakim celu korzysta się z pieśni. Odpowiedział, że te, których się nauczyłem, służą do wezwania obrońcy, dlatego też należy w nich zawsze umieścić jego imię. W przyszłości Mescalito nauczy mnie prawdopodobnie innych pieśni, służących innym celom, oznajmił don Juan.

Spytałem go wówczas, czy uważa, że obrońca zaakceptował mnie w pełni. Roześmiał się, jak gdybym zadał głupie pytanie. Odpowiedział, że obrońca zaakceptował mnie i dołożył starań, bym się o tym dowiedział, a mianowicie ukazał mi się dwukrotnie pod postacią światła. Don Juan sprawiał wrażenie bardzo przejętego tym, że widziałem światło dwa razy. Podkreślił mocno ten element mego spotkania z Mescalito.

Odrzekłem, że nie potrafię zrozumieć, jak można pogodzić akceptację ze strony obrońcy z tym, że jednocześnie wywołuje on w człowieku śmiertelne przerażenie.

Don Juan bardzo długo nie odpowiadał. Wyglądał na mocno rozgniewanego. Wreszcie przemówił:

– To przecież takie jasne. To takie jasne, czego on pragnął, i nie pojmuję, dlaczego nie możesz tego zrozumieć.

– Wszystko jest dla mnie wciąż niezrozumiałe, don Juanie.

– Bo też trzeba czasu, nim się zrozumie, o co chodzi Mescalito. Powinieneś tak długo rozmyślać o lekcji, jakiej ci udzielił, aż stanie się jasne.

Piątek, 11 września 1964

Ponownie usiłowałem nakłonić don Juana, by dokonał interpretacji moich wizji. Jakiś czas się ociągał, po czym przemówił do mnie, jakbyśmy od dawna już prowadzili rozmowę o Mescalito.

– Czy rozumiesz, jakie to głupie pytać, czy jest on osobą, z którą można rozmawiać? – spytał don Juan. – Różni się od wszystkiego, co widziałeś w życiu. Podobny jest do człowieka, zarazem jednak w niczym go nie przypomina. Trudno to wytłumaczyć ludziom, którzy o nim nic nie wiedzą, a chcą się o nim od razu dowiedzieć wszystkiego. Lekcje zaś, jakich udziela, są równie zagadkowe jak on sam. O ile wiem, nie istnieje człowiek, który mógłby przewidzieć jego zachowanie. Zadajesz mu pytanie, a on wskazuje ci drogę, ale nie mówi ci tego w ten sam sposób, w jaki my rozmawiamy ze sobą. Czy teraz rozumiesz?

– Sądzę, że zrozumienie tego nie sprawia mi kłopotu. Sęk w tym, że nie potrafię rozwikłać, o co mu chodzi.

– Prosiłeś go, żeby ci powiedział, co jest z tobą nie w porządku, i dał ci wyczerpującą odpowiedź. O pomyłce nie może być mowy! Nie możesz twierdzić, że nie zrozumiałeś. To nie była rozmowa – a jednak była. Następnie zadałeś mu kolejne pytanie, a on odpowiedział ci dokładnie w ten sam sposób. Co się tyczy znaczenia, nie wiem na pewno, czyje rozumiem, boś mi przecież nie powiedział, jakie

zadałeś pytanie.

Z dużą starannością powtórzyłem pytania, które sobie przypomniałem, przytaczając je w kolejności zadawania: Czy robię to, co należy? Czy kroczę właściwą ścieżką? Co powinienem począć ze swoim życiem?

Don Juan skwitował moje pytania stwierdzeniem, że to tylko słowa; lepiej było nie wypowiadać ich na głos, tylko zadać je w myślach. Oświadczył, że protektor zamierzał udzielić mi lekcji, a na dowód, że taki był właśnie jego zamiar i że wcale nie chciał mnie odstraszyć, ukazał mi się dwukrotnie pod postacią światła.

Odparłem, że nadal nie rozumiem, dlaczego Mescalito tak mnie przeraził, skoro mnie zaakceptował. Przypomniałem don Juanowi, że sam twierdził, iż jeśli Mescalito kogoś zaakceptuje, ukazuje mu się w tej samej postaci, a nie przeistacza się z czegoś zachwycającego w koszmar. Don Juan znów się roześmiał i powiedział, że gdybym zastanowił się nad pytaniem, które nosiłem w sercu podczas rozmowy z Mescalito, sam bym zrozumiał udzieloną mi lekcję.

Zastanawiać się nad pytaniem, które nosiłem w sercu, było nie lada problemem. Powiedziałem don Juanowi, że myślałem o wielu rzeczach. Gdy pytałem, czy kroczę właściwą ścieżką, miałem na myśli to, czy stoję jedną nogą w każdym z obu światów. Który świat jest właściwy? Jaki kierunek powinno obrać moje życie?

Don Juan, przysłuchawszy się moim wyjaśnieniom, doszedł do wniosku, że nie mam jasno wyrobionego poglądu na świat, a protektor udzielił mi zachwycająco jasnej lekcji.

– Wydaje ci się – powiedział – że masz przed sobą dwa światy, dwie ścieżki, tymczasem istnieje tylko jedna. Protektor ukazał ci to w sposób niesamowicie wyraźny. Jedynym dostępnym dla ciebie światem jest świat ludzi i pod tym względem nie masz możliwości wyboru. Jesteś człowiekiem! Protektor ukazał ci świat szczęśliwości, w którym nie istnieją różnice, bo nie ma nikogo, kto by o nie zapytał. Ale to nie jest świat ludzi. Obrońca wytrząsnął cię z niego, pokazując ludzki sposób myślenia i walki. Oto świat człowieka! Być człowiekiem to znaczy być na ten świat skazanym. Jesteś dostatecznie pyszny, by uważać, że żyjesz w obu światach, ale to tylko wyraz twojej pychy. Mamy do dyspozycji tylko jeden świat. Jesteśmy ludźmi i musimy zadowolić się światem ludzkim. Sądzę, że na tym polegała twoja lekcja.

9.

Wydawało się, że don Juan pragnie, bym poświęcił czarciemu zielu możliwie jak najwięcej pracy. Pragnienia tego nie dało się pogodzić z jego rzekomą niechęcią do mocy. Tłumaczył się tym, iż zbliża się pora, kiedy będę ponownie musiał zapalić mieszankę, do tego zaś czasu powinienem lepiej poznać moc czarciego ziela.

Wielokrotnie dawał mi do zrozumienia, że powinienem wypróbować czarcie ziele, korzystając przynajmniej jeszcze raz z magii jaszczurek. Długo się nad tym zastanawiałem.

Nalegania don Juana przybrały drastycznie na sile, aż wreszcie poczułem się zmuszony spełnić jego żądanie. Pewnego dnia postanowiłem dowiedzieć się za pomocą czarów, co się stało z pewnymi skradzionymi przedmiotami.

Poniedziałek, 28 grudnia 1964

W sobotę, 19 grudnia, ściąłem korzeń czarciego ziela. Zaczekałem, aż całkiem się ściemni i wykonałem taniec wokół rośliny. Nocą sporządziłem wywar z korzenia, a w niedzielę około szóstej rano udałem się do miejsca, gdzie rósł mój okaz czarciego ziela. Usiadłem przed rośliną. Zanotowałem skrupulatnie wskazówki don Juana dotyczące sposobu postępowania. Odczytawszy ponownie moje notatki, przekonałem się, że nie muszę tam ucierać nasion. Wystarczyło, że usiadłem przed tą rośliną, a już dostąpiłem stanu, jaki zwykle był dla mnie nieosiągalny: harmonii uczuciowej, jasności myśli i zdolności skoncentrowania się na czynach.

Trzymając się ściśle wskazówek, obliczyłem czas w ten sposób, że papka i korzeń były gotowe przed wieczorem. Około piątej po południu zacząłem się uganiać za parą jaszczurek. Przez półtorej godziny imałem się wszystkich możliwych sposobów, ale wszelkie próby spełzły na niczym.

Siedziałem przed czarcim zielem, usiłując wykombinować jakiś skuteczny sposób osiągnięcia celu, gdy nagle przypomniałem sobie, że don Juan powiedział, iż do jaszczurek trzeba przemówić. Początkowo perorowanie do jaszczurek wydało mi się groteskowe; czułem się tak samo zażenowany, jakbym przemawiał do publiczności. Wkrótce jednak wrażenie owo ustąpiło, a ja mówiłem dalej. Było prawie całkiem ciemno. Podniosłem kamień. Pod spodem była jaszczurka. Sprawiała wrażenie odrętwiałej. Podniosłem ją. Wówczas ujrzałem, że pod innym kamieniem znajduje się następna zesztywniała jaszczurka. Żadna nawet nie drgnęła.

Najtrudniejsze było zszywanie pyszczka i powiek. Dostrzegłem u siebie poczucie nieodwracalności własnych czynów, które zaszczepił mi don Juan. Uważał on, że jeśli człowiek przystępuje do działania, nie może się zatrzymać. Gdybym jednak chciał się zatrzymać, nic nie stało na przeszkodzie. Może nie chciałem się zatrzymać.

Wypuściłem jedną jaszczurkę, która pobiegła w kierunku północno-wschodnim, co wróżyło pozytywne choć trudne doświadczenie. Drugą jaszczurkę przywiązałem do barku i nasmarowałem skronie zgodnie z zaleceniami. Ciało jaszczurki było nadal sztywne; przez chwilę sądziłem, że nie żyje, don Juan zaś nie mówił mi nigdy, co trzeba robić w takim wypadku. Jaszczurka jednak była tylko odrętwiała.

Wypiłem płyn i czekałem. Nie odczuwałem nic szczególnego. Zacząłem wcierać papkę w skronie. Wykonałem tę czynność dwadzieścia pięć razy. Następnie w sposób całkowicie machinalny, jakby w roztargnieniu, rozsmarowałem papkę po całym czole. Spostrzegłem mój błąd, pospiesznie ją starłem. Czoło zalał mi pot; zacząłem dygotać w gorączce. Ogarnęło mnie straszne przerażenie, bo don Juan przestrzegał mnie zawsze, abym nie wcierał papki w czoło. Lęk ustąpił miejsca uczuciu całkowitego osamotnienia i bezsilności w obliczu sądzonej mi zguby. Byłem zupełnie sam. Gdyby miało mi się przytrafić coś złego, nie było nikogo, kto by mi pomógł. Chciałem stamtąd uciec. Moją panikę wzbudziło poczucie braku zdecydowania; nie wiedziałem, co robić. W głowie kłębiły mi się tysiące myśli przelatujących z niesamowitą prędkością. Zauważyłem, że są to myśli dość dziwne, w tym sensie, że zdają się napływać w sposób odmienny od zwyczajnych. Sposób, w jaki myślę, jest mi dobrze znany. Moje myśli układają się w pewien określony porządek, od którego odejście daje się zauważyć.

Jedna z owych obcych myśli dotyczyła wypowiedzi pewnego pisarza. Przypominam sobie mgliście, że myśl ta podobna była bardziej do głosu lub jakichś słów wypowiedzianych na dalszym planie.

Prędkość, z jaką się to odbyło, zaskoczyła mnie. Chciałem się nad nią zastanowić, ale przybrała postać zwykłej myśli. Byłem przekonany, że czytałem tę wypowiedź, ale nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska autora. Nagle przypomniałem sobie, że chodzi o Alfreda Kroebera. Wówczas wystrzeliła następna nie moja myśl, która "oznajmiła", że autorem tej wypowiedzi nie był Kroeber tylko Georg Simmel. Upierałem się przy Kroeberze i nim zdążyłem się zorientować, prowadziłem już wewnętrzny spór z samym sobą. Zapomniałem przy tym zupełnie o sądzonej mi zgubie.

Powieki ciążyły mi, jakbym zażył tabletki nasenne. Takie porównanie przyszło mi do głowy, choć nigdy w życiu nie zażywałem środków nasennych. Zasypiałem. Chciałem dowlec się do mojego auta i wczołgać do środka, ale nie zdołałem się ruszyć.

A potem, całkiem niespodziewanie, obudziłem się, a właściwie wyraźnie odniosłem takie wrażenie. Pierwsza moja myśl dotyczyła pory dnia. Rozejrzałem się. Przede mną nie było okazu czarciego ziela. To, że przeżywam kolejny akt jasnowidzenia, przyjąłem obojętnie. Zegar nad moją głową wskazywał godzinę 12^{35}. Wiedziałem, że jest popołudnie.

Ujrzałem młodego człowieka niosącego stos papierów. Mogłem go niemal dotknąć. Przyglądałem się tętniącym na jego karku żyłom i słyszałem szybkie uderzenia jego serca. To, co widziałem, zupełnie mnie pochłonęło; do tego tez momentu nie zdawałem sobie sprawy z rodzaju nawiedzających mnie myśli. Następnie usłyszałem w uszach "głos" opisujący oglądaną przeze mnie scenę i uświadomiłem sobie wówczas, że ów "głos" jest obcą myślą krążącą w mym umyśle.

Wsłuchiwanie się weń tak bardzo mnie pochłonęło, że wizualny aspekt sceny przestał mnie interesować. Głos rozległ się w moim prawym uchu. Kreował on scenę poprzez opis. Był jednak posłuszny mej woli, gdyż mogłem go zatrzymać w dowolnym momencie i zbadać szczegółowo jego relację, jeślibym tego zapragnął. Śledziłem "wzrokosłuchem" cały przebieg działań młodego człowieka. Głos objaśniał je dalej w najdrobniejszych szczegółach, ale działania te były poniekąd nieistotne.

Ów głosik to było coś nadzwyczajnego. Trzykrotnie usiłowałem się obejrzeć za siebie, żeby zobaczyć, kto do mnie mówi. Usiłowałem przekręcić głowę możliwie jak najdalej na prawo lub odwrócić się znienacka jednym błyskawicznym ruchem, by się przekonać, czy ktoś stoi za mną. Jednak za każdym razem mój wzrok tracił na ostrości. Pomyślałem: Nie mogę się obejrzeć za siebie, bo cala scena nie rozgrywa się w sferze zwykłej rzeczywistości. Myśl ta była z pewnością moja.

Od tamtego momentu całą uwagę skupiłem na głosie. Wydawało się, że dochodzi zza mego ramienia. Był idealnie wyraźny, choć niepozorny. Nie był to jednak głos dziecka ani falset, lecz głos malutkiego człowieczka. Nie był to również mój głos. Zdawało mi się, że mówi po angielsku. Ilekroć próbowałem go wytropić, milknął całkowicie albo stawał się niewyraźny, a scena zaczynała się rozpływać. Przyszło mi na myśl pewne porównanie: ów głos przypominał obraz, jaki wytwarzają na rzęsach cząsteczki pyłu bądź naczynia krwionośne w rogówce oka – taki obły kształt, który widzi się dopóty, dopóki nie patrzy się bezpośrednio na niego, ale w momencie, gdy spróbujemy mu się przyjrzeć, znika z pola widzenia wraz z ruchem gałki ocznej.

To, co działo się przed moimi oczyma, przestało mnie zupełnie interesować. W miarę jednak jak mu się przysłuchiwałem, głos stawał się coraz bardziej złożony. To, co uważałem za głos, przypominało bardziej szeptane mi do ucha myśli, choć to też określenie nieścisłe. Coś myślało za mnie. Owe myśli napływały spoza mnie. Byłem o tym przekonany, ponieważ mogłem uchwycić własne myśli, a zarazem myśli tego "drugiego".

W pewnej chwili głos zaczął kreować sceny, których wykonawcą był ów młody człowiek, a które nie miały nic wspólnego z mym początkowym pytaniem, dotyczącym zaginionych przedmiotów. Młodzieniec wykonywał niezwykle złożone czynności. Nabrały one ponownie wielkiego znaczenia i przestałem zwracać uwagę na głos. Zacząłem tracić cierpliwość; chciałem to przerwać. W jaki sposób mógłbym to skończyć? – pomyślałem. Głos w uchu podpowiedział mi, że powinienem wrócić do wąwozu. Spytałem, jak mam to uczynić, a glos odpowiedział, żebym pomyślał o roślinie.

Pomyślałem. Zazwyczaj siadałem przed nią. Czyniłem to tyle razy, że z łatwością mogłem to sobie wyobrazić. Uznałem, że jej obraz, który wówczas ujrzałem, jest jeszcze jednym przywidzeniem, ale głos oznajmił, że "wróciłem"! Nasłuchiwałem całym sobą. Panowała absolutna cisza. Rosnący przede mną bieluń wydawał się równie rzeczywisty jak wszystko inne, co widziałem, ale mogłem go dotknąć, mogłem obejść go wokół.

Wstałem i udałem się w kierunku auta. Związany z tym wysiłek wyczerpał mnie, toteż usiadłem i zamknąłem oczy. Odczułem zawroty głowy; chciało mi się wymiotować. Uszy wypełniło mi brzęczenie.

Coś ześlizgnęło się po mojej piersi. Była to jaszczurka. Przypomniałem sobie napomnienie don Juana dotyczące jej uwolnienia. Wróciłem do bielunia i odwiązałem jaszczurkę. Nie chciałem sprawdzać, czy jest martwa, czy żywa.

Roztrzaskałem gliniany garnek z papką i przysypałem go ziemią. Wszedłem do samochodu i usnąłem.

Czwartek, 24 grudnia 1964

Dziś opowiedziałem don Juanowi o wszystkich moich przeżyciach. Jak zwykle słuchał, nie przerywając. Na koniec wywiązała się między nami następująca rozmowa.

– Zrobiłeś coś bardzo złego.

– Wiem. To była idiotyczna pomyłka, wypadek.

– W kontaktach z czarcim zielem nie ma żadnych przypadków. Powiedziałem ci, że przez cały czas będzie cię sprawdzało. Według mnie są tylko dwie możliwości: albo jesteś bardzo silny, albo ta roślina rzeczywiście cię polubiła. Środek czoła jest tylko dla wielkich *brujos,* którzy wiedzą, jak sobie radzić z jej mocą.

– A co się zwykle dzieje z człowiekiem, który natrze sobie czoło tą papką, don Juanie?

– Jeśli nie jest on wielkim *brujo,* nigdy nie wróci z podróży.

– A ty natarłeś sobie kiedyś czoło, don Juanie?

– Nigdy! Mój dobroczyńca powiedział mi, że tylko bardzo nieliczni wracają z takiej podróży. Człowiek może zniknąć na długie miesiące i muszą się nim zająć inni ludzie. Dobroczyńca powiedział mi, że jaszczurki mogą zaprowadzić człowieka na krawędź świata i pokazać mu, jeśli będzie sobie tego życzył, najwspanialsze tajemnice.

– Czy znasz kogoś, kto odbył kiedyś taką podróż?

– Owszem, mego dobroczyńcę. Ale on nigdy mnie nie nauczył, jak wrócić.

– Czy to takie trudne?

– Bardzo trudne. Właśnie dlatego twój wyczyn tak mnie zdumiewa. Nie wiedziałeś, jakie trzeba wykonać kroki, a pewne kroki musimy wykonywać, bo to z nich człowiek czerpie siłę. Bez nich jesteśmy niczym.

Zamilkliśmy na długie godziny. Don Juan sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim zamyśleniu.

Sobota, 26 grudnia 1964

Don Juan spytał mnie, czy szukałem jaszczurek. Odpowiedziałem, że szukałem, ale nie mogłem ich znaleźć. Spytałem go, co by się stało, gdyby jedna z nich zdechła w czasie, gdy ją trzymałem w ręce. Odpowiedział, że śmierć jaszczurki byłaby zdarzeniem niepomyślnym. Jeśli w którymś momencie zdechłaby jaszczurka z zaszytym pyszczkiem, dalsze odprawianie czarów nie miałoby sensu. Oznaczałoby to również, że przestały się ze mną przyjaźnić, a ja na długo musiałbym zrezygnować z dalszej nauki o czarcim zielu.

– Na jak długo, don Juanie?

– Na dwa lata lub więcej.

– A co by było, gdyby skonała druga jaszczurka?

– Gdyby tak się stało, groziłoby ci wielkie niebezpieczeństwo. Byłbyś osamotniony, bez przewodnika. Gdyby zdechła, nim przystąpiłeś do czarów, mógłbyś je przerwać, ale gdybyś je przerwał, musiałbyś na dobre porzucić czarcie ziele. Gdyby jaszczurka zdechła na twym barku, już po rozpoczęciu czarów, musiałbyś odprawiać je dalej, a to byłoby istnym szaleństwem.

– Dlaczego byłoby to szaleństwem?

– Bo w takich okolicznościach wszystko traci sens. Pozbawiony przewodnika, osamotniony, ujrzałbyś przerażające i absurdalne rzeczy.

– Co rozumiesz przez “absurdalne rzeczy"?

– To, co widzimy sami z siebie. To, co widzimy, pozbawieni wszelkiej orientacji. Znaczy to, że czarcie ziele stara się ciebie pozbyć na tak długo, aż cię od siebie odepchnie.

– Znasz kogoś, kto tego doświadczył?

– Owszem. Ja tego doświadczyłem. Pozbawiony mądrości jaszczurek wpadłem w obłęd.

– I co widziałeś, don Juanie?

– Stek absurdów. Czy mogłoby być inaczej, skoro nie miałem przewodnika?

Poniedziałek, 28 grudnia 1964

– Powiedziałeś mi, don Juanie, że czarcie ziele wypróbowuje ludzi. Co miałeś na myśli?

– Czarcie ziele podobne jest do kobiety. Podobnie też jak kobieta przymila się mężczyznom. Na każdym kroku zastawia na nich pułapki. Uczyniło to wówczas, gdy zmusiło cię, abyś nasmarował papką swe czoło. Spróbuje uczynić to znowu, a ty prawdopodobnie dasz się nabrać. Przestrzegam cię przed tym. Nie okazuj tej roślinie namiętności; czarcie ziele to tylko jedna ze ścieżek prowadzących do tajemnic człowieka wiedzy. Istnieją inne. Jej pułapka polega na tym, żeby wyrobić w tobie przekonanie, że istnieje jedynie ścieżka czarciego ziela. Powtarzam, że nie ma sensu marnować życia na jednej ścieżce. Zwłaszcza jeśli ta ścieżka pozbawiona jest serca.

– Ale skąd mam wiedzieć, czy dana ścieżka ma serce, don Juanie?

– Nim na nią wkroczysz, zadaj sobie pytanie: Czy ta ścieżka ma serce? Jeśli odpowiedź będzie przecząca, przekonasz się o tym, wówczas zaś musisz poszukać innej ścieżki.

– Skąd jednak mogę mieć pewność, że ścieżka pozbawiona jest serca?

– To wie każdy. Problem w tym, że nikt nie zadaje tego pytania, a kiedy człowiek dochodzi wreszcie do przekonania, że ścieżka, jaką obrał, nie posiada serca, ona gotowa jest już pozbawić go życia. W takim momencie tylko bardzo nieliczni potrafią zatrzymać się, żeby się zastanowić i porzucić tę ścieżkę.

– Co mam robić, żeby zadać pytanie we właściwy sposób?

– Po prostu je zadaj.

– Chodzi mi o to, czy istnieje jakaś metoda, która pozwoliłaby mi uniknąć samookłamania i nie uznać odpowiedzi za twierdzącą, podczas gdy w istocie jest ona przecząca?

– Czemu mówisz o samookłamywaniu?

– Bo może w danej chwili ścieżka będzie przyjazna i miła.

– Bzdura. Ścieżka pozbawiona serca nigdy nie jest miła. Trzeba się bardzo napracować nawet, żeby ją obrać. Z drugiej strony jednak taka ścieżka jest łatwa i nie trzeba wiele zachodu, żeby ją polubić.

Don Juan zmienił nagle temat rozmowy i bezceremonialnie kazał mi się zastanowić, czy lubię czarcie ziele. Musiałem przyznać, że w każdym razie odczuwam do niego pewien pociąg. Zapytał wówczas, co sądzę o jego sprzymierzeńcu – dymie – a ja musiałem stwierdzić, że na samą myśl o nim ogarnia mnie śmiertelne przerażenie.

– Mówiłem ci, że koniecznym warunkiem wyboru ścieżki jest uwolnienie się od lęku i ambicji. Tymczasem dym zaślepia cię strachem, a czarcie ziele ambicją.

Odparłem, że człowiekowi potrzebna jest ambicja, choćby po to, żeby wstąpić na którąś ścieżkę, a twierdzenie, że trzeba uwolnić się od ambicji, nie ma sensu. Człowiek musi mieć ambicję, żeby się uczyć.

– Pragnienie uczenia się to nie ambicja – odpowiedział don Juan. – W nasz ludzki los wpisane jest pragnienie wiedzy, lecz rozbijanie się za czarcim zielem to sięganie po władzę, czyli ambicja, bo przecież nie chodzi nam o zdobycie wiedzy. Nie pozwól, żeby czarcie ziele cię zaślepiło. Ta roślina już cię przechytrzyła. Zwabia ludzi, obdarzając ich poczuciem wszechmocy; powoduje, że uważają, iż potrafią dokonać rzeczy, których zwykli ludzie nie umieją uczynić. Ale na tym właśnie polega jej pułapka. Po drugie zaś ścieżka pozbawiona serca obróci się przeciwko kroczącemu nią człowiekowi i go unicestwi. Niewiele trzeba, żeby umrzeć, a szukanie śmierci jest szukaniem niczego.

10.

W grudniu 1964 roku wyruszyliśmy z don Juanem na poszukiwanie różnych roślin potrzebnych do sporządzenia mieszanki do palenia. Był to czwarty cykl. Don Juan nadzorował tylko moje działania. Polecił mi, bym się nie spieszył, dobrze przyjrzał i zastanowił, nim zerwę któryś okaz. Zaraz po zgromadzeniu i zmagazynowaniu wszystkich składników polecił mi spotkać się ponownie z jego sprzymierzeńcem.

Czwartek, 31 grudnia 1964

– Skoro czegoś się już dowiedziałeś o czarcim zielu, a także o dymie, dostrzegasz wyraźniej, co ci bardziej odpowiada – powiedział don Juan.

– Dym wywołuje u mnie prawdziwe przerażenie. Nie wiem czemu, ale nie budzi on u mnie miłych uczuć.

– Lubisz pochlebstwa, a czarcie ziele ci się przypochlebia. Podobnie jak kobieta, sprawia, że czujesz się dobrze. Dym natomiast to potęga najbardziej dostojna – ma serce bez skazy. Nie zwabia ludzi ani nie zamienia ich w niewolników, nie kocha i nie nienawidzi. Wymaga tylko jednego – siły. Czarcie ziele też jej wymaga, ale jest to siła innego rodzaju, bliższa traktowaniu kobiet po męsku. Natomiast ta siła, której wymaga od nas dym, jest siłą serca. I tego ci brakuje! Ale brakuje jej prawie wszystkim ludziom. Dlatego też radzę ci, byś się nauczył jeszcze więcej o dymie. On wzmacnia serce. Różni się od czarciego ziela, które jest pełne namiętności, zazdrosne i gwałtowne. Dym jest stały. Nie musisz się martwić, ze o czymś po drodze zapomnisz.

Środa, 27 stycznia 1965

We wtorek, 19 stycznia, wypaliłem ponownie halucynogenną mieszankę. Oznajmiłem don Juanowi, że dym wzbudził we mnie ogromny niepokój i że się go boję. Odpowiedział, że powinienem spróbować go jeszcze raz i ocenić go sprawiedliwie.

Weszliśmy do izby don Juana. Była mniej więcej druga po południu. Don Juan wydobył fajkę. Przyniosłem węgielki i zasiedliśmy naprzeciwko siebie. Don Juan powiedział, że rozgrzeje i obudzi fajkę, jeśli zaś będę się uważnie przyglądał, zobaczę, jak się rozżarza. Przyłożył fajkę do ust trzy lub cztery razy i przedmuchał ją. Pocierał ją delikatnie. Nagle, niedostrzegalnym prawie skinięciem głowy, dał mi znak, bym zobaczył, jak się budzi. Wpatrywałem się, ale niczego nie zauważyłem.

Podał mi fajkę. Napełniłem główkę własną mieszanką i uchwyciłem rozżarzony węgielek w szczypce, które wykonałem specjalnie w tym celu z drewnianego kołka od bielizny. Na widok mych szczypczyków don Juan wybuchnął śmiechem. Zawahałem się na chwilę, a węgielek przywarł do szczypiec. Bałem się stuknąć nim o fajkę, musiałem więc napluć na węgielek, żeby go zgasić.

Don Juan, odwróciwszy ode mnie głowę, zasłonił twarz ramieniem. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Przez moment sądziłem, że płacze, ale on śmiał się bezgłośnie.

Operacja została na dłuższy czas przerwana, następnie zaś don Juan sam podniósł węgielek, włożył go do fajki i kazał mi się zaciągnąć. Pyknięcie z fajki kosztowało mnie nie lada wysiłek; mieszanka sprawiała wrażenie mocno ubitej. Już przy pierwszej próbie poznałem, że wciągnąłem w usta drobny proszek. Usta natychmiast mi zdrętwiały. Zobaczyłem, że lulka się żarzy, ale smak dymu różnił się zupełnie od smaku papierosów. Mimo to odniosłem wrażenie, że czymś się zaciągnąłem, czymś, co najpierw wypełniło mi płuca, a potem przedarło się w głąb ciała, wypełniając je bez reszty.

Naliczyłem dwadzieścia pociągnięć, później zaś liczenie nie miało już znaczenia. Zacząłem się pocić; don Juan, utkwiwszy we mnie spojrzenie, powiedział mi, żebym się nie bał i wykonywał dokładnie jego polecenia. Usiłowałem wydusić z siebie “w porządku", tymczasem wydałem tylko osobliwy skowyt. Rozbrzmiewał jeszcze, kiedy zamknąłem usta. Zaskoczony don Juan doznał kolejnego napadu śmiechu. Chciałem potwierdzić skinieniem głowy, ale nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu.

Don Juan delikatnie rozgiął moje palce i wyjął mi z dłoni fajkę. Polecił mi, bym się położył na podłodze, zabronił mi jednak zasypiać. Zastanawiałem się, czy zechce *mi* pomóc położyć się, ale nie uczynił tego. Nie spuszczał tylko ze mnie oczu. Wtem izba zaczęła się przewracać, a ja spoglądałem na don Juana, jakby leżąc na boku. Z takiej perspektywy sceneria dziwnie się zamgliła, niczym we śnie. Przypominam sobie niewyraźnie, że podczas okresu bezwładności don Juan dużo do mnie

mówił.

W stanie, w jakim się znajdowałem, nie odczuwałem strachu ani niczego przykrego, nazajutrz zaś po przebudzeniu również nie było mi niedobrze. Od normy odbiegało jedynie to, że przez pewien czas po przebudzeniu nie myślało mi się jasno, ale w ciągu mniej więcej pięciu godzin doszedłem całkowicie do siebie.

Środa, 20 stycznia 1965

Don Juan nie rozmawiał ze mną o mych doznaniach, nie prosił mnie też, bym mu je zrelacjonował. Swój komentarz ograniczył do stwierdzenia, ze usnąłem zbyt prędko.

– Tylko w jeden sposób można uniknąć zaśnięcia – powiedział. – Trzeba stać się ptakiem, świerszczem lub czymś w tym rodzaju.

– A jak się to robi, don Juanie?

– Tego właśnie cię uczę. Pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem, kiedy pozbawiony byłeś ciała?

– Nie bardzo.

– Jestem krukiem. Uczę cię tego, jak stać się krukiem. Gdy się tego nauczysz, sen cię nie zmoże i będziesz swobodnie się poruszał; w przeciwnym razie nigdy nie odkleisz się od miejsca, w którym się przewrócisz.

Niedziela, 7 lutego 1965

Moja druga próba zmierzenia się z dymem odbyła się około południa w niedzielę, 31 stycznia. Zbudziłem się następnego dnia wczesnym wieczorem. Miałem wrażenie, że posiadam niezwykłą zdolność przypomnienia sobie wszystkiego, co powiedział mi don Juan podczas mych doznań. Jego słowa odcisnęły się w moim umyśle. Słyszałem je ciągle nadzwyczaj wyraźnie i z nie słabnącą ,-siłą. W trakcie tej próby jeszcze jedno stało się dla mnie oczywiste: od momentu, kiedy zacząłem połykać drobniutki proszek, który dostawał mi się do ust, ilekroć pyknąłem z fajki – zdrętwiało cale moje ciało. A zatem nie tylko łykałem dym, lecz także zjadałem mieszankę.

Usiłowałem opowiedzieć don Juanowi o moich doznaniach, ale odrzekł, że nie zdziałałem nic szczególnego. Wspomniałem, że pamiętam wszystko, co się wydarzyło, ale nie miał ochoty tego wysłuchać. Zapamiętałem dokładnie wszystko, bez cienia błędu. Sposób, w jaki odbywało się palenie, był identyczny jak poprzednim razem. Odnosiło się wrażenie, że moje doznania w obu wypadkach idealnie przystawały do siebie, tak że proces przypominania mogłem rozpocząć od chwili zakończenia pierwszego doświadczenia. Pamiętałem wyraźnie, że od chwili, kiedy upadłem bokiem na ziemię, opuściły mnie całkowicie wszelkie myśli bądź odczucia. Mimo to jasność mego umysłu nie doznała najmniejszego szwanku. Przypominam sobie ostatnią myśl, która przemknęła mi przez głowę mniej więcej w tej samej chwili, gdy izba przybrała postać płaszczyzny pionowej: “Rąbnąłem chyba głową o podłogę, a jednak nie czuję wcale bólu".

Począwszy od tamtego momentu, zdolny byłem jedynie patrzeć i słuchać. Mógłbym powtórzyć każde wypowiedziane przez don Juana słowo. Wykonywałem wszystkie jego polecenia. Wydawały mi się jasne, logiczne i łatwe. Oznajmił, że moje ciało zaczyna znikać, a pozostanie tylko moja głowa; w tej sytuacji istnieje tylko jeden sposób, żeby nie zasnąć i zachować zdolność poruszania się: trzeba stać się krukiem. Nakazał mi, bym starał się mrugnąć, dodając, że ilekroć potrafię mrugnąć, tylekroć będę gotów postąpić dalej. Następnie poinformował mnie, że moje ciało zniknęło całkowicie, a pozostała wyłącznie głowa; powiedział także, że głowa nigdy nie znika, bo to ona właśnie zamienia się w kruka.

Polecił mi mrugnąć. Sądzę, że powtórzył to polecenie, a także wszelkie inne polecenia, i to nieskończenie wiele razy, gdyż zapamiętałem je nadzwyczaj wyraźnie. Musiałem chyba mrugnąć, bo oznajmił, że jestem gotowy, i nakazał mi, bym wyprostował głowę i oparł ją na podbródku. Powiedział, że w podbródku mieszczą się krucze nóżki. Polecił mi, bym poczuł i zaobserwował, jak się powoli wyłaniają. Następnie stwierdził, że jeszcze brak mi krzepkości i że musi mi wyrosnąć ogon, który wyłoni się z mego karku. Nakazał mi, bym wyprostował ogon niczym wachlarz i poczuł, że omiatani nim podłogę.

Następnie zaczął mówić o kruczych skrzydłach, stwierdzając, że wyrosną mi one z kości policzkowych. Oznajmił, że będzie to bolesne i trudne. Polecił mi, bym rozwinął skrzydła. Oznajmił, że muszą być możliwie jak najdłuższe, tak długie, bym mógł je rozpostrzeć, bo inaczej nie będę zdolny do lotu. Poinformował mnie, że skrzydła już się wyłaniają, że są długie i piękne i że muszę nimi

trzepotać, dopóki nie staną się prawdziwymi skrzydłami.

Potem zaczął mówić o czubku mej głowy, stwierdzając, że jest jeszcze bardzo duża i ciężka, a jej pękate rozmiary nie pozwolą mi pofrunąć. Oznajmił wówczas, że mogę zmniejszyć jej wielkość mruganiem – za każdym mrugnięciem głowa będzie maleć. Polecił mi, bym mrugał do chwili ustąpienia ciężaru i osiągnięcia zdolności swobodnego podskakiwania. Następnie poinformował mnie, że moja głowa osiągnęła rozmiary kruczego łba i że muszę teraz chodzić i podskakiwać wkoło, aż pozbędę się sztywności.

Jeszcze jedną rzecz będę musiał zmienić – powiedział don Juan – nim będę mógł odlecieć. Miała to być przemiana najtrudniejsza; by się powiodła, musiałem wykazać się bystrością i spełniać jak najdokładniej jego polecenia. Musiałem się nauczyć widzieć, jak widzi kruk. Oznajmił, że usta i nos będą się mi rozrastały tak długo, aż uformuje się mocny dziób wyrastający spomiędzy mych oczu. Powiedział, że kruki patrzą z ukosa, i nakazał mi, bym przekręcił głowę i spojrzał na niego jednym okiem. Dodał, że gdybym chciał dla odmiany spojrzeć drugim okiem, muszę otrząsnąć dziób, a ruch ów spowoduje, że popatrzę drugim okiem. Polecił mi, bym się przerzucał z oka na oko, a potem stwierdził, że jestem gotów do lotu, a mogę uczynić to tylko w jeden sposób: kazać mu, by mnie podrzucił w powietrze.

Wywołanie u siebie doznań odpowiadających poszczególnym poleceniom don Juana nie sprawiło mi najmniejszych trudności. Odczułem, że wyrastają mi ptasie nogi, początkowo słabe i chwiejne. Czułem, jak z karku wyrasta mi ogon, a z kości policzkowych wyłaniają się skrzydła. Były one mocno zwinięte i czułem, jak stopniowo wychodzą. Proces ten był trudny, choć niebolesny. Następnie zmniejszyłem mrugnięciami głowę do rozmiarów kruczej. Ale najbardziej zadziwiające było to, co stało się z moimi oczami. Uzyskałem wzrok ptaka!

Kiedy don Juan nakazał, by wyrósł mi dziób, doznałem dręczącego uczucia braku powietrza. Wówczas coś się wybrzuszyło, tworząc bulwę tuż przed mymi oczami. Dopiero jednak gdy don Juan polecił mi patrzeć z ukosa, nabyłem zdolności ogarnięcia wzrokiem wszystkiego w bok ode mnie. Potrafiłem mrugnąć każdym okiem oddzielnie i uzyskać ostrość widzenia raz w jednym, raz w drugim. Sposób jednak, w jaki widziałem izbę i wszystko, co się w niej mieściło, nie przypominał normalnego. Mimo to niemożliwe było określenie, na czym polega różnica. Może chodziło o wykrzywienie perspektywy, a może o zatarcie ostrości. Don Juan urósł do ogromnych rozmiarów i otoczyła go dziwna poświata. Było w nim coś kojącego i dającego poczucie bezpieczeństwa. A potem obraz zmętniał; wszystko straciło kontury, zamieniając się w ostro zarysowane abstrakcyjne desenie migocące przed mymi oczami.

Niedziela, 28 marca 1965

W czwartek, 18 marca, zapaliłem ponownie halucynogenną mieszankę. Procedura wstępna odbiegała w drobnych szczegółach od normalnej. Fajkę musiałem nabić raz. Kiedy skończyłem palić pierwszą porcję, don Juan polecił mi wyczyścić lulkę, którą następnie sam napełnił mieszanką, bo z moją koordynacją ruchową było kiepsko. Poruszenie ramionami kosztowało mnie sporo wysiłku. Ilość mieszanki, jaka znajdowała się w moim woreczku, wystarczała na jedno nabicie fajki. Zajrzawszy do woreczka, don Juan stwierdził, że następnym razem zmierzę się z dymem dopiero w przyszłym roku, bo wyczerpałem już cały swój zapas.

Wywróciwszy woreczek na lewą stronę, wytrząsnął okruszyny do naczynia zawierającego węgielki. Żarzyły się one pomarańczowym blaskiem, jak gdyby nakrył je kawałkiem przezroczystego materiału. Ów płat materiału stanął w płomieniach, a potem rozpadł się, tworząc gmatwaninę linii. Coś z wielką prędkością poruszało się pomiędzy nimi zygzakiem. Don Juan kazał mi obserwować ów ruch pomiędzy liniami. Ujrzałem coś, co przypominało kamienną kuleczkę toczącą się tam i z powrotem po rozżarzonym obszarze. Don Juan nachylił się, włożył rękę do żaru, wyciągnął kulkę i umieścił ją w fajce. Kazał mi się zaciągnąć. Odniosłem silne wrażenie, że włożył kuleczkę do fajki po to, bym ją wciągnął do płuc. W mgnieniu oka izba odchyliła się od poziomu. Czułem, ±*e* ogarnia mnie drętwota i ociężałość.

Ocknąwszy się, stwierdziłem, że leżę na plecach na dnie płytkiego rowu irygacyjnego, zanurzony po szyję w wodzie. Ktoś podtrzymywał moją głowę. Był to don Juan. Pierwsza myśl, jaka mi się nasunęła, była taka, że woda w rowie jest w pewien sposób niezwykła: zimna i ciężka. Uderzała lekko o moje ciało, a każde jej poruszenie rozjaśniało coraz bardziej me myśli. Początkowo *i* unosiła się nad nią jasnozielona poświata, lecz owo fosforyzowanie niebawem zanikło, pozostał zaś strumień zwykłej wody.

Spytałem don Juana o porę dnia. Odpowiedział, że jest wczesny ranek. Po pewnym czasie

obudziłem się całkowicie i wyszedłem z wody.

– Musisz mi opowiedzieć wszystko, co ujrzałeś – powiedział don Juan, gdyśmy przybyli do jego domu. Dodał także, że przez trzy dni usiłował mnie “sprowadzić z powrotem", co nie było wcale łatwe.

Podjąłem liczne próby opisania tego, co widziałem, ale nie mogłem się skupić. Później, pod wieczór, poczułem, że jestem gotowy do rozmowy z don Juanem, i zacząłem mu opowiadać o tym, co zapamiętałem od momentu, kiedy przewróciłem się na bok, ale nie chciał mnie słuchać. Stwierdził, że interesuje go tylko to, co widziałem i robiłem, odkąd podrzucił mnie w powietrze, a ja odfrunąłem.

Zapamiętałem jedynie serię podobnych do snu obrazów czy scen, nie tworzących zresztą sekwencji. Odnosiłem wrażenie, że każdy z nich przypominał oddzielną bańkę, która pojawiała się w polu widzenia, po czym odpływała, tracąc ostrość. Nie były to jednak wyłącznie sceny do oglądania. Byłem w nich w środku, stanowiłem ich część składową. Kiedy usiłowałem je sobie przypomnieć, wydawało mi się początkowo, że były to niewyraźne, zamglone rozbłyski, później jednak, w miarę jak się nad tym zastanawiałem, doszedłem do przekonania, że każda z nich była szalenie wyraźna, aczkolwiek nie miała nic wspólnego z normalnym widzeniem – stąd wrażenie mglistości. Obrazów było mało i były one nieskomplikowane.

Gdy tylko don Juan wspomniał o tym, że podrzucił mnie w powietrze, zamajaczyła mi przed oczami dobrze zapamiętana scena, w której przyglądałem mu się z pewnego oddalenia. Patrzyłem tylko prosto w jego twarz. Była ogromnych rozmiarów, płaska, i promieniowała intensywnym blaskiem. Okalające ją żółtawe włosy falowały. Falowała również każda część jego twarzy, wysyłając przy tym światło koloru bursztynu.

W następnym obrazie, który zapamiętałem, don Juan rzeczywiście podrzucał mnie czy też ciskał prosto w górę. Pamiętam, że rozpostarłem skrzydła i pofrunąłem. Osamotniony pokonywałem przestrzeń, posuwając się w bólu prosto przed siebie. Szedłem raczej, niż leciałem. Dla ciała była to udręka. Żadnej swobody lotu, żadnej ekstazy.

A potem przypomniałem sobie moment, w którym wpatrywałem się znieruchomiały w kłębowisko ciemnych krawędzi majaczących na tle mdłego, wywołującego ból światła; później ujrzałem pole wypełnione mrowiem najrozmaitszych świateł, które poruszały się, migotały i zmieniały intensywność. Niczym niemal nie różniły się od kolorów. Oślepiło mnie ich natężenie.

W innym momencie tuż przed moim okiem pojawił się jakiś przedmiot. Był gruby i spiczasty, otoczony wyraźną różowawą poświatą. Nagle, gdzieś w głębi ciała, odczułem wstrząs i ujrzałem zbliżające się w moją stronę mrowie podobnych różowych kształtów. Pędziły wprost na mnie. Uskoczyłem na bok.

Ostatnia zapamiętana przeze mnie scena to trzy srebrzyste ptaki, które promieniowały ostrym, metalicznym blaskiem, prawie takim jak stal nierdzewna, tylko że intensywnym, żywym i ruchomym. Spodobały mi się – pofrunęliśmy razem.

Don Juan nie opatrzył mej relacji żadnym komentarzem.

Wtorek, 23 marca 1965

Poniższa rozmowa odbyła się dzień później, po zrelacjonowaniu przeze mnie tego, co zapamiętałem.

– Stać się krukiem to nie takie trudne. Dokonałeś tego i odtąd zawsze już nim będziesz – powiedział don Juan.

– A co się stało później, don Juanie? Czy latałem przez trzy dni?

– Nie, wracałeś o zmierzchu, tak jak ci kazałem.

– Ale w jaki sposób?

– Byłeś bardzo zmęczony i szedłeś spać. To wszystko.

– Czyli przylatywałem z powrotem?

– Już ci powiedziałem. Byłeś mi posłuszny i wracałeś do domu. Ale nie zawracaj sobie tym głowy. To nie ma żadnego znaczenia.

– A co ma znaczenie?

– W całej twej podróży tylko jedno naprawdę się liczy: srebrzyste ptaki!

– Co w nich było takiego szczególnego? Po prostu ptaki, i tyle.

– To nie były zwykłe ptaki. To były kruki.

– Może to były białe kruki, don Juanie?

– Czarne pióra kruka są w rzeczywistości srebrzyste. Kruki lśnią tak mocno, że inne ptaki ich nie niepokoją.

– A czemu ich pióra wyglądały jak srebrzyste?

– Bo widziałeś tak, jak widzą kruki. Ptak, który nam wydaje się ciemny, dla kruka wygląda jak biały. Białe gołębie widzi on na przykład w kolorze różowym lub błękitnawym, a mewy – w żółtym. A teraz spróbuj sobie przypomnieć moment, w którym się do nich przyłączyłeś.

Zacząłem się nad tym zastanawiać, ale ptaki przedstawiały mętny, niespójny obraz pozbawiony wszelkiej ciągłości. Powiedziałem don Juanowi, że pamiętam tylko, iż odleciałem wraz z nimi. Zapytał, czy przyłączyłem się do nich w powietrzu, czy na ziemi, nie byłem jednak w stanie odpowiedzieć. Nieomal się na mnie rozgniewał. Zażądał, bym się dobrze zastanowił. “To wszystko będzie diabła warte, jeśli dokładnie sobie nie przypomnisz; w przeciwnym razie będą to tylko senne majaczenia" – powiedział. Starałem się ze wszystkich sił przypomnieć sobie, ale nie zdołałem.

Sobota, 3 kwietnia 1965

Dziś zastanawiałem się nad innym obrazem z mego “snu" o srebrzystych ptakach. Przypomniałem sobie, jak patrzę na ciemną bryłę usianą nieskończoną liczbą małych otworów. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że ta ciemna masa jest miękka. W momencie gdy się w nią wpatrywałem, nadleciały ku mnie trzy ptaki. Jeden z nich wydał z siebie dźwięk, a potem wszystkie trzy znalazły się tuż przy mnie na ziemi.

Opisałem ten obraz don Juanowi. Zapytał o kierunek, z którego przybyły ptaki. Odpowiedziałem, że nie jestem w stanie go określić. Bardzo się niecierpliwił, zarzucając mi brak giętkości w myśleniu. Stwierdził, że gdybym tylko spróbował, z pewnością bym sobie przypomniał, ale boję się choć trochę rozluźnić. Powiedział, że myślę teraz w kategoriach ludzi i kruków, a przecież w momencie, który chcę sobie przypomnieć, nie byłem ani człowiekiem, ani krukiem.

Poprosił, bym sobie przypomniał, co kruk do mnie powiedział. Próbowałem się nad tym zastanowić, ale mój umysł zatrzymywał się nad tuzinami innych rzeczy. Nie potrafiłem się skoncentrować.

Niedziela, 4 kwietnia 1965

Dziś wybrałem się na długą wędrówkę. Było już prawie całkiem ciemno, gdy dotarłem do domu don Juana. Rozmyślałem właśnie o krukach, gdy nagle przemknęła mi przez głowę bardzo dziwna “myśl". Było to bardziej uczucie czy doznanie niż myśl. Ów ptak, który wydał z siebie dźwięk, powiedział, że nadlatują z północy, a udają się na południe, kiedy zaś spotkamy się ponownie, będą leciały tą samą drogą.

Powiedziałem don Juanowi, co sobie pomyślałem, a może przypomniałem. Odrzekł:

– Nie zastanawiaj się nad tym, czy sobie to przypomniałeś, czy też sam wymyśliłeś. Takie myśli przystoją jedynie ludziom. Do kruków nie pasują, zwłaszcza do tych, które widziałeś, bo to posłańcy twego losu. Jesteś już krukiem. Tego nigdy nie zmienisz. Odtąd kruki zapowiedzą ci w locie każdą odmianę twego losu. W którym kierunku z nimi poleciałeś?

– Skąd miałbym to wiedzieć, don Juanie?

– Jeśli się dobrze zastanowisz, przypomnisz sobie. Usiądź na podłodze i powiedz mi, jaką zajmowałeś pozycję, kiedy nadleciały ptaki. Zamknij oczy i nakreśl linię na podłodze.

Postąpiłem według jego polecenia i wyznaczyłem punkt.

– Nie otwieraj jeszcze oczu! – ciągnął don Juan. – W którym kierunku w odniesieniu do tego punktu wszyscyście polecieli?

Zaznaczyłem na ziemi odpowiedni punkt.

Traktując te znaki orientacyjnie jako punkt odniesienia, don Juan dokonał interpretacji różnych trajektorii lotu służących krukom do przepowiadania mej przyszłości bądź mego losu. Oś lotu kruków wyznaczył na podstawie czterech kierunków kompasu.

Spytałem, czy przepowiadając ludzki los, kruki zawsze trzymają się czterech stron świata.

Odpowiedział, że to wyłącznie ja sam muszę się zorientować – wszystko, co kruki uczyniły podczas mego pierwszego z nimi spotkania, miało dla mnie podstawowe znaczenie. Nalegał, bym sobie przypomniał każdy szczegół, gdyż przesłanie i trajektoria lotu “posłańców" były sprawą indywidualną, odnoszącą się tylko do mojej osoby.

Nalegał także, bym sobie przypomniał jeszcze jedno: o jakiej porze dnia posłańcy mnie opuścili. Poprosił, bym się zastanowił nad różnicą w świetle pomiędzy momentem, gdy zacząłem latać, a momentem, gdy srebrzyste ptaki poszybowały wraz ze mną. Kiedy po raz pierwszy odczułem bolesność lotu, było ciemno. Kiedy jednak ujrzałem ptaki, wszystko oblane było *czerwonawym,* jasno-czerwonawym, a może pomarańczowym światłem.

– To znaczy, że było późne popołudnie, ale słońce jeszcze nie zaszło. Kiedy nastaje całkowita ciemność, kruka oślepia biel, a nie ciemność, tak jak nas nocą. Wskazuje to, że twoi ostatni posłańcy przybędą pod koniec dnia. Zawezwą cię i przelatując ci nad głową, nabiorą srebrzystobiałej barwy; zobaczysz, jak będą lśnili na tle nieba, co będzie oznaczało, że twój czas nadszedł, czyli że umrzesz i sam staniesz się krukiem.

– A jeśli ujrzę ich o poranku?

– Nie zobaczysz ich o poranku!

– Przecież kruki fruwają od rana do nocy.

– Ale nie twoi posłańcy, głupku!

– A twoi, don Juanie?

– Moi przybędą o poranku. Będzie ich także trzech. Mój dobroczyńca powiedział mi, że krzykiem można spowodować, by z powrotem sczernieli, jeśli człowiek nie chce umierać. Dziś jednak wiem, że tego nie da się zrobić. Mój dobroczyńca miał pociąg do krzyku, do tego całego jazgotu i gwałtu, jaki czyni czarcie ziele. Dym jest jednak inny, bo się nie roznamiętnia. Jest rzetelny. Kiedy przybędą po ciebie twoi posłańcy, nie trzeba na nich krzyczeć. Po prostu pofruniesz z nimi, jak już to uczyniłeś. A kiedy cię zabiorą, zmienią kierunek lotu i odfruniecie we czwórkę.

Sobota, 10 kwietnia 1965

Doświadczyłem krótkotrwałych stanów rozkojarzenia, wchodząc płytko w rzeczywistość niezwykłą.

Do jednego elementu moich halucynogennych doświadczeń z grzybami wciąż wracałem w myślach – do owej miękkiej, ciemnej masy pełnej maleńkich dziurek. Wyobrażałem ją sobie jako pęcherz tłuszczu bądź oleju, który zaczyna wciągać mnie do wnętrza. Wydawało mi się, że jądro pęcherza rozewrze się i wchłonie mnie, wówczas też przez króciutką chwilę doświadczałem czegoś w rodzaju stanu rzeczywistości niezwykłej, w następstwie czego odczuwałem chwilami głębokie poruszenie, niepokój i niezadowolenie; za wszelką cenę starałem się położyć kres tym doznaniom, gdy tylko wystąpiły.

Dziś przedyskutowałem tę sytuację z don Juanem i poprosiłem go o radę. Nie wydawał się przejęty i kazał mi nie zwracać uwagi na te doznania, bo nie mają one znaczenia, a właściwie wartości. Stwierdził, że jedynymi doznaniami zasługującymi na mój wysiłek i zainteresowanie są te, w których widziałem kruka; wszelkie inne rodzaje “wizji" stanowią jedynie produkt mych lęków. Przypomniał mi znowu, że chcąc skorzystać z dymu, powinienem żyć życiem mocnym i spokojnym. Osobiście miałem wrażenie, że dotarłem do niebezpiecznego progu. Powiedziałem don Juanowi, że wydaje mi się, iż dalej nie mogę się posunąć – w grzybach jest coś, co napawa mnie prawdziwym przerażeniem.

Przebiegając w myślach obrazy, jakie przypominałem sobie z mych halucynogennych doświadczeń, doszedłem do nieuniknionego wniosku, że oglądałem świat, którego struktura różniła się od normalnej percepcji. Podczas stanów rzeczywistości niezwykłej, jakich doświadczałem, oglądane przeze mnie kształty i struktury mieściły się zawsze w ramach mej wizualnej koncepcji świata. Moja percepcja wzrokowa pod wpływem halucynogennej mieszanki do palenia miała jednak odmienny charakter. Wszystko, co widziałem, znajdowało się przede mną w prostej linii widzenia, nic nie znajdowało się powyżej lub poniżej tej linii.

Każdy obraz był irytująco płaski, a mimo to posiadał niepokojącą głębię. Może właściwsze byłoby stwierdzenie, że obrazy owe stanowiły zlepek niesamowicie ostro zarysowanych szczegółów wpisanych w różniące się pod względem oświetlenia pola; światło na owych polach poruszało się, wywołując wrażenie obrotu.

Poddawszy się – w celu przypomnienia – nudnej introspekcji, musiałem skonstruować szereg

analogii bądź porównań, aby “zrozumieć" to, co “widziałem". Na przykład twarz don Juana wyglądała tak, jakby był zanurzony w wodzie, która zdawała się nieustannie przepływać ponad jego twarzą i włosami. Powiększała ją tak bardzo, że mogłem dojrzeć każdy por jego skóry lub każdy włosek na jego głowie, ilekroć skoncentrowałem wzrok. Widziałem również płaskie i usiane krawędziami bryły materii, które się nie poruszały, bo wydobywające się z nich światło nie pulsowało.

Spytałem don Juana, czym było to, co widziałem. Odpowiedział, że ponieważ po raz pierwszy oglądałem świat tak jak kruki, obrazy nie były wyraźne i nie miały większego znaczenia, dopiero później, gdy nabiorę wprawy, będę musiał wszystko rozpoznać.

Poruszyłem kwestię różnicy, jaką dostrzegłem w poruszaniu się światła.

– Rzeczy obdarzone życiem – powiedział don Juan – ruszają się wewnątrz, a kruk z łatwością umie dostrzec, że coś jest martwe lub bliskie śmierci, bo ruch ów ustał lub ustaje. Kruk umie również stwierdzić, że coś porusza się zbyt prędko, na tej samej zasadzie potrafi on orzec, *że coś* porusza się dokładnie tak, jak trzeba.

– Co to znaczy, że coś porusza się zbyt prędko lub akurat tak, jak trzeba?

– Oznacza to, że kruk potrafi orzec, czego unikać, a czego poszukiwać. Gdy coś porusza się w środku za szybko, oznacza to, że wkrótce gwałtownie wybuchnie lub rzuci się przed siebie i kruk będzie od tego stronił. Kiedy zaś wewnętrzny ruch odbywa się prawidłowo, jest to widok miły dla oka i kruk będzie go poszukiwał.

– Czy skały też się w środku ruszają?

– Nie, ani skały, ani martwe zwierzęta, ani uschnięte drzewa. Przedstawiają jednak piękny widok. Dlatego też kruki kołują nad zwłokami. Lubią na nie patrzeć. W ich wnętrzu nie krąży światło.

– Czyż jednak gnijące ciało nie zmienia się i nie rusza?

– Owszem, ale to inny rodzaj ruchu. Tym, co kruk wówczas widzi, jest całe mnóstwo poruszających się w nim rzeczy, które świecą własnym światłem, czemu kruk lubi się przypatrywać. To doprawdy niezapomniany widok.

– Widziałeś coś takiego osobiście, don Juanie?

– Każdy, kto uczy się, jak zostać krukiem, może ujrzeć ten widok. Sam go zobaczysz.

W tym momencie zadałem don Juanowi pytanie, którego nie sposób było uniknąć.

– Czy ja naprawdę stałem się krukiem? Chodzi mi o to, czy ktoś, kto by mi się przyglądał, uznałby, że jestem zwykłym krukiem?

– Nie. Nie możesz myśleć w ten sposób, zajmując się mocą sprzymierzeńców. Takie pytania pozbawione są sensu, a mimo to nie ma nic prostszego, niż zamienić się w kruka. Jest w tym coś niemal swawolnego, pozbawionego większej użyteczności. Jak ci już mówiłem, dym nie jest dla poszukiwaczy mocy, a tylko dla tych, którzy namiętnie pragną widzieć. Nauczyłem się przemiany w kruka, bo to najpraktyczniejszy z ptaków. Nie naprzykrzają mu się żadne inne, może prócz większych, wygłodniałych orłów, ale kruki latają grupami i potrafią same się bronić. Ludzie też nie niepokoją kruków, a to istotne. Każdy człowiek umie odróżnić wielkiego orła, zwłaszcza niezwykłego, a także wszelkiego innego niezwykłego ptaka, ale kto by sobie zawracał głowę krukiem? Kruk to ptak bezpieczny. Ma idealną wielkość i naturę. Może bezpiecznie dostać się w jakiekolwiek miejsce, nie zwracając niczyjej uwagi. Można również stać się lwem lub niedźwiedziem, ale to dość niebezpieczne. Są to duże stworzenia; przemiana w nie wymaga zbyt dużych nakładów energii. Można też stać się świerszczem lub jaszczurką, nawet mrówką, jest to jednak jeszcze bardziej niebezpieczne, bo małe stworzonka są żerem dużych.

Odparłem, że z tego, co mówił, wynika, iż człowiek naprawdę może zamienić się w kruka, świerszcza lub jakiekolwiek inne stworzenie. Wciąż jednak twierdził, że go nie rozumiem.

– Potrzeba bardzo dużo czasu, nim człowiek nauczy się być krukiem w należyty sposób – oznajmił don Juan. – W nic się jednak nie zamieniłeś ani nie przestałeś być człowiekiem. Jest jeszcze inaczej.

– Możesz mi wyjaśnić, co to znaczy, don Juanie?

– Niewykluczone, że sam to już wiesz. Możliwe, że gdybyś tak bardzo nie lękał się, że wpadniesz w obłęd lub utracisz ciało, zdołałbyś pojąć tę cudowną tajemnicę. Możliwe jednak, że trzeba, abyś czekał tak długo, aż przestaniesz się bać tego, że zrozumiesz, co mam na myśli.

11.

Ostatnie wydarzenie, które odnotowałem w zapiskach terenowych, miało miejsce we wrześniu 1965 roku. Była to ostatnia z nauk don Juana. Nazwałem ją “szczególnym stanem rzeczywistości niezwykłej", nie wiązała się bowiem z działaniem żadnych używanych dotąd przeze mnie roślin. Wydaje się, że don Juan wywołał ów stan starannym wyreżyserowaniem przekazywanych na swój temat informacji, to znaczy zachowywał się wobec mnie w tak umiejętny sposób, że wzbudził we mnie wyraźne i trwałe wrażenie, iż w rzeczywistości nie jest sobą, lecz swoją personifikacją. W związku z tym zrodził się we mnie głęboki konflikt wewnętrzny – chciałem wierzyć, że mam do czynienia z don Juanem, jednocześnie zaś nie mogłem być tego pewny. Konfliktowi temu towarzyszyło drążące mą świadomość przerażenie, tak intensywne, że na kilka tygodni odbiło się ono na moim zdrowiu. Uznałem wówczas, że będzie roztropnie na tym zakończyć moje terminowanie. Od tamtej chwili w niczym też nie brałem udziału, choć don Juan nigdy nie przestał uważać mnie za swego ucznia. Moje wycofanie się uznał on za okres niezbędnej rekapitulacji, kolejny etap nauki, który może trwać w nieskończoność. Niemniej jednak przestał się odtąd rozwodzić nad swą wiedzą.

Moje ostatnie doświadczenie opisałem szczegółowo po upływie niecałego miesiąca, jakkolwiek obszerne notatki dotyczące jego cech zasadniczych sporządziłem już nazajutrz, będąc jeszcze pod wpływem wielkiego pobudzenia emocji, jakie poprzedziło chwilę, w której moje przerażenie doszło do zenitu.

Piątek, 29 października 1965

W czwartek, 30 września 1965 roku, udałem się w odwiedziny do don Juana. Krótkotrwałe, płytkie stany niezwykłej rzeczywistości utrzymywały się pomimo mych usilnych prób ich przerwania lub wyciszenia, co sugerował mi don Juan. Czułem, że mój stan się pogarsza, gdyż czas ich trwania się przedłużał. Z coraz większą ostrością słyszałem huk samolotów. Ryk przelatujących mi nad głową maszyn przykuwał całą moją uwagę, aż do momentu, gdy zaczynałem mieć poczucie, że znajduję się w środku lecącego samolotu. Było to doznanie niezwykle irytujące, to zaś, że nie potrafiłem się od niego uwolnić, wywoływało we mnie głęboki niepokój.

Wysłuchawszy z uwagą wszystkich szczegółów, don Juan doszedł do wniosku, że cierpię na skutek utraty duszy. Poinformowałem go, że miewam te halucynacje, odkąd zacząłem palić grzyby, on jednak upierał się, że to nowe zjawisko. Powiedział, że przedtem się bałem i śniłem tylko o jakichś banialukach, teraz natomiast znalazłem się naprawdę we władaniu czarów. Dowodziło tego to, że hałas nadlatujących samolotów mógł mnie unieść ze sobą. Zwykle bywa tak – ciągnął don Juan – że szum strumienia lub rzeki może usidlić zaczarowanego człowieka, który utracił swą duszę, i ponieść go z sobą ku śmierci. Poprosił mnie następnie, bym opisał mu wszystkie swe czynności z okresu bezpośrednio poprzedzającego wystąpienie u mnie owych halucynacji. Wymieniłem wszystkie czynności, jakie sobie przypomniałem. Na podstawie mojej relacji don Juan określił miejsce, w którym utraciłem duszę.

Don Juan sprawiał wrażenie bardzo przejętego, co mu się zdarzało niezwykle rzadko. Wzmogło to naturalnie moje przerażenie. Stwierdził, że nie ma pojęcia, kto usidlił mą duszę, kimkolwiek jednak była ta osoba, chciała ona niewątpliwie mnie unicestwić lub wywołać u mnie bardzo poważną chorobę. Następnie udzielił mi szczegółowych wskazówek dotyczących “postawy bojowej", czyli określonej pozycji ciała, jaką należało przyjąć, przebywając w dobroczynnym dla siebie miejscu. Pod żadnym /pozorem nie wolno mi było zaniechać owej postawy, którą don Juan nazwał *una forma para pelear.*

Spytałem go, po co to wszystko i z kim mam walczyć. Odpowiedział, że wybiera się sprawdzić, kto zabrał mi duszę i czy sieją da odzyskać. Tymczasem ja, dopóki nie wróci, miałem pozostać na swym miejscu. Pozycja bojowa była właściwie środkiem ostrożności – stwierdził don Juan – powziętym na wypadek, gdyby podczas jego nieobecności coś się wydarzyło: środkiem, z którego należało skorzystać, gdybym został napadnięty. Należało poklepywać prawy pośladek i udo, a lewą stopą przytupywać, wykonując jak gdyby rodzaj tańca i witając w ten sposób napastnika.

Przestrzegał mnie, że postawę tę należy przyjmować jedynie w momentach najbardziej dramatycznych, dopóki jednak nie widać żadnego niebezpieczeństwa, powinienem po prostu siedzieć ze skrzyżowanymi nogami na swoim miejscu. Jednakże w wypadku skrajnego niebezpieczeństwa wolno mi – ciągnął don Juan – skorzystać z ostatniego środka obrony, jakim jest ciśniecie we wroga jakimś przedmiotem. Dodał, że zwykle rzuca się przedmiot obdarzony mocą, ponieważ jednak nie

posiadam takiego, muszę użyć dowolnego odłamka skały, który zmieści się w mej prawej dłoni i który mógłbym w niej utrzymać, przyciskając do wnętrza dłoni kciukiem. Podkreślił, że z tego sposobu wolno mi skorzystać jedynie w obliczu groźby utraty życia. Rzuceniu przedmiotu powinien towarzyszyć okrzyk wojenny służący naprowadzeniu go na cel. Szczególny nacisk don Juan położył na to, że powinienem dobrze się zastanowić nad wydaniem tego okrzyku, wystrzegając się wszelkiej przypadkowości, chyba że uznam powstałą sytuację za bardzo poważną.

Spytałem, co rozumie przez “bardzo poważną sytuację". Odpowiedział, że okrzyk wojenny jest czymś, co towarzyszy człowiekowi przez całe życie, dlatego musi on być od samego początku skuteczny. Można to osiągnąć jedynie w ten sposób, że pohamuje się przyrodzony człowiekowi strach i pośpiech, pozwalając, by moc nas napełniła, wówczas wydany przez nas okrzyk będzie potężny i ukierunkowany. Właśnie w takich okolicznościach okrzyk wojenny może być niezbędny.

Poprosiłem, by opowiedział szerzej o mocy, która powinna przepełnić człowieka przed wydaniem owego okrzyku. Stwierdził, że jest on czymś, co przebiega przez całe ciało, wydobywszy się z tego miejsca na ziemi, gdzie się stoi; ściślej – jest to moc promieniująca z dobroczynnego miejsca. Ona to właśnie wydobywa z nas okrzyk wojenny. Jeśli posłużymy się nią prawidłowo, owo bitewne zawołanie będzie doskonałe.

Ponownie spytałem don Juana, czy uważa, że coś mi się przydarzy. Odpowiedział, że nic o tym nie wie, i dramatycznym głosem nakazał mi nie ruszać się z mego miejsca, dopóki nie będzie to konieczne, ponieważ jedynie to chroni mnie przed wszelkim możliwym rozwojem wypadków. Zaczęło mnie ogarniać przerażenie; błagałem, by wyrażał się bardziej konkretnie. Odpowiedział, że wie tylko tyle, iż pod żadnym pozorem nie wolno mi się ruszyć z miejsca – zabronił mi iść do domu lub w zarośla. Przede wszystkim zaś – stwierdził – nie wolno mi się było odezwać słówkiem, nawet do niego. Powiedział, że jeśli ogarnie mnie strach nie do zniesienia, mogę śpiewać pieśni Mescalito, a potem dodał, że wiem już zbyt wiele o tych sprawach, by trzeba mnie było strofować jak dziecko i przypominać, że zawsze należy postępować prawidłowo.

Upomnienia don Juana były dla mnie istną udręką. Byłem pewien, że spodziewał się jakichś wydarzeń. Spytałem, dlaczego polecił mi śpiewać pieśni Mescalito; chciałem się także dowiedzieć, dlaczego uważał, że może mnie ogarnąć strach nie do zniesienia. Roześmiał się i odpowiedział, że przerazić może mnie i to, że zostanę sam. Wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Spojrzałem na zegarek. Była siódma wieczór. Przez długi czas siedziałem spokojnie. Z izby don Juana nie dochodziły żadne dźwięki. Panowała całkowita cisza. Wiał wiatr. Zastanawiałem się, czy nie skoczyć do auta po skafander, nie ośmieliłem się jednak postąpić wbrew radzie don Juana. Nie byłem śpiący, tylko zmęczony. Podmuchy zimnego wiatru nie pozwoliły mi odpocząć.

Po upływie czterech godzin usłyszałem kroki obchodzącego dom don Juana. Pomyślałem, że idzie oddać mocz w zaroślach. Wówczas zawołał mnie głośno.

– Hej, chłopcze! Jesteś mi tu potrzebny!

Niewiele brakowało, żebym wstał i poszedł. Głos był jego, ale nie ton, zwykle też nie odzywał się w ten sposób. Don Juan nigdy nie zwracał się do mnie “hej, chłopcze". Dlatego nie ruszyłem się z miejsca. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Znów rozległo się wołanie don Juana; słowa również były te same lub bardzo podobne.

Usłyszałem, że kręci się na tyłach domu. Potknął się o stos drewna, jak gdyby nie wiedział, że się tam znajduje. Następnie pojawił się na werandzie i usiadł przy drzwiach oparty plecami o ścianę. Sprawiał wrażenie bardziej ociężałego niż normalnie. Ruchy, jakie wykonywał, nie były wolniejsze czy mniej zgrabne, tylko bardziej ociężałe. Zwalił się na podłogę, zamiast – jak to zwykle czynił – gładko osunąć się na miejsce. Ponadto usiadł gdzie indziej niż zwykle, a don Juan w żadnym wypadku nie zająłby nie swojego miejsca.

Wówczas znów do mnie przemówił. Spytał, czemu nie przyszedłem, kiedy byłem mu potrzebny. Mówił głośno. Nie chciałem na niego spojrzeć, jednocześnie zaś odczuwałem nieodpartą potrzebę przyjrzenia mu się. Zaczął się lekko kołysać. Zmieniłem pozycję ciała, przyjmując postawę bojową, której mnie nauczył, i zwróciłem się twarzą ku niemu. Mięśnie miałem sztywne i dziwnie napięte. Nie wiem, co kazało mi przyjąć postawę bojową, może uczyniłem tak dlatego, że wydawało mi się, iż don Juan umyślnie próbuje mnie nastraszyć, stwarzając wrażenie, że osoba, którą ujrzałem, w rzeczywistości nim nie jest. Wydawało mi się, że don Juan dokłada wszelkich starań, by zachowując się odmiennie niż zwykle, posiać w mym umyśle wątpliwości. Bałem się; mimo to czułem, że panuję nad sytuacją, w rzeczywistości bowiem rejestrowałem i poddawałem dokładnej analizie przebieg wypadków.

W tym momencie don Juan powstał z miejsca. Wykonywał ruchy całkowicie mi nie znane. Wyciągnąwszy przed siebie ręce, dźwignął ciało ku górze – uniósł najpierw plecy, a następnie uchwycił się drzwi i wyprostował górną część ciała. Ze zdumieniem przekonałem się, jak głęboką posiadam znajomość jego ruchów i jak niesamowite wywołuje we mnie wrażenie widok don Juana, który nie porusza się jak don Juan.

Wykonał kilka kroków w moją stronę. Podtrzymywał oburącz dolną część swego ciała, jakby próbował się wyprostować albo skurczył się z bólu. Pojękiwał i stękał; wydawało się, że ma zatkany nos. Oznajmił, że chce mnie zabrać ze sobą, nakazał mi wstać i iść za nim. Skierował kroki ku zachodniemu skrzydłu domu. Zmieniłem pozycję, by nie spuszczać go z oka. Odwrócił się do mnie, a ja ani drgnąłem przykuty do swego miejsca. Wówczas ryknął: "Hej, chłopcze! Mówiłem ci, żebyś poszedł ze mną, bo inaczej zaciągnę cię siłą!"

Skierował się ku mnie. Zacząłem klepać się po pośladku i udzie, wykonując zarazem szybki taniec. Doszedłszy do samej krawędzi werandy, zatrzymał się tuż przede mną. Gorączkowo przygotowałem się do przyjęcia pozycji, w jakiej należało dokonać rzutu, ale zmienił wówczas kierunek i oddalił się ode mnie w stronę rosnących na lewo zarośli. W pewnym momencie – już odchodząc – odwrócił się raptem, byłem jednak nadal gotowy do odparcia ataku.

Zniknął mi z oczu. Zachowałem postawę bojową jeszcze dłuższą chwilę, kiedy jednak stwierdziłem, że już go nie widzę, usiadłem ze skrzyżowanymi nogami, zwrócony plecami do skały. Bałem się bardzo. Chciałem uciec, ale na samą myśl o ucieczce ogarniało mnie jeszcze większe przerażenie. Czułem, że byłbym całkowicie zdany na jego łaskę i niełaskę, gdyby schwytał mnie po drodze do samochodu. Zacząłem śpiewać znane mi pieśni pejotlowe. Czułem jednak, że w tym wypadku są one poniekąd nieskuteczne. Działały wyłącznie jak środek uspokajający, mimo to przynosiły mi ulgę. Śpiewałem je wciąż od nowa.

Około 2^{45} po południu usłyszałem w głębi domu jakiś hałas. Natychmiast zmieniłem pozycję ciała. Drzwi otwarły się gwałtownie i wypadł zza nich don Juan, który dysząc ciężko, trzymał się za gardło. Upadł przede mną na kolana i rzęził. Cienkim, płaczliwym głosem prosił mnie, bym się zbliżył i udzielił mu pomocy, następnie zaś znów na mnie ryknął, nakazując mi podejść. Wydawał gardłowe dźwięki, błagając mnie, bym przyszedł mu z pomocą, bo się dusi. Czołgając się na czworakach, zbliżył się do mnie na odległość mniej więcej czterech stóp. Wyciągnął ręce w moją stronę. "Chodź tu!" – zawołał, po czym podniósł się z ziemi. Ręce miał wciąż wyciągnięte ku mnie; wydawało mi się, że lada moment mnie schwyta. Przytupywałem stopą o ziemię, uderzając dłonią o pośladek i udo. Ze strachu odchodziłem od zmysłów.

Zatrzymał się i skręcił obok domu w zarośla. Zmieniłem pozycję, by stać twarzą w jego stronę, a potem ponownie usiadłem. Nie chciało mi się już śpiewać; zaczynało mi brakować energii. Całe ciało miałem obolałe, a mięśnie zdrętwiałe i boleśnie skurczone. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Nie potrafiłem się zdecydować, czy mam, czy nie mam się gniewać na don Juana. Przyszło mi na myśl, żeby się na niego rzucić, ale rozdeptałby mnie jak robaka. Chciało mi się płakać. Ogarnęła mnie prawdziwa rozpacz na myśl o tym, że don Juan zadał sobie tyle trudu, żeby mnie przestraszyć, zbierało mi się na płacz. Nie potrafiłem znaleźć żadnego wytłumaczenia dla jego niesamowitych popisów aktorskich; mistrzostwo, z jakim się poruszał, wprawiało mnie w ogromne zakłopotanie. Nie chodziło o to, że usiłował naśladować kobiece ruchy, było raczej tak, jakby jakaś kobieta usiłowała naśladować ruchy don Juana. Miałem wrażenie, ze w istocie usiłuje ona chodzić i poruszać się z typowym dla don Juana rozmysłem, ale robiła to zanadto ociężale i bez jego zwinności. Bez względu na to, kim była znajdująca się przede mną osoba, sprawiała wrażenie młodszej od niego, ociężałej kobiety, która usiłuje naśladować powolne ruchy zręcznego, starszego mężczyzny.

Wskutek tych rozważań wpadłem w panikę. Tuż obok mnie rozległo się głośne wołanie świerszcza. Bogate brzmienie jego głosu przykuło moją uwagę; nasunęło mi się porównanie z barytonem. Świerszcz cichł. Nagle moje ciało gwałtownie drgnęło. Ponownie przyjąłem postawę bojową, zwracając się twarzą w stronę, z której dobiegał głos świerszcza. Jego wołanie unosiło mnie z sobą; zacząłem się mu poddawać, nim zdałem sobie sprawę, że to tylko świerszczowe granie. Głos znów się zbliżył, przybierając straszliwie na sile. Zacząłem coraz głośniej wyśpiewywać pieśni pejotlowe. Głos świerszcza raptownie zamilkł. Poklepując się po udzie i pośladku, przytupywałem żwawo i z rozgorączkowaniem. Tuż obok mnie przemknął kształt, który nieomal mnie dotknął. Przypominał z wyglądu psa. Zdrętwiałem ze strachu. Niczego więcej – żadnych innych myśli lub odczuć – sobie nie przypominam.

Poranna rosa przyniosła odświeżenie. Poczułem się lepiej. Czymkolwiek była owa zjawa – rozpłynęła się bez śladu. Była 5^{48}, kiedy don Juan ukazał się zza cicho otworzonych drzwi. Ziewając,

przeciągnął się i spojrzał na mnie. Postąpił dwa kroki w moją stronę, nie przestając ziewać. Ujrzałem jego oczy spozierające spod półprzymkniętych powiek. Zerwałem się na równe nogi – byłem pewien, że ten ktoś lub coś przede mną to nie jest don Juan.

Podniosłem z ziemi skalny odłamek o ostrych krawędziach. Znajdował się on tuż obok mej prawej ręki. Nie patrzyłem na niego, przyciskałem go tylko kciukiem do rozpostartych palców. Przyjąłem pozycję, której nauczył mnie don Juan. Poczułem, jak w mgnieniu oka wypełniła mnie osobliwa energia. Wówczas wydałem okrzyk i cisnąłem kamieniem w zjawę. Pomyślałem, że okrzyk był wspaniały. Nie zależało mi w owej chwili na życiu. Wydawało mi się, że potęga mego krzyku była przeraźliwa. Był to krzyk przeszywający i długotrwały; on w istocie kierował moim rzutem. Postać przede mną zachwiała się, wrzasnęła i powlokła się ponownie w zarośla, skręciwszy obok domu.

Upłynęło wiele godzin, nim ochłonąłem. Nie potrafiłem już usiedzieć w miejscu, wciąż przestępowałem z nogi na nogę. Musiałem oddychać ustami, żeby zapewnić sobie dostateczną ilość powietrza.

O 11 przed południem don Juan znów się pojawił. Chciałem już się poderwać, ale to był jego sposób poruszania się. Udał się prosto na swoje miejsce i usiadł na swój dobrze mi znany sposób. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. To był don Juan! Podszedłem do niego i zamiast się rozgniewać, pocałowałem go w rękę. Byłem w tym momencie święcie przekonany, że to nie on zabawił się w aktora dążącego do dramatycznych efektów, tylko ktoś inny przybrał jego postać, chcąc mi zaszkodzić albo mnie zabić.

Rozmowa zaczęła się od spekulacji na temat tego, kim była owa niewiasta, która rzekomo zabrała mą duszę. Następnie don Juan poprosił mnie o szczegółową relację z moich przeżyć.

Opowiedziałem mu cały przebieg wydarzeń w sposób bardzo staranny. Śmiał się przez cały czas, jakby to były żarty. Kiedy skończyłem, powiedział:

– Spisałeś się znakomicie. Wygrałeś bitwę o swoją duszę. Sprawa jest jednak poważniejsza, niż przypuszczałem. Wczoraj w nocy nie dałbym za twoje życie pięciu groszy. Na szczęście, czegoś w przeszłości się nauczyłeś. Gdyby nie to, że zdobyłeś trochę wprawy, byłbyś już martwy, bo kimkolwiek była osoba, którą widziałeś zeszłej nocy, chciała cię wykończyć.

– Jak to się stało, don Juanie, że przyjęła ona twoją postać?

– To bardzo proste. Ona jest *diablero i* ma dobrego pomocnika po drugiej stronie. Ale udawanie mnie nie poszło jej zbyt dobrze i nie dałeś się nabrać na jej sztuczki.

– Czy pomocnik po drugiej stronie jest tym samym co sprzymierzeniec?

– Nie, pomocnik to wspomożyciel *diablero.* Jest to duch żyjący po drugiej stronie świata, który pomaga *diablero* w wywoływaniu choroby i bólu. Pomaga mu także zabijać.

– Czy *diablero też* może mieć sprzymierzeńca, don Juanie?

– To właśnie *diableros* mają sprzymierzeńców, nim jednak zdołają ich oswoić, zwykle zapewniają sobie pomocników w wypełnianiu swych celów.

– A ta kobieta, która przybrała twą postać, don Juanie? Czy ona ma tylko pomocnika, a nie sprzymierzeńca?

– Nie wiem, czy ma, czy nie ma sprzymierzeńca. Niektórzy ludzie nie lubią mocy sprzymierzeńca i wolą pomocnika. Oswoić sprzymierzeńca nie jest łatwo. Łatwiej uzyskać pomocnika po drugiej stronie.

– A czy myślisz, że ja mógłbym uzyskać pomocnika?

– Żeby się o tym przekonać, musisz się jeszcze wiele nauczyć. Znaleźliśmy się znowu w punkcie wyjścia, prawie tak samo jak owego dnia, kiedy się zjawiłeś po raz pierwszy i poprosiłeś mnie, bym ci opowiedział o Mescalito, a ja musiałem odmówić, bo byś nie zrozumiał. Ta druga strona to świat *diableros.* Sądzę, że najlepiej byłoby ci opowiedzieć o moich własnych doznaniach, tak jak to uczynił mój dobroczyńca. Był to *diablero i* wojownik; w swym życiu skłamał się ku sile i gwałtowności świata. Ja jednak nie jestem ani jednym, ani drugim. Taka jest moja natura. Od samego początku oglądałeś mój świat. Co się tyczy pokazania ci świata mego dobroczyńcy, mogę cię jedynie doprowadzić do jego wrót, a decyzję będziesz musiał podjąć sam, tak jak wyłącznie o własnych siłach będziesz musiał dążyć do jego poznania. Trzeba przyznać, że popełniłem błąd. Rozumiem już, że o wiele lepiej zacząć tak jak ja – samemu. O wiele łatwiej przychodzi wówczas dostrzeżenie, jak głęboka, a mimo to prosta jest różnica. *Diablero* to *diablero,* a wojownik to wojownik. Albo człowiek, który wkracza na kolejne ścieżki życia – to wszystko. Dziś nie jestem ani wojownikiem, ani *diablero.*

Ja wędruję tylko po ścieżkach obdarzonych sercem, po ścieżkach które mogą mieć serce. Po nich wędruję, by przemierzyć je do końca; to jedyne wyzwanie warte podjęcia. Oto którędy wędruję i patrzę, patrzę z zapartym tchem.

Przerwał. Jego twarz nabrała szczególnego wyrazu; wydawało się, że przepełnia go niezwykła powaga. Nie wiedziałem, o co pytać ani co powiedzieć. Ciągnął dalej:

– Chodzi zwłaszcza o to, żeby nauczyć się, jak dotrzeć do szczeliny pomiędzy światami. Istnieje bowiem szczelina pomiędzy dwoma światami: światem *diableros* i światem żywych ludzi. Istnieje miejsce, w którym oba te światy stykają się z sobą; tam właśnie jest szczelina. Otwiera się i zamyka jak drzwi trącane podmuchami wiatru. Trzeba wielkiego wysiłku woli, żeby tam dotrzeć. Należałoby stwierdzić, że człowiek musi wzbudzić w sobie nieodparte tego pragnienie, musi się poświęcić wyłącznie temu. Ale trzeba tego dokonać bez pomocy jakiejkolwiek potęgi bądź jakiegokolwiek człowieka. Nie wolno ustawać w tym dążeniu ani przestawać o tym rozmyślać, dopóki nie nadejdzie moment gotowości do odbycia takiej wyprawy. Zapowiedzią jego nadejścia jest uporczywe drżenie członków ciała i gwałtowne wymioty.

Człowiek nie może zwykle spać ani jeść, opuszczają go siły. Gdy konwulsje nie ustają, pojawia się stan gotowości, a szczelina pomiędzy światami ukazuje się tuż przed oczami, podobna do wielkich wrót falujących w dół i w górę. Gdy szczelina rozchyli się, człowiek powinien się .przez nią prześlizgnąć.

Trudno cokolwiek dojrzeć po drugiej stronie owej granicy. Wieje wiatr jak podczas burzy piaskowej. Wszędzie tworzą się wietrzne wiry. Człowiek musi wówczas podążyć w dowolnym kierunku. Podróż będzie trwała krótko lub długo, w zależności od siły jego woli. Ludzie obdarzeni silną wolą podróżują krótko, a słabi i niezdecydowani długo i niepewnie. Kiedy podróż dobiegnie końca, człowiek znajdzie się na swego rodzaju płaskowyżu. Niektóre jego cechy da się wyraźnie wyróżnić. Jest to płaski teren wznoszący się ponad ziemią. Można go rozpoznać po wietrze, który wieje tam z jeszcze większą siłą, smagając po twarzy i wypełniając całą okolicę rykiem. U szczytu płaskowyżu znajduje się wejście do innego świata. Oba światy odgrodzone są od siebie powłoką, przez którą umarli przechodzą bezgłośnie, my jednak musimy przebić się przez nią krzykiem. Wiatr przybiera na sile, jest to ten sam nieokiełzany wiatr, który szaleje na płaskowyżu. W miarę jak wiatrowi przybywa siły, człowiek także musi być coraz bardziej nieugięty, żeby mógł stoczyć z nim walkę. Wystarczy mu łagodne popchnięcie, wcale nie musi dać się zdmuchnąć aż na krańce tamtego świata.

Znalazłszy się po drugiej stronie, człowiek będzie musiał sporo się nawędrować. Jeśli będzie miał szczęście, znajdzie w pobliżu pomocnika, niedaleko od wejścia. Trzeba poprosić go o pomoc. Własnymi słowami trzeba poprosić go o to, żeby nauczył wędrowca, jak zostać *diablero.* Jeśli pomocnik wyrazi zgodę, natychmiast zabije podróżnika i udzieli trupowi nauki. Odbywając podróż samemu, możesz – jeśli szczęście będzie ci sprzyjało – odnaleźć wielkiego *diablero* w pomocniku, który cię zabije i będzie cię uczył. Najczęściej jednak napotyka się pośledniejszych *brujos,* którzy mogą nauczyć bardzo niewiele. Nikt z nas nie jest jednak władny odmówić. W najlepszym razie znajdziesz pomocnika rodzaju męskiego, wówczas zaś nie padniesz ofiarą *diablery,* która przysporzyłaby ci niewymownych cierpień. Wszystkie kobiety są takie. To jednak zależy wyłącznie od szczęścia, chyba że nasz dobroczyńca jest wielkim *diablero,* w tym bowiem wypadku będzie on miał wielu pomocników w tamtym świecie i skieruje wędrowca do któregoś z nich. Takim człowiekiem był mój dobroczyńca. Polecił mi spotkać się z jego pomocnikiem – duchem.

Po powrocie będziesz już innym człowiekiem. Odczujesz potrzebę częstych powrotów, żeby zobaczyć się z twym pomocnikiem. Będziesz także odczuwał potrzebę, żeby coraz bardziej oddalać się od wejścia, aż pewnego dnia odejdziesz za daleko i nie będziesz mógł wrócić. Niekiedy *diablero* może schwytać duszę, przepchnąć ją przez wejście i pozostawić pod strażą swego pomocnika, dopóki ten nie odbierze tej osobie całej siły woli. W innych wypadkach – na przykład w twoim – dusza należy do osoby o silnej woli i wtedy *diablero* może ją zamknąć w swoim kapciuchu, bo tak najłatwiej ją się nosi. W takich wypadkach jak twój problem może rozwiązać walka, w której *diablero* wszystko wygra lub wszystko utraci. Tym razem walkę przegrała i musiała wypuścić twą duszę. Gdyby wygrała, oddałaby ją na własność swemu pomocnikowi.

– Ale jak to się stało, że wygrałem?

– Nie ruszałeś się ze swego miejsca. Wystarczyło, żebyś oddalił się na cal, a nic by z ciebie nie zostało. Uznała, że najlepszym momentem do zadania ciosu będzie chwila, gdy się oddalę, i poszło jej nieźle. Nie powiodło się jej jednak dlatego, że nie wzięła pod uwagę, że masz gwałtowną naturę, a także dlatego, że pozostałeś na swym miejscu, a tam byłeś nie do pokonania.

– W jaki sposób zabiłaby mnie, gdybym się poruszył?

– Zadałaby ci cios podobny do uderzenia pioruna. Przede wszystkim jednak zabrałaby ci duszę, i to by cię wykończyło.

– Co teraz będzie, don Juanie?

– Nic. Odzyskałeś duszę. Stoczyłeś walkę, co się zowie. Wieleś się nauczył wczorajszej nocy.

Udaliśmy się następnie na poszukiwania rzuconego przeze mnie kamienia. Don Juan stwierdził, że gdybyśmy zdołali go odnaleźć, moglibyśmy mieć absolutną pewność, że jest po wszystkim. Szukaliśmy prawie trzy godziny. Wydawało mi się, że potrafię go rozpoznać, ale nie udało mi się.

Wczesnym wieczorem tego samego dnia don Juan zabrał mnie w góry otaczające jego dom. Udzielił mi tam wyczerpujących pouczeń o konkretnych technikach prowadzenia walki. W pewnej chwili – powtarzając niektóre zalecane przezeń posunięcia – znalazłem się sam. Wbiegłem po zboczu i zabrakło mi tchu. Oblał mnie obficie pot, mimo to było mi zimno. Kilkakrotnie zawołałem don Juana, ale nie odpowiedział, a ja zacząłem odczuwać osobliwy niepokój. Usłyszałem szelest dobiegający z poszycia, jakby ktoś się do mnie zbliżał. Nasłuchiwałem z wielką uwagą, ale owe odgłosy umilkły, następnie zaś rozległy się znowu, głośniej i bliżej. Przebiegła mi wówczas przez głowę myśl, że wydarzenia poprzedniej nocy się powtórzą. W ciągu kilku sekund ogarnął mnie strach zgoła niewyobrażalny. Szelest przybliżył się, a mnie zaczęły opuszczać siły. Chciałem krzyczeć, płakać, uciekać lub stracić przytomność. Kolana ugięły się pode mną; jęcząc, upadłem na ziemię. Nie widziałem nawet najbliższego otoczenia. Z tego, co nastąpiło później, pamiętam tylko tyle, że don Juan rozpalił ognisko i rozmasował mi skurczone mięśnie nóg i ramion.

Stan głębokiego wyczerpania nie opuszczał mnie przez parę godzin. Don Juan uznał później moją nieproporcjonalną reakcję za zjawisko normalne. Stwierdziłem, że nie potrafię logicznie wytłumaczyć, z jakiego powodu wpadłem w panikę, on zaś odrzekł, że to nie był strach przed śmiercią, lecz przed utratą duszy, co jest normalne u ludzi, którzy nie dążą nieugięcie do celu.

Na tych przeżyciach zakończyła się ostatnia lekcja, której udzielił mi don Juan. Postanowiłem nie pobierać u niego więcej lekcji. I choć nie przestał się odnosić do mnie jak mój dobroczyńca, jestem przekonany, że uległem pierwszemu z wrogów człowieka wiedzy.

CZĘŚĆ DRUGA: ANALIZA STRUKTURALNA

Przedstawiony poniżej schemat strukturalny, skonstruowany na podstawie danych na temat stanów rzeczywistości niezwykłej przedstawionych w pierwszej części niniejszej książki, stanowi próbę zademonstrowania wewnętrznej spójności i logiki nauk don Juana. Konstrukcja ta składa się, jak mniemam, z czterech podstawowych zespołów pojęć: 1) człowiek wiedzy; 2) człowiek wiedzy posiada sprzymierzeńca; 3) sprzymierzeniec kieruje się pewną regułą; 4) potwierdzenie owej reguły odbywa się na drodze specjalnego konsensu. Owe cztery zespoły pojęć zbudowane są z kolei z pewnej liczby idei pomocniczych; pełny schemat strukturalny obejmuje zatem wszystkie obdarzone istotnym znaczeniem pojęcia, które zostały mi przedstawione, nim przerwałem naukę. W pewnym sensie owe zespoły pojęciowe przedstawiają kolejne poziomy analizy, z których każdy stanowi modyfikację poprzedniego (w związku z procedurą potwierdzania specjalnego konsensu por. Dodatek A).

Ponieważ owa konstrukcja pojęciowa jest ściśle powiązana ze znaczeniem wszystkich tworzących ją zespołów pojęć, wydaje się, że należy w tym miejscu poczynić następujące wyjaśnienie: w całej niniejszej pracy znaczenie ujęte zostało tak, jak ja je pojmowałem. Pojęcia składające się na wiedzę don Juana, przedstawioną tak, jak to tutaj uczyniłem, nie mogą być uważane za dokładną replikę jego wypowiedzi. Pomimo całego wysiłku, jaki włożyłem w próbę jak najwierniejszych rekonstrukcji, na ich znaczeniu musiał odcisnąć się ślad moich wysiłków klasyfikacyjnych.

Układ nadany owym czterem podstawowym zespołom pojęć tworzących niniejszy schemat strukturalny stanowi jednak pewien ciąg logiczny, który wydaje się wolny od wpływu zewnętrznych metod klasyfikacji mego własnego pomysłu. Co się wszakże tyczy idei wchodzących w skład poszczególnych zespołów pojęć, nie sposób wykluczyć czynnika subiektywnego. W niektórych wypadkach elementy narzuconej z zewnątrz klasyfikacji są niezbędne w celu nadania opisywanym przez nie zjawiskom zrozumiałej postaci. Jeśli zaś taki właśnie cel postawiono tu sobie, to jedynym sposobem jego osiągnięcia było ustawiczne przeskakiwanie od domniemanych sensów oraz schematu klasyfikacyjnego nauczyciela do sensów i klasyfikacji rekonstruowanych przez ucznia.

PORZĄDEK OPERACYJNY

PIERWSZY ZESPÓŁ: CZŁOWIEK WIEDZY

Na samym wstępie mego terminowania don Juan oznajmił, że celem jego nauk jest “ukazanie, jak zostać człowiekiem wiedzy". Stwierdzenie to czynię punktem wyjścia. Jest oczywiste, że zostanie człowiekiem wiedzy stanowi cel operacyjny. Jest również oczywiste, że wszystkie części uporządkowanych nauk don Juana są tak pomyślane, by cel ten w taki czy inny sposób osiągnąć. Moje rozumowanie opiera się tu na założeniu, że w tej konkretnej sytuacji ów cel operacyjny, nazywany “człowiekiem wiedzy", musi stanowić niezbędny warunek wytłumaczenia określonego “porządku operacyjnego". Wolno zatem wyciągnąć z tego wniosek, że aby zrozumieć ów

operacyjny porządek, trzeba zrozumieć przypisany mu cel: pojęcie człowieka wiedzy.

Ustaliwszy, że “człowiek wiedzy" jest pierwszym strukturalnym zespołem pojęciowym, mogłem dokonać bez wahania następującego uszeregowania siedmiu wchodzących w jego skład pojęć: 1) zostanie człowiekiem wiedzy jest kwestią nauki; 2) człowiek wiedzy nieugięcie dąży do celu; 3) człowieka wiedzy charakteryzuje jasność umysłu; 4) zostanie człowiekiem wiedzy to kwestia wytężonej pracy; 5) człowiek wiedzy jest wojownikiem; 6) zostanie człowiekiem wiedzy to proces ciągły; 7) człowiek wiedzy posiada sprzymierzeńca.

Owych siedem pojęć tworzy wątki tematyczne przewijające się w naukach i określające charakter całej wiedzy don Juana. O ile operacyjnym celem jego nauk jest ukształtowanie człowieka wiedzy, o tyle wszystko, czego uczy, zabarwione jest specyficznymi cechami charakterystycznymi, znamionującymi każdy z owych siedmiu wątków. Wspólnie tworzą one pojęcie “człowieka wiedzy" w znaczeniu określonego sposobu postępowania, stanowiącego punkt końcowy długotrwałego i niebezpiecznego treningu. “Człowiek wiedzy" nie stanowi wszakże podręcznika zachowań, lecz jest zespołem zasad obejmujących wszelkie niecodzienne okoliczności związane ze zdobywaniem wiedzy.

Każdy z owych siedmiu wątków tematycznych składał się z kolei z rozmaitych innych pojęć, które dotyczą różnych ich aspektów.

Z wypowiedzi don Juana można było wyciągnąć wniosek, że człowiek wiedzy może być *diablero,* czyli czarnoksiężnikiem; wyznał, że był nim jego nauczyciel, on sam też nim był w przeszłości, choć niektóre aspekty czarno-księstwa przestały go interesować. Ponieważ celem jego nauk jest ukazanie, jak zostać człowiekiem wiedzy, a jego wiedza sprowadza się do tego, jak być *diablero,* mógł istnieć wewnętrzny związek pomiędzy człowiekiem wiedzy i *diablero.* Jakkolwiek don Juan nigdy nie używał obu tych określeń wymiennie, prawdopodobieństwo występowania takiego związku zwiększało możliwość, że pojęcie "człowieka wiedzy" wraz z jego siedmioma wątkami tematycznymi i ich elementami składowymi wyczerpuje teoretycznie wszystkie możliwe sytuacje, jakie mogą zaistnieć w trakcie stawania się *diablero.*

Aby zostać człowiekiem wiedzy, trzeba podjąć naukę

Z pierwszego wątku tematycznego wynika, że nauka stanowi jedyny sposób zostania człowiekiem wiedzy, to zaś wiąże się z kolei z podjęciem zdecydowanej próby osiągnięcia określonego celu. Zostanie człowiekiem wiedzy jest produktem końcowym pewnego procesu w odróżnieniu od natychmiastowego osiągnięcia wiedzy w wyniku aktu łaski bądź interwencji sił nadprzyrodzonych. Możliwość nauczenia się, jak zostać człowiekiem wiedzy, gwarantuje istnienie określonego systemu nauczania prowadzącego do osiągnięcia tego celu.

Pierwszy wątek składa się z trzech elementów: 1) nie istnieją żadne jawne wymogi będące warunkiem zostania człowiekiem wiedzy; 2) istnieją pewne wymogi ukryte; 3) o tym, kto może podjąć naukę pozwalającą zostać człowiekiem wiedzy, decyduje bezosobowa potęga.

Pozornie nie istnieją żadne jawne warunki wstępne decydujące o tym, kto jest, a kto nie jest predestynowany do podjęcia nauki sposobów zostania człowiekiem wiedzy. Teoretycznie zadania tego mógłby się podjąć każdy, kto tylko by tego zapragnął. W praktyce jednak istnieje sprzeczność pomiędzy tym stanowiskiem a faktem że don Juan dokonuje jako nauczyciel wyboru swych uczniów.

W istocie każdy działający w tych okolicznościach nauczyciel dobierałby sobie uczniów, konfrontując ich z pewnymi ukrytymi warunkami wstępnymi. Konkretny charakter tych wstępnych wymogów nie został nigdy sformalizowany; don Juan napomknął jedynie, że istnieją pewne wskazówki, o których należy pamiętać, zastanawiając się nad ewentualnym uczniem. Wskazówki owe mają ujawnić, czy kandydat posiada pewną dyspozycję charakterystyczną, którą don Juan nazywa "nieugiętym dążeniem do celu", czy też jej nie posiada.

Niemniej jednak ostateczna decyzja w sprawach dotyczących możliwości zostania człowiekiem wiedzy należy do pewnego potężnego czynnika bezosobowego, znanego don Juanowi, lecz pozostającego poza sferą jego aktów wolicjonalnych. Owej bezosobowej potędze przypisuje się zdolność wskazania właściwej osoby, co czyni ona, pozwalając tej osobie dokonać jakiegoś niezwykłego wyczynu bądź wytwarzając wokół niej jakąś osobliwą sytuację. Stąd też nigdy nie zachodzi konflikt pomiędzy brakiem jawnych wymogów wstępnych a istnieniem takich wymogów ukrytych.

Człowiek wyłowiony w ten sposób spośród innych zostaje terminatorem. Don Juan nazywa go *escogido,* "wybrańcem". Być *escogido* znaczy jednak coś więcej, niż być zwykłym uczniem. *Escogido,* tylko dlatego, że został wybrany przez bezosobową moc, uważany jest za kogoś różniącego się od zwykłych ludzi. Uważa się mianowicie, że już otrzymał on pewną minimalną ilość mocy, której przybędzie mu w trakcie nauki.

Nauka jednak jest procesem ciągłych poszukiwań; zakłada się, że moc, która powzięła początkową decyzję – lub też jakaś moc jej pokrewna – podejmie podobne decyzje także w kwestii, czy *escogido* może kontynuować naukę, czy też należy go uznać za pokonanego. Decyzje te przybierają postać znaków wróżebnych, które pojawiają się w dowolnym momencie nauki. Wszelkie niecodzienne okoliczności związane z postacią ucznia uważa się również za znaki tego rodzaju.

Człowiek wiedzy nieugięcie dąży do celu

Myśl, że od człowieka wiedzy wymagane jest nieugięte dążenie do celu, wiąże się z uskutecznianiem aktów woli. To, że nieugięcie dąży się do celu, oznacza, iż mocą woli wciela się w życie niezbędny sposób postępowania, nie wykraczając nigdy ani o cal poza granice zdobywanej wiedzy. Człowiek wiedzy potrzebuje nieugiętej woli, by sprostać wymogom, jakie nakłada na niego każdy czyn spełniany przezeń w ramach zdobywanej wiedzy.

Wymogi, z jakimi wiążą się wszystkie akty tego rodzaju, a także to, że nie dopuszczają one żadnych odstępstw, a ich charakter jest z góry przesądzony – bez wątpienia nie są dla nikogo niczym miłym, z której to przyczyny jedynym jawnym warunkiem wstępnym stawianym ewentualnemu

uczniowi jest minimum nieugiętości w dążeniu do celu.

Na nieugięte dążenie do celu składają się: 1) umiarkowanie; 2) roztropność; 3) brak swobody innowacyjnej.

Od człowieka wiedzy wymaga się umiarkowania, gdyż znakomita większość czynów o charakterze obowiązkowym wiąże się z sytuacjami bądź zdarzeniami wykraczającymi poza ramy codziennego życia, bądź też nietypowymi w zwyczajnym działaniu, a człowiek, który ma je spełniać, musi zdobyć się na niezwykły wysiłek, ilekroć podejmuje działanie. Wynika z tego, że zdolność do podejmowania tak wielkiego wysiłku można posiąść, zachowując umiarkowanie we wszelkich innych działaniach nie mających bezpośredniego związku z tymi, których charakter przesądzony jest z góry.

Ponieważ wszystkie czyny ustalone są z góry i mają charakter obowiązkowy, człowiek wiedzy musi wykazać się roztropnością. Nie chodzi przy tym tylko o zdrowy rozsądek, lecz także o umiejętność dokonania oceny okoliczności towarzyszących każdej sytuacji wymagającej działania. Oceny takiej można dokonać na podstawie zebranych razem wszystkich elementów nauk, które należy traktować jako logiczne zasady postępowania stojące do naszej dyspozycji w chwili, gdy tylko trzeba przystąpić do działania. Instrukcje tego rodzaju podlegają zatem ustawicznym zmianom, w miarę jak wzrasta liczba przyswajanych sobie elementów nauki, zawsze jednak wynika z nich pewność, że każdy *czyn* obowiązkowy, który należy spełnić, jest w istocie najwłaściwszy w danej sytuacji.

W związku z owym z góry powziętym i obowiązkowym charakterem działania przymus spełnienia określonych czynów oznacza brak swobody innowacyjnej. System, jakim don Juan posługuje się, przekazując wiedzę, jest tak dobrze ugruntowany, że wyklucza jakiekolwiek możliwości jego zmienienia.

Człowieka wiedzy charakteryzuje jasność umysłu

Jasność umysłu stanowi ten wątek tematyczny, który sprawia, że ma się poczucie zdążania w określonym kierunku. To, że wszystkie czyny są z góry ustalone, oznacza, że orientacja w zakresie przekazywanej wiedzy jest również z góry przesądzona, dlatego też jasność umysłu obdarza wyłącznie poczuciem, że podąża się w określonym kierunku. Nieustannie potwierdza ona zasadność obranego kursu na podstawie składających się na nią trzech idei: 1) swobody poszukiwania ścieżki; 2) znajomości określonego celu oraz 3) elastyczności.

Uważa się, że człowiek ma swobodę poszukiwania swej ścieżki. Wolność wyboru nie staje w sprzeczności z brakiem swobody innowacyjnej; między oboma pojęciami nie zachodzi konflikt ani tez nie kłócą się one z sobą. Swoboda poszukiwania ścieżki wiąże się z wolnością wyboru spośród rozmaitych możliwości działania, równych sobie pod względem skuteczności i możliwości zastosowania. Kryterium wyboru stanowi wyższość jednej możliwości nad inną, o czym przesądzają preferencje danego człowieka. W istocie rzeczy swoboda w wyborze ścieżki obdarza poczuciem ukierunkowania na podstawie artykulacji osobistych skłonności.

Innym sposobem wywołania poczucia ukierunkowania jest sformułowanie sądu, iż każde działanie podejmowane w ramach przekazywanej wiedzy ma na celu coś konkretnego. Od człowieka wiedzy wymaga się przeto jasności umysłu, ażeby mógł on zharmonizować konkretne powody swego działania z konkretnymi celami przyświecającymi wszelkiemu działaniu. Znajomość konkretnych celów każdego działania jest wskazówką, której człowiek wiedzy używa w ocenie okoliczności towarzyszących jakiejkolwiek potrzebie działania.

Inny aspekt jasności umysłu wyraża się w przekonaniu, że człowiek wiedzy – aby z tym lepszym skutkiem wykonać swe obowiązkowe czynności – musi zaangażować wszystkie zasoby, jakie dzięki naukom otrzymał we władanie. Na tym polega idea giętkości. Rodzi ona poczucie ukierunkowania, wywołując u człowieka uczucie, że jest elastyczny i zaradny. Przymusowy charakter wszystkich czynności wywoływałby wrażenie sztywności i jałowości, gdyby nie owo wyobrażenie, że człowiek wiedzy musi być elastyczny.

Aby zostać człowiekiem wiedzy, potrzeba wytężonej pracy

Człowiek wiedzy musi posiadać lub też rozwinąć u siebie w trakcie treningu wszechstronną zdolność do wysiłku. Don Juan twierdzi, że aby zostać człowiekiem wiedzy, potrzeba wytężonej pracy. W pojęciu tym zawiera się zdolność 1) do dramatycznego wysiłku; 2) do osiągnięcia skuteczności oraz 3) do sprostania wyzwaniu.

Na ścieżce człowieka wiedzy na plan pierwszy wysuwa się z pewnością dramatyzm, wymagający szczególnego wysiłku w odpowiedzi na sytuacje stawiające człowieka wiedzy wobec dramatycznych wyzwań. Obierając za przykład zachowanie don Juana, można by na pierwszy rzut oka odnieść

wrażenie, że w jego wypadku ów dramatyczny wysiłek sprowadza się wyłącznie do jego maniackiego upodobania do błazenady. Jego dramatyczny wysiłek jest wszakże zawsze czymś znacznie więcej niż zabawą w aktora; stanowi on raczej akt głębokiej wiary. Poprzez dramatyczny wysiłek nadaje on wszystkim wykonywanym przez siebie czynnościom charakter osobliwie nieodwołalny, wskutek czego na scenie, na której dokonuje on swoich czynów, śmierć jest jednym z głównych bohaterów. Jest zrozumiałe, że w trakcie nauki należy się poważnie liczyć z możliwością śmierci, a ta z powodu niebezpiecznego charakteru wszystkiego, z czym styka się człowiek wiedzy, nic więc dziwnego, że dramatyczny wysiłek płynący z pewności, że śmierć to aktor wszędobylski, jest czymś więcej niż błazenadą.

Z wysiłkiem wiązał się nie tylko dramatyzm, lecz także potrzeba skuteczności. Wysiłek musi być skuteczny; powinien charakteryzować się odpowiednim ukierunkowaniem oraz przydatnością. Widmo zagrażającej śmierci rodzi nie tylko dramatyzm nadający wszystkiemu odpowiednią wagę, lecz także pewność, że każde działanie wiąże się z walką o przetrwanie, jeśli zaś wysiłek nie spełniałby wymogu skuteczności, musiałby prowadzić do zagłady.

Z wysiłkiem wiąże się także idea wyzwania, czyli aktu pozwalającego sprawdzić oraz udowodnić, czy dana osoba potrafi spełnić właściwy czyn, nie wykraczając poza ściśle wytyczone granice wiedzy.

Człowiek wiedzy jest wojownikiem

Egzystencja człowieka wiedzy stanowi pasmo nieustannych zmagań, wyobrażenie zaś, zgodnie z którym uważa się on za wojownika wiodącego życie wojownika, dostarcza sposobów zapewnienia sobie emocjonalnej równowagi. Na pojęcie człowieka wojującego składają się cztery elementy: 1) człowiek wiedzy musi odczuwać szacunek; 2) musi odczuwać lęk; 3) musi mieć oczy szeroko otwarte; 4) musi ufać we własne siły.

Bycie wojownikiem stanowi zatem pewną formę samodyscypliny, kładącą nacisk na indywidualne osiągnięcia; a mimo to postawę tę znamionuje zredukowanie interesu osobistego do minimum, jako że w zdecydowanej większości przypadków interesu osobistego nie sposób pogodzić z rygorem koniecznym przy spełnianiu wszelkich ustalonych z góry i obowiązkowych czynności.

Na człowieku wiedzy występującym w roli wojownika spoczywa obowiązek odnoszenia się z należytym szacunkiem do wszystkiego, czym się zajmuje; wszystko, co wiąże się z jego wiedzą, powinien traktować z głębokim szacunkiem, a tym samym uważać za obdarzone głębokim sensem. Poczucie respektu równa się tutaj właściwej ocenie własnego, pozbawionego znaczenia potencjału w konfrontacji z Nieznanym.

Jeśli człowiek myśli tymi kategoriami, w sposób logiczny rozciąga pojęcie szacunku na własną osobę, ponieważ o sobie nie wiemy tak samo nic jak o Nieznanym. Kultywowanie tak poważnie pojmowanego uczucia szacunku czyni z przyswajania sobie owej specyficznej wiedzy, która w przeciwnym razie mogłaby się wydawać absurdem, nadzwyczaj racjonalną alternatywę.

Z życiem wojownika wiąże się także konieczność doświadczania i starannej analizy uczucia lęku. Ideał polega na tym, by pomimo lęku nie przerywać wykonywanych przez siebie czynności. Istnieje założenie, że lęk można pokonać i że w życiu człowieka wiedzy nadchodzi moment jego przezwyciężenia, wpierw jednak trzeba sobie ów lęk uświadomić i niezwłocznie zanalizować to uczucie. Don Juan twierdzi, że strach można pokonać, jedynie z nim walcząc.

Człowiek wiedzy powinien także – jako wojownik – mieć oczy szeroko otwarte. Człowiek wojujący musi zachowywać czujność, ażeby jego uwagi nie uszły czynniki związane z dwoma nadrzędnymi aspektami świadomości: 1) ze świadomością celu oraz 2) ze świadomością oczekiwanych zmian.

Świadomość celu polega na uświadomieniu sobie czynników wiążących się z reakcją zachodzącą pomiędzy konkretnym celem jakiejkolwiek obowiązkowej czynności a własnym celem działania. Ponieważ wszelkie czynności obowiązkowe posiadają określony cel, człowiek wiedzy musi umieć w każdym momencie zestawić określony cel każdego obowiązkowego czynu z tym celem, który przyświecał w myślach jego pragnieniu działania.

Za sprawą uświadomienia sobie owej reakcji człowiek wiedzy jest także zdolny uświadomić sobie to, co uważa się za oczekiwane zmiany. To, co nazywam tu “świadomością oczekiwanych zmian", odnosi się do pewności, że w każdym momencie człowiek potrafi ustalić wszystkie istotne zmienne, jakie implikuje relacja zachodząca pomiędzy konkretnym celem każdego działania a jego własnym powodem działania. Zakłada się, że dzięki świadomości oczekiwanych zmian człowiek potrafi odkryć najdrobniejsze zmiany. Owa świadomość zachodzących zmian pozwala rozpoznać i zinterpretować znaki wróżebne i inne niezwykłe wydarzenia.

Ostatni aspekt właściwego postępowania wojownika wyraża się potrzebą wiary we własne siły, to znaczy przekonaniem, że konkretny cel podjętego działania nie może być inny, bo tylko takie działanie jest możliwe w danej sytuacji. Gdyby nie wiara we własne siły, człowiek nie zdołałby spełnić jednego z najważniejszych celów nauki: nie potrafiłby uczynić ze swej wiedzy potęgi.

Proces stawania się człowiekiem wiedzy nigdy się nie kończy

Los człowieka wiedzy nie jest przesądzony raz na zawsze. Nigdy nie można mieć pewności, że przebywszy kolejne, ustalone z góry etapy poznawania wiedzy, zostanie się człowiekiem wiedzy. Można domniemywać, że funkcja tych etapów sprowadza się wyłącznie do ukazania sposobu zostania człowiekiem wiedzy. Jest to więc zadanie, którego nie da się wykonać w pełni, a raczej ciągły proces obejmujący: 1) przekonanie, że zabiegi w celu zostania człowiekiem wiedzy należy ponawiać; 2) przekonanie o ludzkiej nietrwałości oraz 3) przekonanie, że należy kroczyć ścieżką obdarowaną sercem.

Potrzeba ciągłego wznawiania zabiegów w celu zostania człowiekiem wiedzy znajduje wyraz w wątku czterech symbolicznych wrogów, których napotyka na ścieżce wiedzy (strach, jasność umysłu, moc i starość). Wznowienie tych zabiegów wiąże się z potrzebą uzyskania i zachowania samokontroli. Człowiek wiedzy z prawdziwego zdarzenia powinien stoczyć bitwę z każdym z owych czterech wrogów po kolei, co ma trwać do ostatnich chwil jego życia, taki jest bowiem warunek czynnego zaangażowania się w proces stawania się człowiekiem wiedzy. Jednak pomimo rzeczywistego wznowienia zabiegów wynik walki jest z góry przesądzony – musi on ulec ostatniemu ze swych symbolicznych wrogów. Na tym polega przekonanie o nietrwałości.

Wyrównaniem owego braku, którym jest ludzka nie-trwałość, jest wyobrażenie, że należy kroczyć “ścieżką obdarzoną sercem". Ścieżka serca to wyrażone na sposób metaforyczny twierdzenie, że pomimo cechującej go nietrwałości człowiek nie powinien przerywać marszu; powinien znajdować zadowolenie i spełniać tkwiące w nim możliwości w akcie wyboru alternatywy obciążonej największą odpowiedzialnością i całkowitej z nią identyfikacji.

Syntezę przesłanek całej swej wiedzy zawarł don Juan w metaforze, iż dla niego istotne jest to, by odnaleźć ścieżkę, która ma serce, i przemierzyć ją do końca; to ma oznaczać, że wystarczy mu identyfikacja z alternatywą obciążoną odpowiedzialnością. Mógł poprzestać na samej podróży; żywienie nadziei na dotarcie do jakiegoś stałego miejsca wykracza poza granice jego wiedzy.

DRUGI ZESPÓŁ: CZŁOWIEK WIEDZY MA SPRZYMIERZEŃCA

Wyobrażenie, że człowiek wiedzy posiada sprzymierzeńca, jest najważniejszym z siedmiu wątków składowych, tylko ono bowiem jest niezbędne do objaśnienia, czym jest człowiek wiedzy. Wedle schematu kwalifikacyjnego don Juana człowiek wiedzy posiada sprzymierzeńca, przeciętny człowiek go nie posiada i właśnie na tym polega różnica pomiędzy człowiekiem wiedzy a zwykłymi ludźmi.

Don Juan zdefiniował sprzymierzeńca jako “moc zdolną przenieść człowieka poza jego własne granice", co oznacza, że sprzymierzeniec jest potęgą umożliwiającą nam wykraczanie poza obręb zwykłej rzeczywistości. Z tego zatem, że posiada on sprzymierzeńca, wynika, iż posiada moc, sam zaś fakt, że człowiek wiedzy posiada sprzymierzeńca, stanowi samoistny dowód osiągnięcia operacyjnego celu pobieranych nauk. Ponieważ ów cel polega na tym, żeby ukazać, jak zostać człowiekiem wiedzy, człowiek wiedzy natomiast posiada sprzymierzeńca, można sformułować operacyjny cel nauk don Juana w ten sposób, że wskazują one również, jak pozyskać sprzymierzeńca. Pojęcie “człowieka wiedzy", ujmowane jako filozoficzne ramy, w których porusza się wojownik, ma sens dla każdego, kto chce żyć w ich obrębie jedynie wówczas, gdy posiada sprzymierzeńca.

Sklasyfikowałem ten ostatni wątek wchodzący w zakres pojęcia “człowieka wiedzy" jako drugą podstawową jednostkę strukturalną z powodu jej niezbędności w wyjaśnieniu, czym jest człowiek wiedzy.

W naukach don Juana występują dwaj sprzymierzeńcy. Pierwszy z nich zawarty jest w roślinach z rodzaju *Datura,* zwanych popularnie bieluniem. Don Juan posługuje się jedną z hiszpańskich nazw owej rośliny – *yerba del diablo* (czarcie ziele), nazywając w ten sposób owego sprzymierzeńca i twierdząc, że zawiera go dowolny gatunek *Datura.* Każdy czarownik powinien jednak wyhodować swe własne okazy, własne nie tylko w tym znaczeniu, że będą jego prywatną własnością, lecz także w tym, że można je identyfikować z jego osobą.

Okazy hodowane przez don Juana należą do gatunku *Datura inoxia;* wydaje się jednak, że brak jakiegokolwiek związku pomiędzy tym faktem a różnicami, jakie mogą występować między oboma

dostępnymi dla niego gatunkami bielunia.

Drugi sprzymierzeniec zawarty jest w grzybie, który, jak stwierdziłem, należy do rodzaju *Psilocybe;* jest to najprawdopodobniej *Psilocybe mexicana,* ale jest to klasyfikacja jedynie prowizoryczna, nie byłem bowiem w stanie przyrządzić preparatu do badań laboratoryjnych.

Don Juan nazywa swego sprzymierzeńca *humito* (dymek), sugerując, że jest on zbieżny z dymem bądź mieszanką do palenia, którą przyrządza z owego grzyba. O dymie mówi się tak, jakby rzeczywiście coś zawierał, aczkolwiek don Juan stwierdził jasno, że moc przypisana została tylko jednemu gatunkowi *Psilocybe,* należy zatem zwracać specjalną uwagę podczas zbierania, aby nie pomieszać go z którymś z tuzina innych gatunków tego samego rodzaju rosnących w tym samym miejscu.

Ujmowane jako posiadające znaczenie pojęcie sprzymierzeńca obejmuje następujące wyobrażenia i ich rozwidlenia: 1) sprzymierzeniec pozbawiony jest kształtu; 2) postrzega się go jako pewną jakość; 3) daje się oswoić; 4) trzyma się pewnej reguły.

Sprzymierzeniec pozbawiony jest kształtu

Uważa się, że sprzymierzeniec jest czymś, co istnieje poza człowiekiem i niezależnie od niego; choć jednak jest to twór odrębny, uważa się, że pozbawiony jest kształtu. Uznałem "bezkształtność" za stan będący przeciwieństwem "posiadania określonego kształtu"; dokonałem owego rozróżnienia z uwagi na to, że istnieją inne siły podobne do sprzymierzeńca, a posiadające wyraźnie dającą się postrzec formę. Bezkształtność sprzymierzeńca oznacza, że nie posiada on wyraźnego bądź też mgliście zarysowanego, a nawet dającego się w ogóle zauważyć kształtu, z czego wynika, że sprzymierzeniec jest zawsze niewidzialny.

W sprzymierzeńcu można dopatrzyć się pewnych cech

Prócz bezkształtności inną cechę charakteryzującą sprzymierzeńca wyraża przekonanie, że jest on postrzegalny jedynie jako pewna jakość zmysłowa; że zaś jest on pozbawiony kształtu, jego obecność jest rozpoznawalna jedynie po wpływie, jaki wywiera na czarownika. Niektóre z przejawów owego wpływu don Juan klasyfikuje jako posiadające cechy antropomorficzne. Przedstawia on sprzymierzeńca jako obdarzonego naturą istoty ludzkiej, z czego wynika, że pojedynczy czarownik jest w stanie dokonać wyboru najodpowiedniejszego sprzymierzeńca, porównując własny charakter z rzekomo antropomorficznymi cechami charakteru sprzymierzeńca.

Obaj sprzymierzeńcy, których dotyczą nauki, zostali przedstawieni przez don Juana tak, jakby wyposażeni byli w zestawy cech przeciwstawnych.

W systemie zarysowanym przez don Juana sprzymierzeniec zawarty w roślinie *Datura inoxia* posiada dwie cechy: podobny jest do kobiety i jest dawcą zbytecznej mocy. Obie te cechy uważa on za bardzo niepożądane. Jego wypowiedzi na ten temat są jednoznaczne, podkreśla on jednak równocześnie, że sąd wartościujący, który wygłaszał w tej kwestii, nosi znamiona czysto jednostkowego wyboru.

Najbardziej istotną cechą jest z pewnością to, co don Juan nazywa kobiecą naturą tej rośliny. To jednak, że przedstawia ją jako taką właśnie, nie oznacza, że ów sprzymierzeniec jest jakąś żeńską potęgą. Wydaje się, że owa analogia z kobietą stanowi jedynie metaforyczny sposób definiowania tego, co don Juan uważa za negatywne skutki działania owego sprzymierzeńca. Zresztą sama hiszpańska nazwa rośliny – *yerba* – z racji swego gramatycznego rodzaju żeńskiego mogła przyczynić się do powstania owej kobiecej analogii. Tak czy owak, personifikacji sprzymierzeńca, który przybiera postać posiadającej kobiece cechy mocy, przypisuje się następujące cechy antropomorficzne: 1) zaborczość; 2) gwałtowność; 3) nieobliczalność oraz 4) szkodliwość działania.

Don Juan sądzi, że sprzymierzeniec ów posiada zdolność zniewalania ludzi, którzy stali się jego zwolennikami; interpretuje tę zdolność jako przejaw zaborczości, którą przypisuje kobiecej naturze. Sprzymierzeniec zagarnia swych zwolenników w ten sposób, że usidla ich swą mocą, wywołuje poczucie uzależnienia, obdarza siłą fizyczną oraz dobrym samopoczuciem.

Uważa się także, że ów sprzymierzeniec jest gwałtownikiem. Wyrazem jego kobiecej agresywności jest zmuszanie zwolenników do uczestnictwa w niszczących aktach brutalnej przemocy. Ta właśnie cecha jego charakteru sprawia, że najbardziej odpowiada on ludziom z natury zapalczywym, którzy pragną odnaleźć w przemocy klucz do osobistej potęgi.

Inną kobiecą cechą sprzymierzeńca jest nieobliczalność. Według don Juana oznacza to, że działaniu sprzymierzeńca zawsze brak logiki, podlega ono chaotycznym zmianom, których nie sposób

przewidzieć. Chcąc przeciwdziałać owemu brakowi konsekwencji, czarownik musi podjąć żmudny i dramatyczny wysiłek zapanowania nad każdym szczegółem swych poczynań. Wszelki niekorzystny i nie dający się wytłumaczyć błędem lub niezręcznością obrót wydarzeń interpretowany jest jako skutek owej typowo kobiecej nieobliczalności sprzymierzeńca.

Z uwagi na jego zaborczość, gwałtowność i nieobliczalność uważa się, że w sumie sprzymierzeniec ów wywiera szkodliwy wpływ na swych zwolenników. Zdaniem don Juana sprzymierzeniec ten świadomie dąży do przekazania kobiecych cech swej natury i dążenia te udaje mu się spełnić.

Oprócz jednak swej kobiecej natury sprzymierzeniec ów posiada jeszcze jeden aspekt, również postrzegany jako pewna jakość: jest dawcą zbytecznej mocy. Don Juan kładzie na to wielki nacisk, podkreślając, że jako lojalny dawca mocy sprzymierzeniec ów nie ma sobie równych. Ma on jakoby obdarzać swych zwolenników fizyczną siłą, śmiałością i zdolnością dokonywania niezwykłych wyczynów. Wszelako w opinii don Juana tak niepomierna potęga jest zbyteczna; twierdzi, że w każdym razie jemu nie jest już ona do niczego potrzebna. Niemniej jednak dostrzega w niej silną zachętę dla przyszłych ludzi wiedzy, jeśli występowałaby u nich wrodzona skłonność do dążenia ku mocy.

Don Juan powtarza natomiast z uporem, że jego zdaniem sprzymierzeniec zawarty w grzybie *Psilocybe mexicana* posiada najwłaściwsze i najkorzystniejsze cechy charakteru: 1) ma męską naturę oraz 2) jest dawcą ekstazy.

Definiuje tego sprzymierzeńca jako antytezę tego, który zawarty jest w roślinach z rodzaju *Datura.* Uważa, że jest podobny do mężczyzny, męski. Owa cechująca go męskość wydaje się analogiczna do kobiecości cechującej drugiego sprzymierzeńca, nie jest on zatem potęgą rodzaju męskiego, don Juan opisuje jednak skutki jego działania w taki sposób, który wedle niego odpowiada zachowaniu mężczyzny. Również w tym wypadku męski rodzaj gramatyczny hiszpańskiego wyrazu *humito* może nasuwać analogię z mocą męską.

Antropomorficzne cechy owego sprzymierzeńca, uznawane przez don Juana za odpowiednie dla człowieka, przedstawiają się, jak następuje: 1) nie ponoszą go namiętności; 2) jest łagodny; 3) jego zachowanie daje się przewidzieć oraz 4) wywiera dobroczynne skutki.

Don Juanowe wyobrażenie o nie powodującej się namiętnościami sile tego sprzymierzeńca wyraża się w przekonaniu, że jest uczciwe, iż właściwie nigdy nie żąda on od swych zwolenników czynów ekstrawaganckich. Nie zamienia on nigdy ludzi w niewolników, ponieważ nie nęci ich łatwą potęgą, przeciwnie – *Humito* twardo sobie poczyna ze swymi zwolennikami.

To, że ów sprzymierzeniec nie prowokuje jawnie gwałtownych zachowań, przydaje mu łagodności. Mniema się, że wywołuje on uczucie bezcielesności, w związku z czym don Juan definiuje go jako opanowanego, łagodnego i obdarzającego spokojem.

Można także przewidzieć jego zachowanie. Don Juan przedstawił skutki oddziaływania sprzymierzeńca na jego zwolenników – co pokrywa się z doznaniami każdego człowieka z osobna – jako trwałe i niezmienne; innymi słowy, skutki te niczym się nie różnią, a jeśli różnią się, to tak nieznacznie, że uważane są za identyczne.

W następstwie tego, że jest on beznamiętny, łagodny i przewidywalny, uważa się, że sprzymierzeniec ten posiada jeszcze jedną męską cechę: wywiera dobroczynny wpływ na charakter swych zwolenników. Owa męskość *Humito* wywołuje u nich stan niezwykle rzadki; emocjonalną równowagę. Don Juan sądzi, że pod przewodem tego sprzymierzeńca człowiek może zapanować nad swym sercem i osiągnąć wewnętrzną stabilność. Za ukoronowanie wszystkich opisanych powyżej męskich cech uznawana jest zdolność wywoływania ekstazy. Ten aspekt natury sprzymierzeńca postrzegany jest również jako pewna jakość. Uważa się, że *Humito* może zabrać swoim zwolennikom ciało, co ma im umożliwić wykonywanie specjalnego rodzaju czynności związanych ze stanem bezcielesności. Don Juan utrzymuje zaś, jakoby czynności owe niechybnie powodować musiały stan ekstazy. Sprzymierzeniec zawarty w *Psilocybe* nadaje się idealnie dla ludzi wykazujących wrodzone usposobienie kontemplacyjne.

Sprzymierzeniec daje się oswoić

Wyobrażenie, zgodnie z którym sprzymierzeniec daje się oswoić, prowadzi do wniosku, że jest on mocą możliwą do wykorzystania. Don Juan tłumaczy to przyrodzoną sprzymierzeńcowi możliwością użytecznej stosowalności; uważa, że oswoiwszy sprzymierzeńca, czarownik obejmuje we władanie jego specyficzną *moc,* co oznacza, że może on się nią posługiwać. Owa możliwość oswojenia

sprzymierzeńca przeciwstawiona została innym, niezdolnym do tego, mocom, które podobne są do sprzymierzeńca z tym tylko wyjątkiem, że nie da się nimi manipulować.

Manipulowanie sprzymierzeńcem ma dwa aspekty: 1) sprzymierzeniec jest wehikułem; 2) sprzymierzeniec jest pomocnikiem.

Sprzymierzeniec jest wehikułem w tym sensie, że służy do przenoszenia czarownika w sferę rzeczywistości niezwykłej. Co się tyczy wiedzy posiadanej przeze mnie, mógłbym stwierdzić, że jako wehikuły służyli obaj sprzymierzeńcy, choć implikacje owej funkcji były w każdym wypadku odmienne.

Ogólnie niepożądane cechy sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia* – zwłaszcza zaś jego nieobliczalność – czynią zeń wehikuł niebezpieczny, na którym nie można polegać. Jedynym możliwym zabezpieczeniem przed cechującym go brakiem konsekwencji jest rytuał. Nawet on jednak nie jest w stanie zagwarantować stabilności sprzymierzeńca; czarownik używający go jako wehikułu musi przed przystąpieniem do swych czynności czekać na znak wróżebny.

Natomiast sprzymierzeniec zawarty w *Psilocybe mexicana* uważany jest – wskutek swych cennych właściwości – za stabilny i przewidywalny w reakcjach wehikuł. W rezultacie przewidywalności jego zachowania czarownik korzystający zeń nie musi dokonywać żadnego obrzędu przygotowawczego.

Inny aspekt podatności sprzymierzeńca na manipulację wyraża się w przekonaniu, że jest on pomocnikiem. Funkcja pomocnika oznacza, że sprzymierzeniec – oddawszy czarownikowi usługi jako wehikuł – nadaje się ponownie do wykorzystania jako przewodnik pomagający mu w osiągnięciu dowolnego celu, z którym udaje się on w sferę rzeczywistości niezwykłej.

Występując w roli pomocników, obaj sprzymierzeńcy różnią się swymi wyjątkowymi właściwościami. Stopień komplikacji oraz możliwość zastosowania tych właściwości rosną w miarę posuwania się po ścieżce wiedzy. Ogólnie jednak uważa się, że sprzymierzeniec zawarty w *Datura inoxia* jest nadzwyczajnym pomocnikiem, pełnienie zaś przezeń tej właśnie funkcji uznawane jest za ukoronowanie posiadanej przezeń zdolności obdarzania zbyteczną mocą. Jednakże w sprzymierzeńcu zawartym w *Psilocybe mexicana* upatrywany jest pomocnik jeszcze bardziej nadzwyczajny. Don Juan uważa, że nie ma on sobie równych w funkcji pomocnika, w czym dopatruje się dodatkowego przejawu wszechstronnie pozytywnych cech jego charakteru.

TRZECI ZESPÓŁ: SPRZYMIERZENIEC TRZYMA SIĘ PEWNEJ REGUŁY

Spośród wszystkich składników pojęcia “sprzymierzeńca" jedynie przekonanie, że sprzymierzeniec trzyma się pewnej reguły, wydaje się nieodzowne w wyjaśnieniu, czym on jest. Właśnie z powodu owej niezbędności umieściłem je jako trzeci zespół podstawowy w mniejszym schemacie strukturalnym.

Ową regułę, zwaną przez don Juana również prawem, należy uważać za pojęcie ściśle porządkujące, regulujące wszelkie działania, które należy wykonać, oraz zasady postępowania, których należy przestrzegać, ilekroć ma się styczność ze sprzymierzeńcem. Regułę nauczyciel przekazuje uczniowi, najlepiej bez najmniejszej zmiany, opierając się na trwałej sieci wzajemnych ich oddziaływań. Reguła owa jest zatem czymś więcej niż zespołem przepisów; stanowi ona raczej wieloczęściowy zarys czynności, którymi należy się kierować w procesie manipulowania sprzymierzeńcem.

Liczne elementy odpowiadałyby niewątpliwie definicji don Juana, zgodnie z którą sprzymierzeniec jest “potęgą zdolną przenieść człowieka ponad jego własne ograniczenia". Rozumne byłoby przypuszczenie – gdyby zgodzić się z taką definicją – że wszystko, co zdolność tę posiada, mogłoby być sprzymierzeńcem. Logicznie biorąc, nawet stany fizyczne wywołane przez głód, zmęczenie czy chorobę itp. mogłyby pełnić tę rolę, możliwe bowiem, że i one posiadają ową zdolność przenoszenia człowieka poza obręb zwykłej rzeczywistości. Tymczasem przekonanie, że sprzymierzeniec trzyma się pewnej reguły, wyklucza wszystkie te ewentualności. Sprzymierzeniec to moc trzymająca się pewnej reguły. Żadne inne możliwości nie mogłyby być sprzymierzeńcem, ponieważ nie trzymają się żadnych reguł.

Pojęcie reguły obejmuje następujące wyobrażenia wraz z ich rozmaitymi składnikami: 1) reguła jest sztywna; 2) nie podlega kumulacji; 3) znajduje potwierdzenie w zwykłej rzeczywistości; 4) a także w rzeczywistości niezwykłej oraz 5) w drodze specjalnych uzgodnień.

Reguła jest sztywna

Czynności składające się na trzon owej reguły stanowią niezbędne kroki, które należy podjąć, aby osiągnąć operacyjny cel nauki. Ów przymusowy charakter reguły znajduje wyraz w przekonaniu, że jest ona sztywna. Sztywność ta wiąże się ściśle z ideą skuteczności. Dramatyczny wysiłek prowadzi

do ciągłej walki o przetrwanie, w takiej zaś sytuacji jedynie spełnienie najskuteczniejszych czynów może zapewnić przetrwanie. Ponieważ odwoływanie się do doświadczeń indywidualnych jest niedopuszczalne, działania nakazywane przez regułę stanowią jedyną możliwość przetrwania. Dlatego też reguła musi być sztywna; musi spełniać wymóg ścisłego podporządkowania się zawartym w niej wskazaniom.

Podporządkowanie się regule nie jest jednak absolutne. Odnotowałem jeden wypadek, w którym jej sztywny charakter uległ zawieszeniu. Don Juan zinterpretował ów przykład odejścia od reguły, z którym zetknąłem się podczas nauki, jako specjalną korzyść płynącą z bezpośredniej interwencji sprzymierzeńca. Chodzi o sytuację, w której wskutek mego nie zamierzonego błędu w obchodzeniu się ze sprzymierzeńcem zawartym w *Datura inoxia* reguła została naruszona. Dokonując ekstrapolacji tego incydentu, don Juan stwierdził, że sprzymierzeniec posiada zdolność bezpośredniego interweniowania nie pociągającego za sobą negatywnych i zwykle zgubnych skutków, jakie wynikają z nieprzestrzegania jego reguły. W podobnych przejawach elastyczności sprzymierzeńca dopatrywano się zawsze rezultatu istnienia silnej więzi pokrewieństwa pomiędzy nim a jego zwolennikiem.

Reguła nie podlega kumulacji

W tym wypadku chodzi o założenie, że wszystkie możliwe do pomyślenia metody manipulowania sprzymierzeńcem zostały już wykorzystane. Teoretycznie reguła nie podlega kumulacji – nie można w żaden sposób jej rozszerzyć. Przekonanie o jej niekumulatywnym charakterze jest również związane z pojęciem skuteczności. Ponieważ reguła określa jedyną skuteczną możliwość przetrwania danej osoby, wszelkie próby jej zmienienia lub wprowadzenia jakichkolwiek innowacji uważane są nie tylko za działanie zbyteczne, lecz także śmiertelnie niebezpieczne. Istnieje jedynie możliwość pomnożenia indywidualnej znajomości reguły pod przewodem nauczyciela bądź pod specjalnego rodzaju przewodem samego sprzymierzeńca. Ten drugi wariant uważany jest za przykład poznania bezpośredniego, nie zaś dodatek do trzonu reguły.

Reguła znajduje potwierdzenie w zwykłej rzeczywistości

Potwierdzenie reguły oznacza akt jej weryfikacji, sprawdzenia jej prawomocności w praktyce drogą eksperymentu. Reguła dotyczy zarówno rzeczywistości zwykłej, jak i niezwykłej, toteż potwierdzenie odbywa się na obu obszarach.

Sytuacje z obszaru zwykłej rzeczywistości, których dotyczy reguła, są najczęściej zgoła niecodzienne, bez względu jednak na to, jak bardzo są niecodzienne, reguła znajduje potwierdzenie w zwykłej rzeczywistości. Dlatego też uznałem, że ten temat wykracza poza ramy mniejszej pracy i że powinien się on stać przedmiotem odrębnego studium. W tej części reguła dotyczy szczegółów postępowania odnoszącego się do rozpoznawania, zbierania, mieszania, przygotowywania oraz przechowywania roślin dających moc, w których zawarci są sprzymierzeńcy, a także szczegółów innych sposobów wykorzystania tychże roślin i innych podobnych drobiazgów.

Reguła znajduje potwierdzenie w rzeczywistości niezwykłej

Reguła znajduje potwierdzenie także w rzeczywistości niezwykłej, przy czym odbywa się ono w ten sam praktyczny, eksperymentalny sposób, w który ustalono jej prawomocność w sytuacjach z zakresu zwykłej *rzeczywistości.* Idea praktycznego potwierdzenia wiąże się z dwoma pojęciami: 1) pojęciem spotkań ze sprzymierzeńcem, które nazywałem stanami rzeczywistości niezwykłej, oraz 2) pojęciem specyficznych celów reguły.

Stany rzeczywistości niezwykłej

Obie rośliny mieszczące w sobie sprzymierzeńców, jeśli używane są zgodnie z regułami owych sprzymierzeńców, wywołują stany osobliwej percepcji, określane przez don Juana mianem spotkań ze sprzymierzeńcem. Przywiązuje on wielkie znaczenie do ich wywoływania, przekonany jest bowiem, że należy spotykać się ze sprzymierzeńcem możliwie jak najczęściej w celu praktycznej, eksperymentalnej weryfikacji jego reguły. Towarzyszy temu założenie, że istnieje korelacja pomiędzy możliwym do osiągnięcia zakresem wiedzy a liczbą spotkań odbytych ze sprzymierzeńcem.

Jedyny sposób doprowadzenia do spotkania ze sprzymierzeńcem polega, rzecz jasna, na odpowiednim wykorzystaniu rośliny, która go zawiera. Don Juan napomknął wszakże, że osiągnąwszy pewien stopień zaawansowania w jego poznawaniu, można odbywać owe spotkania, nie korzystając z rośliny, co oznacza, że można do nich doprowadzić samym aktem woli.

Spotkania ze sprzymierzeńcem nazwałem stanami rzeczywistości niezwykłej. Wybrałem termin “rzeczywistość niezwykła", ponieważ odpowiada on twierdzeniu don Juana, że spotkania odbywają się w pewnym realnym kontinuum, w rzeczywistości tylko odrobinę różniącej się od zwykłej rzeczywistości

codziennego życia. Rzeczywistość niezwykła posiada zatem pewne określone cechy charakterystyczne, które każdy może zapewne ująć w tych samych kategoriach. Don Juan nigdy nie nadawał im kształtu ścisłej definicji, ale powściągliwość tę można przypisać przekonaniu, że wiedza każdego człowieka musi być sprawą jego osobistej natury.

Na podstawie mych przeżyć osobistych ustaliłem poniższe cechy charakteryzujące stany rzeczywistości niezwykłej. I choć wydawałoby się, że ich pochodzenie jest czysto subiektywne, don Juan – na podstawie swej wiedzy – potwierdził je i rozwinął; swą naukę prowadził tak, jakby tkwiły one w naturze rzeczywistości niezwykłej – 1) rzeczywistość niezwykła daje się wykorzystać; 2) posiada elementy składowe.

Z pierwszej cechy charakterystycznej – z możliwości jej wykorzystania – wynika, że może ona oddać rzeczywiste usługi. Don Juan wielokrotnie wyjaśniał, że jego wiedza dotyczy przede wszystkim poszukiwania praktycznych rezultatów, które to dążenie znamionuje zarówno rzeczywistość zwykłą, jak i niezwykłą. Utrzymywał, jakoby jego wiedza zawierała sposoby uczynienia rzeczywistości niezwykłej służebną, tak samo jak w wypadku zwykłej rzeczywistości. Zgodnie z tym twierdzeniem, stany wywołane przez sprzymierzeńców wzbudzane są ze świadomą intencją ich wykorzystania. W tym konkretnym wypadku rozumowanie don Juana polegało na tym, że aranżowanie spotkań ze sprzymierzeńcami ma na celu poznanie ich tajemnic, wyraźnie zaś określoną funkcją tego założenia jest wyświetlenie innych subiektywnych pobudek, jakie mogą towarzyszyć poszukiwaniu stanów rzeczywistości niezwykłej.

Drugą cechą charakterystyczną tej rzeczywistości jest to, że posiada ona elementy składowe. Obejmują one te *rzeczy,* działania i wypadki, które postrzegane są – jak gdyby zmysłami – jako składniki stanu rzeczywistości niezwykłej. Na pełny obraz rzeczywistości niezwykłej składają się te elementy, które zdają się posiadać cechy zarówno składników zwykłej rzeczywistości, jak i zwykłych marzeń sennych, aczkolwiek ich status nie jest identyczny.

W mojej osobistej ocenie części składowe rzeczywistości niezwykłej posiadają trzy, jedyne w swym rodzaju, cechy charakterystyczne: 1) stabilność; 2) niepowtarzalność oraz 3) brak zwykłego konsensu. Cechy te nadają im słuszną odrębność, czyniąc z nich zjawiska charakteryzujące się bezbłędnie rozpoznawalną niepowtarzalnością.

Elementy składowe rzeczywistości niezwykłej znamionuje stabilność w tym sensie, że są one niezmienne. Pod tym względem przypominają one części składowe zwykłej rzeczywistości, nigdy bowiem nie ulegają zmianom ani nie znikają, jak się to dzieje w wypadku elementów składowych zwykłych marzeń sennych. Wydaje się, że każdy szczegół tworzący dany element składowy rzeczywistości niezwykłej charakteryzuje się własną konkretnością, którą postrzegam jako nadzwyczaj stabilną. Narzuca się ona z taką wyrazistością, że pozwala mi to sformułować kryterium, zgodnie z którym w obrębie rzeczywistości niezwykłej można się zatrzymać i poddać badaniu jakikolwiek jej element składowy i czynić to, jak się wydaje, nieskończenie długo. Zastosowanie tego kryterium umożliwia odróżnienie spowodowanych przez don Juana stanów rzeczywistości niezwykłej od innych stanów osobliwej percepcji, które mogą mieć pozór rzeczywistości niezwykłej, ale nie odpowiadają owemu kryterium.

Druga cecha charakterystyczna składników tworzących rzeczywistość niezwykłą – ich niepowtarzalność – oznacza, że każdy szczegół tychże składników stanowi pojedyncze, niepowtarzalne zjawisko, co sprawia wrażenie, jakby każdy szczegół był całkowicie autonomiczną cząstką całości lub jakby ukazywały się one pojedynczo. Z owej niepowtarzalności elementów składowych zdaje się wynikać jedyna w swym rodzaju konieczność, która może występować we wszystkich, mianowicie kategoryczna, paląca potrzeba scalenia owych izolowanych szczegółów w jakąś rzeczywistą scenę, całościową kompozycję. Don Juan znakomicie zdaje sobie sprawę z owej potrzeby i wykorzystuje ją przy każdej sposobności.

Trzecią wyjątkową cechą charakterystyczną elementów składowych – najbardziej dramatyczną – jest brak zwykłego, dotyczącego ich konsensu. Elementy te postrzegane są w stanie całkowitej samotności przypominającej bardziej osamotnienie człowieka będącego jedynym świadkiem jakiejś niecodziennej sceny w zwykłej rzeczywistości niż samotność osoby śniącej. Ponieważ stabilność cechująca elementy składowe rzeczywistości niezwykłej stwarza możliwość zatrzymania się i poddania badaniu którejkolwiek z nich w ciągu nieskończenie długiego, jak się wydaje, czasu – odnosi się wrażenie, że nie różnią się one prawie wcale od elementów zwykłej rzeczywistości; różnica jednak pomiędzy składnikami owych dwóch stanów rzeczywistości polega na ich podatności na zwykły konsens. Przez zwykły konsens rozumiem milczącą lub domniemaną zgodę w odniesieniu do składników codziennego życia, której na różne sposoby udzielają sobie bliźni. W odniesieniu do

składników rzeczywistości niezwykłej uzyskanie takiego zwykłego konsensu jest niemożliwe. Pod tym względem rzeczywistość niezwykła bliższa jest marzeniom sennym niż zwykłej rzeczywistości. Mimo to, za sprawą cechującej je stabilności i niepowtarzalności, elementy składowe rzeczywistości niezwykłej obdarzone są przytłaczającą realnością, która zdaje się sprzyjać potrzebie potwierdzenia ich egzystencji w kategoriach konsensu.

Specyficzny cel reguły

Innym składnikiem przekonania, że reguła podlega weryfikacji w rzeczywistości niezwykłej, jest wyobrażenie, iż posiada ona cel specyficzny, a mianowicie osiągnięcie – przy wykorzystaniu sprzymierzeńca – pewnego celu użytkowego. Z kontekstu nauk don Juana wynika założenie, że regułę tę poznaje się, potwierdzając ją w rzeczywistości zwykłej i niezwykłej. Rozstrzygające znaczenie ma jednakże ten aspekt jego nauk, w którym chodzi o potwierdzenie reguły w stanach rzeczywistości niezwykłej, tym zaś, co znajduje potwierdzenie w działaniach i elementach postrzeganych w rzeczywistości niezwykłej, jest ów specyficzny cel reguły. Odnosi się on do mocy sprzymierzeńca, czyli do manipulowania sprzymierzeńcem najpierw w roli wehikułu, a potem w roli pomocnika, don Juan wszakże traktuje każdy z owych przejawów specyficznego celu reguły jako odrębną jednostkę odnoszącą się implicite do obu tych obszarów.

Ponieważ ów cel specyficzny dotyczy manipulowania mocą sprzymierzeńca, wiąże się nierozerwalnie z technikami manipulacyjnymi.

Techniki manipulacyjne są w istocie określonymi sposobami postępowania, operacjami podejmowanymi w każdym wypadku, w którym w grę wchodzi manipulowanie mocą sprzymierzeńca. Przekonanie o podatności sprzymierzeńca na manipulację gwarantuje jego użyteczność w osiąganiu celów praktycznych, techniki manipulacyjne stanowią zaś procedurę przydającą ponoć sprzymierzeńcowi użyteczności.

Cel specyficzny wraz z technikami manipulacyjnymi tworzy odrębną jednostkę, którą czarownik musi znać dokładnie, aby skutecznie zapanować nad swym sprzymierzeńcem.

Nauki don Juana obejmują poniższe cele specyficzne reguł obu sprzymierzeńców. Nadałem im taką samą kolejność, w jakiej on mi je przedstawił.

Pierwszym specyficznym celem weryfikowanym w rzeczywistości niezwykłej jest poddanie próbie sprzymierzeńca mieszczącego się w *Datura inoxia.* Technika manipulacyjna polega na wypiciu płynu sporządzonego z części korzenia bielunia. Wypicie owego płynu powoduje płytki stan rzeczywistości niezwykłej, z którego don Juan skorzystał w celu poddania mnie próbie, w celu ustalenia, czy jako przyszły uczeń wykażę jakiekolwiek pokrewieństwo ze sprzymierzeńcem zawartym w tej roślinie. Napój ów ma wywołać wrażenie bliżej nie określonego fizycznego błogostanu bądź też bardzo złe samopoczucie, w których to objawach don Juan dopatruje się – kolejno – oznak pokrewieństwa lub jego braku.

Drugim celem specyficznym jest wróżenie. Stanowi ono również część reguły sprzymierzeńca mieszczącego się w *Datura inoxia.* Don Juan uważa wróżenie za specjalny rodzaj ruchu; zakłada, że sprzymierzeniec przenosi czarownika w takie miejsce rzeczywistości niezwykłej, gdzie potrafi on odgadywać zdarzenia skądinąd mu nie znane.

Techniką manipulacyjną związaną z drugim celem specyficznym jest proces picia-wchłaniania. Przyjmuje się płyn z korzenia bielunia, w okolice zaś skroni i czoła wciera się maść sporządzoną z nasion tej rośliny. Używam określenia “picie-wchłanianie", ponieważ w wywoływaniu stanu rzeczywistości niezwykłej wchłanianie przez skórę może dopomagać piciu lub na odwrót.

Powyższa technika manipulacyjna wymaga użycia innych elementów niż tylko rośliny – w tym wypadku dwóch jaszczurek. Mają one służyć czarownikowi jako narzędzia ruchu, co oznacza tutaj osobliwy rodzaj percepcji pozwalającej stwierdzić, że przebywa się w jakiejś szczególnej sferze rzeczywistości, gdzie człowiek może usłyszeć słowa wypowiadane przez jaszczurkę, następnie zaś zobaczyć wszystko, o czym mówiła. Don Juan wyjaśnia te zjawiska, mówiąc, że jaszczurki udzielają odpowiedzi na pytania zadane po to, by uzyskać odpowiedź.

Trzeci specyficzny cel reguły sprzymierzeńca mieszczącego się w bieluniu dotyczy innego specjalnego rodzaju poruszania się, mianowicie cielesnego lotu. Zgodnie z wyjaśnieniami don Juana czarownik używający tego sprzymierzeńca zdolny jest do odbycia cielesnego lotu na wielką odległość; lot ów jest wyrazem zdolności czarownika do poruszania się w obrębie rzeczywistości niezwykłej i powrotu – jeśli taka jest jego wola – do zwykłej rzeczywistości.

Techniką manipulacyjną odpowiadającą owemu trzeciemu celowi jest również proces picia-

wchłaniania. Przyjmuje się płyn sporządzony z korzenia bielunia, a w pięty, wewnętrzną stronę ud i genitalia wciera się maść z nasion tej rośliny.

Trzeci cel specyficzny nie znajduje gruntownego potwierdzenia; don Juan dał do zrozumienia, że zachował dla siebie inne aspekty powyższej techniki manipulacyjnej, które pozwalałyby czarownikowi uzyskać poczucie orientacji podczas poruszania się.

Czwartym specyficznym celem reguły jest dokonanie sprawdzianu, przy czym sprzymierzeniec mieści się w *Psilocybe mexicana.* W sprawdzianie tym nie chodzi o ustalenie pokrewieństwa ze sprzymierzeńcem (lub jego braku), lecz raczej o zmierzenie się z nim po raz pierwszy, o pierwsze niemożliwe do uniknięcia spotkanie z nim.

Techniką manipulacyjną służącą temu celowi jest korzystanie z mieszanki do palenia sporządzonej z surowych grzybów zmieszanych z rozmaitymi częściami pięciu innych roślin, z których żadna nie posiada właściwości halucynogennych. Reguła kładzie nacisk na czynność wdychania dymu pochodzącego z tej mieszanki, toteż nauczyciel używa słowa *humito* (dymek) w odniesieniu do mieszczącego się w nim sprzymierzeńca. Ja jednak nazywam ten proces “przyjmowaniem-wdychaniem", gdyż stanowi on połączenie wpierw połykania, a potem wdychania. Grzyby – z racji swej delikatności – schną na drobniutki proszek, dość trudny do spalenia. Inne składniki przyjmują po uschnięciu postać strzępków. Strzępki te ulegają w fajce spopieleniu, podczas gdy proszek z grzybów, który nie spala się tak łatwo, wciąga się do ust i połyka. Nic więc dziwnego, że ilość przyjętych w ten sposób suszonych grzybów przewyższa ilość spalonych i wciągniętych z dymem strzępków.

Efekt pierwszego stanu rzeczywistości niezwykłej wywołanego przez *Psilocybe mexicana* sprawił, że don Juan omówił krótko piąty specyficzny cel reguły. Dotyczy on poruszania się przy pomocy sprzymierzeńca zawartego w tym grzybie, a ściślej wnikania i przenikania przez nieożywione przedmioty lub jestestwa. Powyższa technika manipulacyjna prócz procesu przyjmowania-wdychania może także obejmować sugestię hipnotyczną. Ponieważ don Juan przedstawił piąty cel jedynie w formie krótkiego omówienia, które nie zostało następnie zweryfikowane, nie jestem w stanie dokonać prawidłowej oceny żadnego z jego aspektów.

Szósty specyficzny cel reguły zweryfikowany w rzeczywistości niezwykłej – również wiążący się ze sprzymierzeńcem zawartym w *Psilocybe mexicana* – dotyczy wrodzonej sprzymierzeńcowi zdolności do powodowania zniknięcia ciała czarownika; stąd też wyobrażenie o przyjmowaniu odmiennej postaci oznacza logiczną możliwość poruszania się w warunkach bezcielesności. Inną logiczną możliwością jest, rzecz jasna, poruszanie się w formie przenikania przez przedmioty i jestestwa, omówione krótko przez don Juana.

Technika manipulacyjna służąca szóstemu specyficznemu celowi reguły obejmuje nie tylko przyjmowanie-wdychanie, lecz także – jak wszystko na to wskazuje – sugestię hipnotyczną. Sugestię taką don Juan wysunął podczas pośrednich etapów prowadzących do rzeczywistości niezwykłej, a także na początkowym etapie stanów rzeczywistości. Ów domniemany proces hipnotyczny określił on jako jedynie formę osobistego nadzoru, co oznacza, że wówczas nie ujawnił mi jeszcze całej techniki manipulacyjnej.

Przyjęcie odmiennej postaci nie oznacza, że czarownik dysponuje pełną swobodą przyjęcia – pod wpływem spontanicznego impulsu – dowolnego kształtu, jaki pragnąłby przyjąć. Przeciwnie – wiąże się to z trwającym całe życie treningiem w osiągnięciu pewnego, z góry ustalonego kształtu. Takim z góry ustalonym kształtem, jaki pragnął przyjąć don Juan, była postać kruka; konsekwentnie też w trakcie swych nauk kładł on szczególny nacisk na tę właśnie formę. Stwierdził jednak całkiem wyraźnie, że kruk stanowił jego osobisty wybór, istnieje zaś nieprzeliczone mnóstwo innych możliwości.

CZWARTY ZESPÓŁ REGUŁĘ POTWIERDZA SPECJALNY KONSENS

Aby wyjaśnić resztę, należy koniecznie przyjąć założenie, iż regułę potwierdza specjalny konsens; wszystkie pozostałe pojęcia składowe same przez się nie wystarczają, by wyjaśnić znaczenie reguły.

Don Juan twierdzi jednoznacznie, że sprzymierzeniec nie zostaje narzucony czarownikowi, ale że czarownik uczy się manipulować sprzymierzeńcem w procesie potwierdzania jego reguły. Pełny proces poznawania łączy się z weryfikacją reguły zarówno w obrębie rzeczywistości niezwykłej, jak i zwykłej. Kluczowe znaczenie ma jednak w naukach don Juana potwierdzenie reguły w sposób praktyczny i eksperymentalny w kontekście tego, co postrzegane jest jako części składowe rzeczywistości niezwykłej. Nie są one wszelako podatne na zwykły konsens, jeśli zaś nie można się zgodzić co do ich istnienia, ich postrzegana realność musi być złudzeniem. W obrębie rzeczywistości niezwykłej człowiek musi przebywać sam, z racji zaś owego osamotnienia wszystkiemu, co postrzega,

należy przypisać charakter subiektywny. Owo osamotnienie, a także subiektywizm, stanowią konsekwencję tego, że – jak się wydaje – nie istnieje sposób, w jaki bliźni mógłby udzielić zwykłego konsensu co do treści postrzeżeń innego człowieka.

W tym też miejscu don Juan wprowadził najistotniejszy element swych nauk: dostarczył mi specjalnego konsensu dotyczącego działań i elementów postrzeganych przeze mnie w rzeczywistości niezwykłej, które miały potwierdzać regułę. Wedle nauk don Juana specjalny konsens oznacza milczącą lub domniemaną zgodę w odniesieniu do elementów składowych rzeczywistości niezwykłej, którą przekazał mi podczas udzielania nauki. Nie było w nim ani krzty szalbierstwa czy zafałszowania, jak mogłoby się zdarzyć w wypadku dwóch osób opisujących sobie składniki swych marzeń sennych. Ów specjalny konsens don Juana nosi cechy systemu; aby zaś mi go przekazać, musiał się on odwołać do całej swej wiedzy. Dzięki zdobyciu systemowego konsensu działania i składniki postrzegane w rzeczywistości niezwykłej stały się realne w sensie konsensu, co w schemacie klasyfikacyjnym don Juana oznacza, że reguła sprzymierzeńca znalazła potwierdzenie. Reguła ta ma zatem znaczenie jako pojęcie jedynie o tyle, o ile podlega specjalnemu konsensowi, bowiem bez specjalnego porozumienia dotyczącego jej potwierdzenia reguła owa stanowiłaby twór czysto subiektywny.

Właśnie dlatego, że przekonanie, wedle którego potwierdzenie reguły odbywa się drogą specjalnego konsensu, jest niezbędne przy jej wyjaśnieniu – uczyniłem z niego czwarty podstawowy zespół pojęciowy niniejszego schematu strukturalnego. Zespół ten, jako że zasadniczo odnosi się on do wzajemnych oddziaływań dwu jednostek, składa się z 1) dobroczyńcy, czyli pomocnika wprowadzającego w arkana zdobywanej wiedzy i przekaziciela specjalnego konsensu oraz 2) ucznia, czyli osoby, której przekazuje się specjalny konsens.

Pomyślność przedsięwzięcia polegającego na osiągnięciu operacyjnego celu nauk zależy od tego zespołu. Specjalny konsens jest zatem niepewną kulminacją następującego procesu: czarownika znamionuje pewna cecha – posiadanie sprzymierzeńca – która odróżnia go od zwykłych ludzi. Sprzymierzeniec jest potęgą charakteryzującą się tym, że trzyma się pewnej reguły. Specyficzną zaś cechą tej reguły jest to, że zyskuje ona potwierdzenie w rzeczywistości niezwykłej na podstawie specjalnego konsensu.

Dobroczyńca

Stanowi on czynnik, bez którego potwierdzenie reguły byłoby niemożliwe. Aby przekazać specjalny konsens, musi on spełnić dwa zadania: 1) przygotować grunt pod specjalny konsens dotyczący potwierdzenia reguły oraz 2) kierować specjalnym konsensem.

Przygotowanie specjalnego konsensu

Pierwsze zadanie dobroczyńcy polega na przygotowaniu gruntu pozwalającego wprowadzić specjalny konsens dotyczący potwierdzenia reguły. Występując jako mój nauczyciel, don Juan spowodował, że 1) doświadczyłem innych stanów rzeczywistości niezwykłej, które zinterpretował on jako dość odległe od wywoływanych w celu potwierdzenia reguły sprzymierzeńców; 2) uczestniczyłem wraz z nim w pewnych specjalnych stanach rzeczywistości zwykłej, wywołanych, jak się zdaje, przez niego samego oraz 3) dokonałem szczegółowej rekapitulacji każdego z tych doświadczeń. Przygotowanie specjalnego konsensu polega w wypadku don Juana na wzmocnieniu i utrwaleniu potwierdzenia reguły przez udzielenie specjalnego konsensu, odnoszącego się do elementów tworzących te nowe stany rzeczywistości niezwykłej oraz składników specjalnych stanów zwykłej rzeczywistości.

Owe inne stany rzeczywistości niezwykłej, których doświadczyłem za sprawą don Juana, wywołane zostały po spożyciu kaktusa *Lophophora williamsii,* znanego pod nazwą pejotl. Zazwyczaj odcina się górną część kaktusa i przechowuje aż do wyschnięcia, następnie zaś żuje się ją i połyka; aczkolwiek w pewnych specjalnych okolicznościach spożywa się ją, nim utraci świeżość. Prócz spożywania istnieją wszakże inne sposoby doświadczenia stanów rzeczywistości niezwykłej za pomocą *Lophophora williamsii.* Zgodnie z sugestią don Juana, do spontanicznego wystąpienia stanów rzeczywistości niezwykłej może dojść w pewnych wyjątkowych sytuacjach, wówczas zaś należy je uznać za dar lub użyczenie mocy zawartej w roślinie.

Rzeczywistość niezwykła wywołana przez *Lophophora williamsii* charakteryzuje się trzema cechami: 1) uważana jest za wytwór istoty nazywanej “Mescalito"; 2) można jej użyć i 3) posiada elementy składowe.

Mescalito jest rzekomo jedyną w swym rodzaju mocą podobną do sprzymierzeńca, w tym sensie, że stwarza możliwość przekroczenia obrębu zwykłej rzeczywistości, poza tym jednak całkowicie

odmienną. Podobnie jak sprzymierzeniec, Mescalito zawarty jest w określonej roślinie, mianowicie w kaktusie *Lophophora williamsii.* W odróżnieniu jednak od sprzymierzeńca, który jedynie zawiera się w pewnej roślinie, Mescalito nie jest tym samym, co zawierająca go roślina – roślina stanowi przedmiot jawnych przejawów szacunku, odbiera wyrazy głębokiej czci. Don Juan jest przekonany, że w pewnych sytuacjach – na przykład wówczas, gdy zaakceptowało się Mescalito całym sobą – samo przebywanie w sąsiedztwie kaktusa może wywołać stan rzeczywistości niezwykłej.

Mescalito jednak pozbawiony jest reguły i dlatego nie jest sprzymierzeńcem, mimo że może przenieść człowieka poza granice zwykłej rzeczywistości. To, że nie dotyczy go reguła, nie tylko nie pozwala użyć Mescalito w roli sprzymierzeńca – bez reguły bowiem nie sposób nim manipulować – lecz także nadaje jego mocy zupełnie odmienny charakter od mocy sprzymierzeńca.

To, że Mescalito nie posiada reguły, czyni go dostępnym każdemu człowiekowi bez potrzeby odbywania długiej nauki lub stosowania technik manipulacyjnych, jak w przypadku sprzymierzeńca. Ponieważ zaś Mescalito jest dostępny dla każdego bez żadnego treningu, uważany jest za protektora. Oznacza to, że każdy może mieć do niego dostęp, z niektórymi jednak osobnikami może on być nie do pogodzenia. Wedle don Juana powodem owej niemożności pogodzenia jest sprzeczność pomiędzy “niezłomną moralnością" Mescalito a wątpliwymi zaletami charakteru danej jednostki.

Mescalito jest także nauczycielem. Przypuszczalnie pełni on funkcje dydaktyczne. Jest przewodnikiem wskazującym sposoby właściwego postępowania. Zgodnie z wyobrażeniem don Juana, prawidłowe postępowanie ma się łączyć z poczuciem stosowności polegającej nie na prawości ujmowanej w kategoriach moralnych, lecz na dążeniu do uproszczenia wzorów zachowania w kategoriach skuteczności, której naucza, krzewiąc swą wiedzę. Don Juan uważa, że Mescalito uczy prostoty zachowania.

Mescalito uznawany jest za istotę. Jako istota ma on rzekomo posiadać pewną określoną postać, która zwykle nie jest stała, ale możliwa do przewidzenia. Z cechy tej wynika, że Mescalito jest nie tylko różnie przez różnych ludzi postrzegany, lecz nawet ten sam człowiek różnie go przy różnych okazjach postrzega. Don Juan wyraził to przekonanie w ten sposób, że Mescalito posiada zdolność przyjmowania dowolnej postaci. W wypadku jednak osób, które mu odpowiadają, przyjmuje kształt nie podlegający zmianom, jeśli nawiązały one z nim kontakt trwający dłuższy czas, mierzony latami.

Rzeczywistość niezwykła wytwarzana przez Mescalito daje się wykorzystać i jest pod tym względem identyczna z tą, którą wywołuje sprzymierzeniec. Jedyna różnica polega na uzasadnieniu, do jakiego don Juan odwołuje się w swych naukach przy jej wywoływaniu: należy mianowicie “dążyć do poznania lekcji, jakiej Mescalito udziela na temat prawidłowego postępowania".

Rzeczywistość niezwykła będąca rezultatem działania Mescalito posiada także elementy składowe, w czym również jest identyczna z tą, którą wywołuje sprzymierzeniec. W obu wypadkach owe elementy składowe charakteryzują się stabilnością, niepowtarzalnością i brakiem konsensu.

Sposób postępowania, z którego skorzystał don Juan, by przygotować grunt pod specjalny konsens, polegał na uczynieniu ze mnie współuczestnika specjalnych stanów zwykłej rzeczywistości. Takim stanem specjalnym jest sytuacja, którą można by opisać w kategoriach cech znamionujących życie codzienne, choć mogłoby się okazać, że nie sposób uzyskać zwykłego konsensu w odniesieniu do składników takiego stanu.

Przygotowując grunt pod specjalny konsens dotyczący potwierdzenia reguły, don Juan wprowadza specjalny konsens w odniesieniu do elementów składowych specjalnych stanów zwykłej rzeczywistości. Elementami tymi są elementy życia codziennego, których istnienie może potwierdzić – na mocy specjalnego postanowienia – jedynie don Juan. Tak przypuszczam, gdyż jako współuczestnik owych specjalnych stanów zwykłej rzeczywistości uważałem, że tylko don Juan – będący drugim współuczestnikiem – może widzieć, z jakich elementów składa się ów stan specjalny zwykłej rzeczywistości.

Osobiście wydaje mi się, że owe specjalne stany rzeczywistości zwykłej *wywoływał* sam don Juan, mimo że nigdy tego nie stwierdził. Wydaje się, że wywoływał on je, opierając się na umiejętnej manipulacji napomknięciami i sugestiami kierującymi mym postępowaniem. Nazywam ten proces “manipulacją wskazówkami". Posiada on dwa aspekty: 1) udzielanie wskazówek odnoszących się do otoczenia i 2) udzielanie wskazówek dotyczących zachowania.

W trakcie nauki don Juan spowodował, że doświadczyłem dwóch takich stanów. Możliwe, że pierwszy z nich wywołał on, udzielając wskazówek co do otoczenia. Powodem, na który powołał się don Juan, była konieczność wykazania szczerości mych intencji, toteż zgodził się on rozpocząć naukę dopiero wówczas, gdy przekazał mi specjalny konsens w odniesieniu do składników owego stanu.

Przez “udzielanie wskazówek dotyczących otoczenia" rozumiem to, że don Juan wprowadził mnie w specjalny stan rzeczywistości zwykłej drogą wyodrębnienia – opierając się na delikatnych sugestiach – elementów składowych zwykłej rzeczywistości będących częścią bezpośredniego otoczenia materialnego. Wyodrębnione w ten sposób elementy dały w efekcie specjalny rodzaj percepcji koloru, dyskretnie zweryfikowany przez don Juana.

Ów drugi stan rzeczywistości zwykłej mógł zostać wywołany przez proces udzielania mi wskazówek dotyczących zachowania. Wskutek zażyłości naszych stosunków oraz konsekwentnego sposobu postępowania don Juanowi udało się wytworzyć określony wizerunek własnej osoby, który służył mi za pewien podstawowy wzorzec, dzięki któremu mogłem go zidentyfikować. Dokonując zaś pewnych określonych wyborów wariantów zachowania stojących w wyraźnej sprzeczności z owym wizerunkiem, mógł on zniekształcać ów podstawowy wzór identyfikacji. Zniekształcenie to mogło z kolei wpłynąć na zmianę normalnej konfiguracji elementów wiążących się z owym wzorcem i nadać im postać nowego, pozbawionego spójności wzorca nie podlegającego już zwykłemu konsensowi; don Juan, który współuczestniczył w owym specjalnym stanie zwykłej rzeczywistości, był jedyną osobą znającą jego elementy składowe i umiejącą je zidentyfikować, a zatem jedyną osobą mogącą potwierdzić mi ich istnienie.

Drugi specjalny stan zwykłej rzeczywistości był w intencji don Juana również rodzajem sprawdzianu podsumowującego jego nauki. Odnosiło się wrażenie, że oba stany stanowiły pewien punkt zwrotny, analogiczny do zdobycia umiejętności mowy, a drugi z nich mógł zwiastować rozpoczęcie przeze mnie nowego etapu nauki, charakteryzującego się bardziej bezpośrednim zaangażowaniem nauczyciela i ucznia w proces dochodzenia do specjalnego konsensu.

Trzeci sposób postępowania, z którego don Juan skorzystał w przygotowaniu specjalnego konsensu, polegał na skłonieniu mnie do przedstawiania szczegółowych relacji dotyczących moich przeżyć, będących pokłosiem każdego stanu rzeczywistości niezwykłej oraz każdego specjalnego stanu rzeczywistości zwykłej, a także na uwypukleniu niektórych wątków tematycznych wybranych przez don Juana z moich relacji. Zasadniczym czynnikiem było pokierowanie wynikiem stanów rzeczywistości niezwykłej; było nim także przyjęte przeze mnie milcząco założenie, że cechy znamionujące elementy składowe tej rzeczywistości – stabilność, niepowtarzalność oraz brak zwykłego konsensu – mają charakter immanentny i nie stanowią rezultatu sprawowanej przez don Juana roli przewodnika. Założenie to opiera się na spostrzeżeniu, że elementy składowe pierwszego doznanego przeze mnie stanu rzeczywistości niezwykłej posiadały identyczne cechy charakterystyczne, a przecież don Juan wcale nim jeszcze nie kierował. Jeśli zatem założymy, że cechy owe są immanentnie wpisane w ogólny charakter składników rzeczywistości niezwykłej, zadanie don Juana polega na ich wykorzystaniu do kierowania wynikiem każdego stanu niezwykłej rzeczywistości wywołanego przez *Datura inoxia, Psilocybe mexicana* i *Lophophora williamsii.*

Szczegółowa relacja, jaką musiałem zdawać don Juanowi po każdym doznanym przeze mnie stanie rzeczywistości niezwykłej, stanowiła rodzaj podsumowania moich przeżyć. Polegało ono na żmudnym odtworzeniu werbalnym najdrobniejszych szczegółów moich doznań. Rekapitulacja taka ma dwa aspekty: 1) odtworzenie przebiegu wydarzeń oraz 2) opisanie postrzeżonych elementów składowych. Odtworzenie przebiegu wydarzeń dotyczyło wypadków, których rzekomo byłem świadkiem w trakcie opowiadanych przeze mnie doświadczeń, to znaczy wypadków, które się ponoć wydarzyły, oraz czynności, które ponoć wykonywałem. Moja relacja polegała na opisaniu postrzeżonych przeze mnie elementów składowych specyficznych form i specyficznych szczegółów składników, które ponoć postrzegałem.

Z każdej takiej rekapitulacji don Juan dokonywał wyboru pewnych zespołów, opierając się na procesie 1) przywiązywania szczególnego znaczenia do niektórych określonych fragmentów mej relacji oraz 2) odmawiania wszelkiego znaczenia pozostałym jej fragmentom. W przerwach pomiędzy poszczególnymi stanami niezwykłej rzeczywistości don Juan dokonywał interpretacji moich doznań.

Pierwszy z tych procesów nazwałem “wzmocnieniem", gdyż wiąże się on z wytężoną analizą różnicy, jaka zachodziła pomiędzy tym, co don Juan uważał za cele, które powinienem był osiągnąć w stanie rzeczywistości niezwykłej, a treścią mych własnych postrzeżeń. Wzmocnienie polegało więc na tym, że don Juan wyodrębniał pewien fragment mej relacji, poświęcając mu lwią część swych analiz. Wzmocnienie mogło być pozytywne bądź negatywne. Wzmocnienie pozytywne oznaczało, że don Juan był zadowolony z jakiegoś konkretnego szczegółu postrzeżonego przeze mnie, gdyż zbiegało się to z celem, który miałem wedle jego oczekiwań osiągnąć w stanie rzeczywistości niezwykłej. Wzmocnienie negatywne oznaczało, że don Juan nie był zadowolony z mych postrzeżeń, ponieważ nie potwierdzały one jego oczekiwań lub dlatego, że uważał je za niewystarczające. Niemniej jednak,

dokonując analizy tego fragmentu rekapitulacji moich doznań, skupiał się mimo wszystko właśnie na nim, by podkreślić w ten sposób negatywny charakter mych postrzeżeń.

Drugi zastosowany przez don Juana proces selekcyjny polega na odmówieniu wszelkiego znaczenia niektórym fragmentom moich relacji. Nazwałem go “wzmocnieniem negatywnym", jako że stanowi przeciwieństwo i przeciwwagę wzmocnienia. Wydaje się, że odmawiając jakiegokolwiek znaczenia tym fragmentom mych relacji dotyczących elementów składowych, które don Juan uznał za nieistotne z punktu widzenia celu swych nauk, doprowadzał on do tego, że postrzegane przeze mnie w kolejnych stanach rzeczywistości niezwykłej elementy tego samego rodzaju uległy całkowitemu zatarciu w mojej pamięci.

Kierowanie specjalnym konsensem

Drugi aspekt nauczycielskiej roli don Juana polega na sprawowaniu przewodnictwa nad specjalnym konsensem, co odbywa się poprzez kierowanie wynikiem każdego stanu rzeczywistości niezwykłej oraz każdego stanu rzeczywistości zwykłej. Don Juan kieruje tym wynikiem, dokonując w sposób uporządkowany manipulacji zewnętrznymi i wewnętrznymi wymiarami rzeczywistości niezwykłej oraz wewnętrznym wymiarem specjalnych stanów rzeczywistości zwykłej.

Zewnętrzny wymiar rzeczywistości niezwykłej odnosi się do jej układu operacyjnego. Wiąże się to z określoną mechaniką, z krokami prowadzącymi do rzeczywistości niezwykłej we właściwym znaczeniu. Wymiar zewnętrzny ma trzy dające się od siebie odróżnić aspekty: 1) okres przygotowawczy; 2) etapy przejściowe oraz 3) nadzór nauczyciela.

Okresem przygotowawczym był czas, który upłynął pomiędzy dwoma następującymi po sobie stanami rzeczywistości niezwykłej. Don Juan wykorzystywał go do udzielenia mi bezpośrednich pouczeń oraz kontynuacji swych nauk. Okres przygotowawczy miał decydujące znaczenie dla powstania stanów rzeczywistości niezwykłej, a ponieważ zasadzał się na nich, wyróżnić w nim można dwie fazy: 1) okres poprzedzający stan rzeczywistości niezwykłej i 2) okres po tym stanie następujący.

Okres poprzedzający rzeczywistość niezwykłą trwał względnie krótko, najwyżej 24 godziny. W stanach tejże rzeczywistości, wywołanych przez *Datura inoxia* i *Psilocybe mexicana,* okres ten charakteryzowało udzielanie przez don Juana dramatycznie zwięzłych wskazówek odnoszących się bezpośrednio do specyficznego celu reguły oraz technik manipulacyjnych, które miałem potwierdzić podczas zbliżającego się stanu rzeczywistości niezwykłej. W wypadku *Lophophora williamsii* okres ów pokrywał się zasadniczo z czasem trwania obrzędu, gdyż Mescalito nie kieruje się żadną regułą.

Natomiast okres następujący po rzeczywistości niezwykłej trwał zazwyczaj kilka miesięcy i stwarzał don Juanowi możliwość omówienia oraz wyjaśnienia wydarzeń, które zaszły podczas poprzedzającego go stanu rzeczywistości niezwykłej. Okres ten był szczególnie istotny po użyciu *Lophophora williamsii.* Mescalito nie kieruje się żadną regułą, toteż celem, do którego dąży się w rzeczywistości niezwykłej, jest weryfikacja jego cech charakterystycznych; don Juan przedstawił ich zarys w ciągu długich przerw następujących po każdym stanie rzeczywistości niezwykłej.

Drugim aspektem wymiaru zewnętrznego są etapy przejściowe oznaczające przejście od stanu rzeczywistości zwykłej do stanu rzeczywistości niezwykłej i vice wersa. Oba te stany rzeczywistości nakładają się na siebie w owych etapach przejściowych, kryterium zaś, którego używałem, aby je odróżnić, polega na stwierdzeniu rozmazywania się tworzących je składników. Nigdy nie udało mi się zaobserwować ani przypomnieć ich sobie precyzyjnie.

W kategoriach percepcji czasu etapy przejściowe następują błyskawicznie bądź powoli. W wypadku *Datura inoxia* stany zwykłe i niezwykłe niemal się ze sobą zbiegają, a przejście od jednego do drugiego następuje niespodzianie. Najłatwiej zauważalne są przejścia do rzeczywistości niezwykłej. *Psilocybe mexicana* wywołuje natomiast etapy przejściowe, które postrzegałem jako powolne; przejście od rzeczywistości zwykłej do niezwykłej jest procesem szczególnie rozwlekłym i zauważalnym. Uświadomiłem go sobie z większą wyrazistością, może dlatego nie obawiałem się nadchodzących wydarzeń.

Etapy przejściowe wywoływane przez *Lophophora williamsii* zdają się łączyć cechy pozostałych rodzajów. Przede wszystkim więc przejścia od i do rzeczywistości niezwykłej są bardzo wyraźne. Wchodzenie w rzeczywistość niezwykłą odbywa się powoli; doświadczałem go, nie ponosząc prawie żadnego uszczerbku na zdolnościach percepcyjnych, ale proces powracania do zwykłej rzeczywistości stanowił nagły etap przejściowy, który postrzegałem wyraźnie, choć moja zdolność uchwycenia wszystkich składających się nań szczegółów zmalała.

Trzecim aspektem wymiaru zewnętrznego jest nadzór sprawowany przez nauczyciela bądź

rzeczywista pomoc, jakiej sam jako uczeń doznałem podczas doświadczania przeze mnie stanu rzeczywistości niezwykłej. Uznałem ów nadzór za samoistną kategorię, przyjmuje się bowiem, że w określonym momencie nauki nauczyciel musi wejść w rzeczywistość niezwykłą wraz z uczniem.

Podczas stanów tej rzeczywistości, wywoływanych przez *Datura inoxia,* don Juan ograniczył nadzorowanie do minimum. Kładł wielki nacisk na spełnienie wszystkich elementów okresu przygotowawczego, kiedy jednak zadośćuczyniłem temu wymogowi, pozwolił mi działać samodzielnie.

W rzeczywistości niezwykłej wywołanej przez *Psilocybe mexicana* sprawa nadzoru przedstawia się zgoła przeciwnie, w *tym* bowiem wypadku uczeń bardzo potrzebuje – zdaniem don Juana – kierownictwa i pomocy. Potwierdzenie reguły wymaga przyjęcia zmienionej postaci, z czego zdawała się wynikać konieczność odbycia przeze mnie szeregu bardzo skomplikowanych zabiegów adaptacyjnych odnoszących się do percepcji otoczenia. Don Juan wprowadził w życie owe zabiegi adaptacyjne przy użyciu poleceń i sugestii werbalnych w ciągu etapów przejściowych prowadzących do rzeczywistości niezwykłej. Inny aspekt jego nadzoru polegał na kierowaniu mną w czasie trwania początkowego stadium stanów rzeczywistości niezwykłej poprzez nakazanie mi, bym skupił uwagę na niektórych składnikach wcześniejszego stanu rzeczywistości zwykłej. Elementy, na które zwracał moją uwagę, dobierane były zgoła przypadkowo, jako że tym, co się naprawdę liczyło, było doskonalenie czynności przyjmowania zmienionej postaci. Końcowym aspektem nadzoru było umożliwienie mi powrotu do zwykłej rzeczywistości. Operacja ta wymagała maksymalnego nadzoru ze strony don Juana, choć samej związanej z tym procedury nie potrafię sobie przypomnieć.

Nadzór niezbędny w wypadku stanów wywołanych przez *Lophophora williamsii* stanowi kombinację dwóch innych jego rodzajów. Don Juan pozostawał przy mnie tak długo, jak tylko było to możliwe, nie podejmował jednak żadnych prób wprowadzenia mnie lub wyprowadzenia z rzeczywistości niezwykłej.

Drugą płaszczyznę pozwalającą różnicować rzeczywistość niezwykłą stanowią domniemane wewnętrzne wzorce domniemanego wewnętrznego układu tworzących je składników. Nazwałem ją “wymiarem wewnętrznym", zakładając, że w tym wypadku składniki owe podlegają trzem ogólnym procesom, będącym, jak się zdaje, wynikiem sprawowanej przez don Juana roli przewodnika: 1) procesowi przesuwania się ku konkretom; 2) procesowi posuwania się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania oraz 3) procesowi posuwania się ku lepszemu praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej.

Posuwanie się ku konkretom oznacza proces uzyskiwania przez składniki kolejno następujących po sobie stanów rzeczywistości niezwykłej większej precyzji i konkretności. Obejmuje on dwa aspekty: 1) zbliżanie się ku konkretnym wyraźnie wyodrębnionym kształtom oraz 2) zbliżanie się ku określonym wynikom całościowym.

Ów pierwszy aspekt pociąga za sobą to, że w stadiach początkowych kształt elementów składowych jest ledwie zarysowany, choć znany. Proces posuwania się obejmuje, jak się zdaje, dwojaką zmianę tychże elementów: 1) narastającą komplikację postrzeganych szczegółów oraz 2) przechodzenie od form znanych do nieznanych.

Narastanie komplikacji szczegółu oznacza, że w każdym kolejnym stanie rzeczywistości niezwykłej maleńkie cząstki tworzące w mej percepcji obraz elementów składowych ulegały stopniowemu skomplikowaniu. Stopień złożoności oceniałem w kategoriach uświadomienia sobie narastającej komplikacji struktury elementów składowych, aczkolwiek nigdy nie doszło do nadmiernego bądź zbijającego z tropu pogmatwania szczegółów. Narastająca złożoność odnosi się raczej do harmonijnego rozrastania się postrzeganych szczegółów, poczynając od niewyraźnych kształtów, które oglądałem podczas wstępnych stadiów, a kończąc na masywnych, zawiłych układach drobnych szczegółków postrzeganych przeze mnie na etapach końcowych.

Przechodzenie od form znanych do nieznanych oznacza, że początkowo kształty elementów składowych były kształtami, które znałem ze zwykłej rzeczywistości, bądź też wywoływały w każdym razie wrażenie obiektów znanych z życia codziennego. W kolejnych jednak stanach rzeczywistości niezwykłej konkretne kształty, składające się na nie szczegóły oraz sposoby łączenia z sobą elementów składowych stawały się coraz bardziej obce, aż w końcu nie potrafiłem ich już porównać – w niektórych zaś wypadkach nawet skojarzyć – z niczym, co znane mi jest ze zwykłej rzeczywistości.

Zbliżanie się elementów składowych ku określonym wynikom całościowym polegało na stopniowym pokrywaniu się rezultatów osiągniętych przeze mnie w poszczególnych stanach rzeczywistości niezwykłej z całościowymi rezultatami, do których dążył don Juan, w sprawach dotyczących potwierdzenia reguły, co oznacza, że stany te były wywoływane, aby reguła znalazła

potwierdzenie, potwierdzenie zaś stawało się coraz bardziej konkretne w efekcie każdej podjętej próby jego uzyskania.

Drugi ogólny proces wiążący się z wewnętrznym wymiarem rzeczywistości niezwykłej stanowi posuwanie się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania. Innymi słowy, chodzi o postrzegane przeze mnie w trakcie każdego kolejnego stanu tej rzeczywistości rozszerzanie się obszaru, jaki mogłem objąć swoją zdolnością skupiania uwagi. Pytanie polega na tym, czy rzeczywiście istnieje pewna rozszerzająca się sfera, czy też to moja zdolność postrzegania zdaje się wzrastać z każdym kolejnym stanem. Don Juan hołduje przekonaniu, że sfera ta istnieje i rozszerza się, ja zaś nazywam ów domniemany obszar “zakresem przyswajania". Jego postępujące rozszerzanie się polega na domniemanej sensorycznej rejestrami składników tworzących rzeczywistość niezwykłą, które mieszczą się w pewnym ustalonym zakresie. Rejestrowałem te składniki i dokonywałem ich analizy za pomocą – jak się wydaje – zmysłów, wszystko zaś wskazuje na to, że w każdym kolejnym stanie zakres ich występowania postrzegałem jako coraz rozleglejszy i więcej ogarniający.

Istnieją dwa rodzaje zakresu przyswajania: 1) zależny i 2) niezależny. Zakres zależny to obszar, w którego obrębie składniki w nim występujące były elementami otoczenia materialnego zarejestrowanymi przez moją świadomość we wcześniejszym stanie zwykłej rzeczywistości. Natomiast zakres niezależny to obszar, w którego obrębie tworzące go składniki zdawały się materializować same przez się, niezależnie od wpływu fizycznego otoczenia występującego w uprzedniej zwykłej rzeczywistości.

Co się tyczy spraw związanych z zakresem przyswajania, don Juan dał jasno do zrozumienia, że zarówno obaj sprzymierzeńcy, jak i Mescalito posiadają właściwość wywoływania obu rodzajów percepcji. Odniosłem wszelako wrażenie, że *Datura inoxia* posiada większą zdolność wywoływania zakresu niezależnego, choć w wypadku lotów – a moje doświadczenia tego typu były zbyt krótkotrwałe, bym je mógł ocenić – zakres przyswajania jest z natury rzeczy zależny. *Psilocybe mexicana* posiada zdolność wytwarzania zakresu zależnego, a *Lophophora williamsii* – obu.

Moim zdaniem don Juan korzystał z owych różnych właściwości, aby przygotować specjalny konsens. Innymi słowy, w stanach wywołanych przez *Datura inoxia* elementy składowe, odnośnie do których nie było zwykłego konsensu, istniały niezależnie od poprzedzającej je rzeczywistości zwykłej. W wypadku *Psilocybe mexicana* brak zwykłego konsensu wiązał się z występowaniem składników uzależnionych od otoczenia występującego w uprzedniej zwykłej rzeczywistości, a w wypadku *Lophophora williamsii* niektóre składniki były zdeterminowane przez otoczenie, podczas gdy inne były odeń niezależne. Tak więc wydaje się, że wykorzystanie aż trzech tych roślin pospołu ma na celu dostarczenie obfitego materiału percepcyjnego pozwalającego stwierdzić brak zwykłego konsensu w odniesieniu do elementów składowych rzeczywistości niezwykłej.

Ostatnim procesem związanym z wewnętrznym wymiarem tejże rzeczywistości było obserwowane przeze mnie podczas każdego kolejnego jej stanu narastanie możliwości jej wykorzystania praktycznego. Proces ów zdaje się korelować z przekonaniem, że każdy nowy stan jest bardziej niż poprzedni skomplikowanym etapem nauki i że rosnący stopień złożoności każdego stanu wymaga bardziej wszechstronnego i praktycznego wykorzystania rzeczywistości niezwykłej. Owo posuwanie się naprzód jest najłatwiej zauważalne w wypadku *Lophophora williamsii;* współwystępowanie zarówno zależnego, jak i niezależnego zakresu przyswajania w każdym stanie, wywołanym przez tę roślinę, nadaje praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej szerszy zasięg, odnosi się bowiem jednocześnie do obu tych zakresów.

Kierowanie wynikiem specjalnych stanów zwykłej rzeczywistości przyczynia się, jak się zdaje, do powstania w wymiarze wewnętrznym porządku cechującego się posuwaniem się elementów składowych ku konkretom, co oznacza, że w każdym kolejnym stanie rzeczywistości zwykłej występują one liczniej i dają się łatwiej wyodrębnić. W toku nauki don Juan wywołał jedynie dwa takie stany, mimo to mogłem stwierdzić, że w drugim z nich don Juanowi łatwiej było wyodrębnić wielką liczbę elementów składowych, a zdolność osiągnięcia konkretnych rezultatów wpływała na prędkość powstania drugiego ze specjalnych stanów rzeczywistości zwykłej (schemat przedstawiający poszczególne zespoły mojej analizy strukturalnej zawiera Dodatek B).

PORZĄDEK POJĘCIOWY

UCZEŃ

Pojęcie ucznia stanowi ostatni element porządku operacyjnego. Jest to pojęcie, wokół którego ześrodkowały się nauki don Juana, ponieważ uczeń musi zaakceptować w całej rozciągłości specjalny

konsens odnoszący się do składników wszystkich stanów rzeczywistości niezwykłej oraz wszystkich specjalnych stanów rzeczywistości zwykłej, nim jeszcze specjalny konsens przybierze postać pojęcia obdarzonego znaczeniem. Konsens ów – na mocy tego, że dotyczy on czynności i elementów postrzeganych w obrębie niezwykłej rzeczywistości – zakłada wszelako istnienie specyficznego porządku konceptualizacji nadającego owym czynnościom i elementom zgodność z potwierdzaną regułą. Akceptacja specjalnego konsensu oznaczała przeto dla mnie jako ucznia przyjęcie określonego punktu widzenia znajdującego potwierdzenie w całości nauk don Juana, oznaczała zatem, że wkraczam na płaszczyznę pojęciową obejmującą pewien porządek konceptualizacji pozwalającej zrozumieć jego nauki przy użyciu terminów, którymi posługiwał się sam don Juan. Nazwałem tę płaszczyznę "porządkiem pojęciowym", jako że nadaje on znaczenie niecodziennym zjawiskom składającym się na wiedzę don Juana; stanowi on matrycę znaczeniową, z której wywodzą się wszystkie poszczególne pojęcia występujące w jego naukach.

Zważywszy zatem, że cel ucznia polega na przyjęciu owego porządku konceptualizacji, ma on przed sobą dwie możliwości: jego wysiłki mogą zakończyć się fiaskiem bądź też powodzeniem.

Pierwsza możliwość – niezdolność przyjęcia owego porządku pojęciowego – oznacza zarazem, że uczeń nie zdoła również osiągnąć operacyjnego celu nauki. Symbolicznym wyrazem owego niepowodzenia jest wątek czterech wrogów człowieka wiedzy; rozumie się przy tym, że niepowodzenie nie polega jedynie na zaprzestaniu dążeń do osiągnięcia owego celu, lecz wiąże się także z całkowitym zaniechaniem poszukiwań wskutek nacisku wywołanego przez któregokolwiek z owych czterech symbolicznych wrogów. Z samego tego wątku wynika też jasno, że dwaj pierwsi wrogowie – strach i jasność umysłu – stanowią przyczynę klęski ucznia, a klęska na etapie ucznia oznacza niemożność nauczenia się, jak kierować sprzymierzeńcem, toteż w rezultacie tego niepowodzenia przyjęcie przez ucznia porządku pojęciowego odbywa się w sposób powierzchowny i fałszywy – fałszywy w tym sensie, że jest nieautentycznym przypisaniem się bądź opowiedzeniem po stronie sensu wynikającego z treści nauk. Chodzi o to, że pokonany uczeń – prócz tego, że nie jest w stanie zapanować nad sprzymierzeńcem – poprzestaje jedynie na znajomości pewnych technik manipulacyjnych oraz zapamiętaniu postrzeżonych przez siebie elementów składowych rzeczywistości niezwykłej, nie identyfikuje się wszakże z zasadą rozumową, która nadaje im zrozumiałość, opierając się na ich własnej logice. W tych warunkach każdy człowiek może zostać zmuszony do wysnucia własnych uzasadnień tłumaczących subiektywny wybór niektórych elementów doświadczonych przez niego zjawisk, który to proces pociąga za sobą mylne przyjęcie perspektywy poznawczej zawartej w naukach don Juana. Owo mylne przyjęcie porządku pojęciowego nie ogranicza się wszakże do samego ucznia. Z wątku wrogów człowieka wiedzy wynika niezbicie, że człowiek, który osiągnął cel, jakim jest nauczenie się, jak kierować sprzymierzeńcem, może i tak skapitulować w obliczu ataków dwóch pozostałych swych wrogów – mocy i podeszłego wieku. Ze schematu kategoryzacji, jakim posługuje się don Juan, wynika, że kapitulacja taka wiąże się z powierzchownym bądź nieautentycznym przyjęciem porządku pojęciowego, tak samo jak w wypadku pokonanego ucznia.

Pomyślne przyjęcie porządku pojęciowego oznacza natomiast, że uczeń osiągnął cel operacyjny, którym jest autentyczne przyjęcie punktu widzenia zawartego w naukach. Owa autentyczność przyjęcia porządku pojęciowego wyraża się w całkowitym przypisaniu się bądź całkowitym opowiedzeniu się po stronie, której porządek ów jest wyrazem.

Don Juan nigdy nie sprecyzował jasno, w którym dokładnie momencie, bądź w jaki dokładnie sposób, uczeń przestaje być uczniem, choć dał wyraźnie do zrozumienia, że osiągnąwszy operacyjny cel systemu – zdobycie umiejętności panowania nad sprzymierzeńcem – przestaje on już potrzebować przewodnictwa nauczyciela.

Przekonanie, że nadejdzie moment, gdy wskazówki nauczyciela staną się zbyteczne, oznacza, że uczniowi uda się kiedyś przyjąć porządek pojęciowy, dzięki czemu zdobędzie on umiejętność wyciągania sensownych wniosków bez pomocy nauczyciela.

W ramach nauk don Juana, przynajmniej do momentu, w którym przestałem je pobierać, akceptacja specjalnego konsensu pociągała za sobą, jak się zdaje, przyjęcie dwóch elementów porządku pojęciowego: 1) wyobrażenia o rzeczywistym charakterze specjalnego konsensu oraz 2) przekonania, iż realność zwykłego, znamionującego codzienne życie konsensu i realność konsensu specjalnego posiadają tę samą wartość praktyczną.

Rzeczywistość specjalnego konsensu

Trzon nauk don Juana – jak sam stwierdził – dotyczy użycia trzech roślin halucynogennych, za

pomocą których wywołuje on stany rzeczywistości niezwykłej. Wydaje się, że korzysta z nich w sposób całkowicie świadomy i przemyślany, a także, że czyni to dlatego, iż każda z owych roślin posiada odmienne właściwości halucynogenne, które tłumaczy jako przejaw immanentnego charakteru zawartych w nich różnych mocy. Kierując zewnętrznym i wewnętrznym wymiarem rzeczywistości niezwykłej, don Juan tak długo korzystał z różnych właściwości halucynogennych tych roślin, aż powstało we mnie – jego uczniu – wrażenie, że rzeczywistość niezwykła stanowi ściśle wyodrębnioną sferę, różniącą się wyraźnie od zwykłego, codziennego życia, której immanentne cechy ujawniają się w miarę postępów w nauce.

Istnieje wszakże również możliwość, że owe rzekomo odmienne właściwości mogły być jedynie wytworem samego, nadzorowanego przez don Juana, procesu zawiadywania wewnętrznym porządkiem rzeczywistości niezwykłej, choć w swych naukach odwołuje się on do twierdzenia, że moc zawarta w każdej z tych roślin wywołuje stany rzeczywistości niezwykłej różniące się od siebie. Jeśli twierdzenie to odpowiada prawdzie, różnice owe ujmowane w kategoriach poszczególnych elementów niniejszej analizy zdają się mieścić w zakresie percepcji występującym w stanach wywołanych przez każdą z owych trzech roślin. W związku ze specyficznymi cechami, znamionującymi odpowiadający im zakres przyswajania, wszystkie trzy powodują powstanie wrażenia, że istnieje ściśle wyodrębniona sfera czy też obszar, który tworzą dwa segmenty: zakres niezależny, zwany dziedziną jaszczurek bądź dziedziną nauk Mescalito, oraz zakres zależny, czyli sfera, w której człowiek porusza się o własnych siłach.

Terminu “rzeczywistość niezwykła" używam Jak wcześniej wspomniałem, w znaczeniu rzeczywistości niecodziennej, osobliwej. Dla początkującego ucznia rzeczywistość taka była istotnie absolutnie niezwykła, przyswajanie sobie wiedzy don Juana wymagało jednak obowiązkowego uczestnictwa i całkowitego oddania się praktykowaniu – również w formie eksperymentów – wszystkiego, czego się nauczyłem. Oznacza to, iż jako uczeń musiałem doświadczyć pewnej liczby stanów rzeczywistości niezwykłej, nabyta zaś z pierwszej ręki wiedza odbierała prędzej czy później takim określeniom, jak “zwykły" i “niezwykły", wszelkie znaczenie. Autentyczne przyswojenie sobie owej pierwszej jednostki pojęciowej porządku konceptualnego pociąga tedy za sobą przekonanie, że istnieje pewna odrębna, bynajmniej jednak nie niezwykła, sfera rzeczywistości, “rzeczywistość specjalnego konsensu".

Przyjęcie owego istotnego założenia, wedle którego rzeczywistość specjalnego konsensu stanowi odrębną sferę, tłumaczyłoby w sensowny sposób przeświadczenie, iż spotkania ze sprzymierzeńcami lub Mescalito odbywają się w obrębie rzeczywistości nie będącej złudzeniem.

Rzeczywistość specjalnego konsensu ma wartość praktyczną

Te same procesy polegające na kierowaniu zewnętrznym i wewnętrznym wymiarem rzeczywistości niezwykłej, które prowadziły, jak się zdaje, do uznania rzeczywistości specjalnego konsensu za odrębną sferę, przyczyniły się także w decydującej mierze do wywołania u mnie wrażenia, że rzeczywistość ta ma zastosowanie praktyczne. Akceptacja specjalnego konsensu w odniesieniu do wszystkich stanów rzeczywistości niezwykłej oraz wszystkich specjalnych stanów rzeczywistości zwykłej ma na celu utrwalenie przeświadczenia, że równa się on rzeczywistości zwykłego, typowego dla codziennego życia konsensu. Zrównanie owo opiera się na doznaniu, że rzeczywistość specjalnego konsensu nie daje się utożsamić z marzeniami sennymi. Przeciwnie – składają się na nią ustalone elementy podlegające specjalnemu rodzajowi porozumienia. Stanowi ona w istocie domenę, w której można postrzegać otoczenie w pewien świadomy sposób. Tworzące ją elementy składowe nie mają charakteru subiektywnego ani nie wynikają z kaprysów niczyjej natury, lecz stanowią zwięźle zarysowane składniki bądź wydarzenia, których istnienie potwierdza cały system nauk.

Jasnym unaocznieniem owego równorzędnego statusu jest podejście don Juana do rzeczywistości specjalnego konsensu, będące podejściem użytkowym i zrozumiałym samo przez się; ani raz nie uczynił on do niej żadnej aluzji, nie żądał też ode mnie, bym odnosił się do niej inaczej, jak tylko w użytkowy i rzeczowy sposób. To, że obie sfery uważane są za równe sobie, nie oznacza wszakże, że w którymkolwiek momencie mogłem zachowywać się w obu tych sferach tak samo. Przeciwnie – postępowanie czarownika musi być odmienne, ponieważ każda z nich posiada cechy stwarzające specyficzne możliwości ich wykorzystania. O ich znaczeniu zdaje się przesądzać przekonanie, że ową równorzędność można ustalić na podstawie użyteczności praktycznej. Czarownik musi być zatem przekonany, że istnieje możliwość przenoszenia się z jednej sfery do drugiej, że ze swej istoty nadają się one do użycia, a jedyną zachodzącą między nimi różnicą jest odmienny rodzaj możliwości ich użycia, czyli odmienność celów, jakim służą.

Wydaje się wszakże, że ich odrębność wynika jedynie z miejsca, jakie zajmowały na właściwym

dla mnie etapie terminowania, a don Juan korzystał z tego, by uprzytomnić mi możliwość istnienia owego innego obszaru rzeczywistości. Na podstawie jednak tego, co robił – może bardziej, niż mówił – skłaniam się do przekonania, że dla czarownika istnieje tylko jedno kontinuum rzeczywistości złożone z dwóch, a może więcej niż dwóch części, z których wyprowadzał on wnioski o znaczeniu praktycznym. Dobrowolna akceptacja przeświadczenia o praktycznej wartości rzeczywistości specjalnego konsensu nadałaby ruchowi sensowną perspektywę.

Gdybym zgodził się z przekonaniem, że rzeczywistość specjalnego konsensu daje się wykorzystać, ponieważ posiada immanentne właściwości możliwe do wykorzystania, a obdarzone taką samą wartością praktyczną jak właściwości cechujące rzeczywistość konsensu potocznego, wówczas w sposób logiczny mógłbym zrozumieć powody, dla których don Juan w tak wielkim stopniu wykorzystywał pojęcie ruchu w rzeczywistości specjalnego konsensu. Czarownikowi, który zaakceptował praktyczne istnienie innej rzeczywistości, pozostaje do zrobienia już tylko jedno: nauczyć się mechanizmu rządzącego owym ruchem. W tym wypadku musi on mieć, rzecz jasna, charakter szczególny, gdyż wiąże się z immanentnymi właściwościami praktycznymi rzeczywistości specjalnego konsensu.

PODSUMOWANIE

Analizą, którą przeprowadziłem, objęte zostały następujące sprawy:

1. Przedstawione tu przeze mnie nauki don Juana mają dwa aspekty: porządek operacyjny, czyli obdarzona znaczeniem kolejność, w jakiej poszczególne pojęcia składające się na jego nauki zostały powiązane z sobą w pewien spójny układ, oraz porządek pojęciowy, czyli matryca sensu, z której wywodzą się wszystkie pojęcia tworzące wiedzę don Juana.

2. Na porządek operacyjny składają się cztery podstawowe zespoły pojęciowe: 1) pojęcie “człowieka wiedzy"; 2) przekonanie, że człowiek wiedzy korzysta z pomocy pewnej szczególnego rodzaju mocy zwanej sprzymierzeńcem; 3) przekonanie, wedle którego sprzymierzeniec kieruje się pewnym zbiorem zasad zwanym regułą oraz 4) przekonanie, że potwierdzenie owej reguły podlega specjalnemu konsensowi.

3. Owe cztery jednostki strukturalne są z sobą powiązane w następujący sposób: celem porządku operacyjnego jest nauczenie sposobu, w jaki zostaje się człowiekiem wiedzy; człowiek wiedzy tym różni się od zwykłych ludzi, że posiada sprzymierzeńca; sprzymierzeniec jest szczególnego rodzaju potęgą kierującą się pewną regułą; można go pozyskać lub oswoić dzięki procesowi weryfikacji jego reguły w obrębie rzeczywistości niezwykłej i dzięki uzyskaniu specjalnego konsensu w odniesieniu do wyników owej weryfikacji.

4. Z nauk don Juana wynika, że zostanie człowiekiem wiedzy nie jest jednorazowym i trwałym w skutkach osiągnięciem, lecz raczej procesem. Oznacza to, że tym, co czyni z kogoś człowieka wiedzy, nie jest wyłącznie posiadanie sprzymierzeńca, lecz trwająca całe życie walka o utrzymanie się w ramach pewnego systemu wierzeń. Nauki don Juana mają wszakże na celu skutki praktyczne, związane z tym, jak zostać człowiekiem wiedzy – celem don Juana jest nauczyć, w jaki sposób pozyskać sobie sprzymierzeńca, poznając regułę, jaką się kieruje. Tak więc celem porządku operacyjnego jest dostarczenie uczniowi specjalnego konsensu w odniesieniu do elementów składowych postrzeganych w rzeczywistości niezwykłej, które uznawane są za potwierdzenie reguły sprzymierzeńca.

5. Aby dostarczyć specjalnego konsensu odnoszącego się do potwierdzenia reguły sprzymierzeńca, don Juan musi dostarczyć go w odniesieniu do elementów składowych wszystkich stanów rzeczywistości niezwykłej oraz specjalnych stanów rzeczywistości zwykłej wywołanych w trakcie nauki. Specjalny konsens dotyczy zatem niecodziennych zjawisk, to zaś pozwala mi wysnuć przypuszczenie, że uczeń – poprzez akceptację specjalnego konsensu – przyjmuje ostatecznie porządek pojęciowy poznawanej przez siebie wiedzy.

6. Z perspektywy fazy, do której sam doszedłem w nauce, mogę wywnioskować, że do momentu, w którym wycofałem się z terminowania u don Juana, nauki jego nakierowane były na przyjęcie dwóch zespołów porządku pojęciowego: 1) przekonania, że istnieje odrębna sfera rzeczywistości – inny świat – nazwana przeze mnie “rzeczywistością specjalnego konsensu", oraz 2) przekonania, że owa rzeczywistość, ów inny świat, daje się spożytkować tak samo jak świat, w którym żyjemy na co dzień.

Niemal sześć lat po rozpoczęciu przeze mnie nauki wiedza don Juana nabrała po raz pierwszy cech pewnej spójnej całości. Uświadomiłem sobie, że zmierzał on do tego, by dostarczyć moim osobistym odkryciom nie budzącego wątpliwości konsensu i choć przerwałem naukę, bo nie byłem i

nigdy nie będę gotowy poddać się jej surowym wymogom, sposób, w jaki próbowałem sprostać kryteriom narzuconym przez jego osobisty wysiłek, polegał na tym, że podjąłem próbę zrozumienia jego nauk. Czułem, że muszę koniecznie udowodnić, choćby samemu sobie, że nie są one zbiorem dziwactw.

Kiedy ułożyłem swój schemat strukturalny – uzyskawszy możliwość pominięcia wielu danych, które były zbędne z punktu widzenia podjętej przeze mnie na początku próby odsłonięcia logiki nauk don Juana – stało się dla mnie jasne, że cechuje je wewnętrzna spójność, że posiadają one pewien logiczny układ, który pozwolił mi ująć całe zjawisko w sposób eliminujący owo poczucie osobliwej dziwności cechujące wszystkie moje doznania. Stało się dla mnie wówczas oczywiste, że moje terminowanie było jedynie początkiem bardzo długiej drogi. A trud doznanych przeze mnie przeżyć, które położyły się na mnie tak wielkim brzemieniem, stanowił zaledwie drobny fragment logicznego systemu myślowego, z którego don Juan wyciągał w swym codziennym życiu wnioski o głębokim znaczeniu; zgłębianie zaś owego rozległego i zawiłego systemu wierzeń pozwoliło mi doświadczyć radosnych uniesień.

DODATEK A: PROCES UPRAWOMOCNIENIA SPECJALNEGO KONSENSU

Uprawomocnienie specjalnego konsensu wiązało się zawsze z kumulacją efektów nauk don Juana. W celu wyjaśnienia procesu owej kumulacji nadałem operacji uprawomocnienia taką kolejność, w jakiej wystąpiły specjalne stany rzeczywistości niezwykłej i specjalne stany rzeczywistości zwykłej. Wydaje się, że don Juan nie kierował wewnętrznym porządkiem obu tych rodzajów rzeczywistości w jakiś ustalony sposób, lecz raczej dokonywał dość elastycznego wyodrębnienia elementów, którymi kierował.

Don Juan rozpoczął przygotowywanie gruntu pod specjalny konsens od wywołania pierwszego specjalnego stanu rzeczywistości zwykłej dzięki procesowi manipulowania wskazówkami odnoszącymi się do otoczenia. Posługując się tą metodą, wyodrębnił on niektóre elementy składowe wchodzące w zakres rzeczywistości zwykłej, dzięki czemu pokierował mną tak, że zaobserwowałem posuwanie się ku pewnym konkretnym elementom, mianowicie ku percepcji kolorów, które zdawały się emanować z dwóch niewielkich obszarów na podłodze. W momencie wyodrębnienia owych stref zabarwienia utraciły one zwykły konsens; odniosłem wrażenie, że tylko ja jestem zdolny je zobaczyć, i właśnie na tym polegał ów wywołany przez nie specjalny stan rzeczywistości zwykłej.

Wyodrębnienie dwóch miejsc na podłodze, które dokonało się dzięki pozbawieniu ich zwykłego konsensu, służyło przerzuceniu pierwszego pomostu między rzeczywistością zwykłą i niezwykłą. Don Juan tak mną pokierował, bym w niecodzienny sposób postrzegał fragment zwykłej rzeczywistości, nadając tym samym niektórym zwykłym elementom postać wymagającą konsensu.

Pokłosiem owego pierwszego specjalnego stanu rzeczywistości zwykłej była rekapitulacja mych doznań przedstawiona don Juanowi, który percepcję miejsc o różnym zabarwieniu uczynił przedmiotem wzmocnienia pozytywnego. Wzmocnienie negatywne nadał on natomiast tym fragmentom mojej relacji, które dotyczyły odczuwanego przeze mnie strachu i zmęczenia oraz ewentualnemu brakowi wytrwałości.

Lwią część swych rozważań podczas okresu przygotowawczego, który potem nastąpił, poświęcił on wyodrębnionym w ten sposób elementom, akcentując przekonanie, że istnieje możliwość odkrycia w otoczeniu czegoś więcej, niż się to zwykle czyni. Opierając się na owych elementach zaczerpniętych z podsumowania mych doświadczeń, don Juan wprowadził także niektóre z pojęć składających się na wizerunek człowieka wiedzy.

W ramach kolejnego etapu przygotowywania specjalnego konsensu w odniesieniu do potwierdzenia reguły don Juan wywołał stan rzeczywistości niezwykłej za pomocą rośliny *Lophophora williamsii.* Ogólna treść pierwszego stanu rzeczywistości niezwykłej była dość mglista i pozbawiona spójności, ale poszczególne jej elementy składowe miały postać wyraźnie określoną; toteż spostrzegłem charakterystyczne jej cechy – stabilność, niepowtarzalność i brak zwykłego konsensu – niemal tak samo wyraźnie jak w stanach późniejszych. Owe charakterystyczne cechy nie narzucały się z tak wielką oczywistością, być może dlatego, że brak mi było wprawy, jako że doświadczyłem wówczas rzeczywistości niezwykłej po raz pierwszy.

Nie sposób było ustalić rzeczywistego wpływu wcześniejszych pouczeń don Juana na faktyczny przebieg moich doznań, ale nie miałem żadnych wątpliwości, że kierował on skutkami stanów niezwykłej rzeczywistości po mistrzowsku.

Na podstawie uczynionego przeze mnie podsumowania tego przeżycia, don Juan dokonał wyboru tych elementów, które sterowały posuwaniem się ku konkretnym niepowtarzalnym formom i określonym wynikom całościowym. Moją relację o tym, co robiłem z psem, powiązał z wyobrażeniem o widzialnej postaci, jaką przybiera Mescalito. Był on istotą zdolną przyjąć dowolną postać, przede wszystkim zaś istotą obiektywnie istniejącą.

Moja relacja na temat psa pozwoliła również don Juanowi zapoczątkować posuwanie się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania, w tym wypadku – ku zakresowi zależnemu. Don Juan nadał pozytywne wzmocnienie przeświadczeniu, że poruszałem się i działałem w obrębie rzeczywistości niezwykłej prawie tak samo, jak uczyniłbym to w życiu codziennym.

Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej odbywało się dzięki negatywnemu wzmocnieniu tych fragmentów mej relacji, które odnosiły się do niemożności logicznego zwrócenia przeze mnie uwagi na postrzegane elementy składowe. Don Juan napomknął

przy tym, że jest możliwe, bym poddał te elementy dokładnej i chłodnej analizie, co równało się wyszczególnieniu dwóch podstawowych cech rzeczywistości niezwykłej: tego, że ma ona walor praktyczny i że posiada elementy składowe, które można zarejestrować za pomocą zmysłów.

Brak zwykłego konsensu w odniesieniu do owych składników ujawnił się z całym dramatyzmem wskutek gry wzmocnień pozytywnych i negatywnych, która oddziaływała na opinie osób obserwujących moje zachowanie w trakcie pierwszego stanu rzeczywistości niezwykłej.

Okres przygotowawczy, który nastąpił po tymże stanie, trwał ponad rok. Don Juan wykorzystał ten czas na wprowadzenie większej liczby elementów składających się na pojęcie człowieka wiedzy oraz ujawnienie niektórych części reguły obu sprzymierzeńców. Doprowadził również do płytkiego stanu rzeczywistości niezwykłej, aby wypróbować moje pokrewieństwo ze sprzymierzeńcem mieszczącym się w *Datura inoxia.* Wszelkie najmniej nawet wyraźne wrażenia, jakich doznałem podczas owego płytkiego stanu, don Juan wykorzystał w celu nakreślenia ogólnej charakterystyki owego sprzymierzeńca, zestawiając ją z tym, co uznał za dające się zaobserwować cechy charakterystyczne Mescalito.

Trzeci etap przygotowań specjalnego konsensu dotyczącego potwierdzenia reguły polegał na wywołaniu kolejnego stanu rzeczywistości niezwykłej za pomocą *Lophophora williamsii.* Wydaje się, że sposób, w jaki don Juan kierował treścią mych postrzeżeń, prowadził do tego, że doświadczyłem owego drugiego stanu rzeczywistości niezwykłej następująco:

Posuwanie się ku temu, co konkretnie stworzyło możliwość ujrzenia istoty, której kształt uległ daleko idącym zmianom – od znajomego kształtu psa w pierwszym stanie do całkowicie nieznanego tworu antropomorficznego istniejącego, jak się zdawało, niezależnie ode mnie.

Ewidentny przejaw posuwania się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania stanowiły postrzeżenia, które wyniosłem z mej podróży. Zakres przyswajania był w jej trakcie zarówno zależny, jak i niezależny, jakkolwiek większość jej składników uzależniona była od otoczenia występującego w uprzednim stanie rzeczywistości zwykłej.

Posuwanie się ku praktyczniejszemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej stanowiło być może najbardziej widoczną cechę mego drugiego stanu. Stało się dla mnie oczywiste – w sposób złożony i bardzo konkretny – że istnieje możliwość swobodnego poruszania się w obrębie rzeczywistości niezwykłej.

Poddałem również jej składniki chłodnej i dokładnej analizie. Bardzo wyraźnie zaobserwowałem cechujące je stabilność, niepowtarzalność i brak konsensu.

Don Juan położył nacisk na następujący element dokonanego przeze mnie podsumowania moich doznań: aby posunąć się ku temu, co konkretne, nadał on pozytywne wzmocnienie zawartemu w mej relacji stwierdzeniu, że ujrzałem Mescalito w człekokształtnej postaci. Gros swych rozważań w tym zakresie poświęcił on przekonaniu, że Mescalito może być nauczycielem, a także obrońcą.

Chcąc pokierować procesem poszerzania się zakresu przyswajania, don Juan nadał pozytywne wzmocnienie relacji dotyczącej mej podróży, która z pewnością odbyła się w zakresie zależnym; takie samo wzmocnienie nadał również mojej wersji scen, które ujrzałem na dłoni Mescalito; wydawało się, że były one niezależne od składników poprzedzającej podróż zwykłej rzeczywistości.

Relacja o mej podróży oraz o scenach, które ujrzałem na dłoni Mescalito, pozwoliła również don Juanowi na pokierowanie posuwaniem się ku praktyczniejszemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej. Najpierw wystąpił on z tezą, że istnieje możliwość uzyskania orientacji, potem zaś zinterpretował owe sceny jako lekcje odnoszące się do właściwego sposobu życia.

Na niektóre fragmenty mej rekapitulacji dotyczące postrzeżenia tworów zbytecznych nie położono w ogóle nacisku, ponieważ były one nieprzydatne w ustaleniu kierunku, w jakim zmierzał porządek wewnętrzny.

Następny stan rzeczywistości niezwykłej – trzeci z kolei – wywołany został w celu potwierdzenia reguły sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia.* Po raz pierwszy okres przygotowawczy był istotny i łatwo zauważalny. Don Juan przedstawił techniki manipulacyjne oraz ujawnił, że specyficznym celem, jaki miałem potwierdzić, było wróżenie.

Sposób, w jaki kierował on uprzednio trzema aspektami porządku wewnętrznego, prowadził, jak się zdaje, do następujących rezultatów: posuwanie się ku temu, co konkretne, przejawiało się w tym, że potrafiłem postrzec sprzymierzeńca jako pewną jakość, zweryfikowałem zatem twierdzenie, że sprzymierzeniec jest całkiem niewidzialny. Posuwanie się ku konkretom wywołało również osobliwą

percepcję serii obrazów bardzo podobnych do tych, które oglądałem na dłoni Mescalito. Don Juan zinterpretował owe sceny jako wróżenie, czyli potwierdzenie specyficznego celu reguły.

Zobaczenie serii owych obrazów wiązało się także z posuwaniem się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania. Tym razem zakres ów był niezależny od otoczenia występującego we wcześniejszej zwykłej rzeczywistości. Sceny owe nie sprawiały wrażenia nałożonych jakby na elementy składowe, jak w wypadku obrazów na dłoni Mescalito – w istocie, oprócz składników tworzących owe sceny, żadnych innych elementów składowych nie było. Innymi słowy, całościowy zakres przyswajania był niezależny.

Wystąpienie owego całkowicie niezależnego zakresu stanowiło również przejaw posuwania się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu niezwykłej rzeczywistości. Wróżenie implikowało możliwość nadania użyteczności wszystkiemu, co się zobaczyło.

W celu pokierowania posuwaniem się ku konkretom, don Juan nadał pozytywne wzmocnienie przeświadczeniu, że nie istnieje możliwość poruszania się o własnych siłach w niezależnym zakresie przyswajania, doświadczany tam ruch interpretował on jako pośredni, odbywający się w tym konkretnym wypadku za pośrednictwem jaszczurek. W celu nadania kierunku drugiemu aspektowi wymiaru wewnętrznego – posuwaniu się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania – w swych rozważaniach skupił się głównie na przekonaniu, że mogłem analizować oglądane przeze mnie sceny – będące odpowiedzią na moje wróżebne pytania – i przedłużać ich trwanie, jak długo tylko chciałem. Kierując posuwaniem się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu niezwykłej rzeczywistości, don Juan nadał pozytywne wzmocnienie przekonaniu, że przedmiot objęty wróżeniem powinien być prosty i jasno określony, by można było uzyskać możliwy do spożytkowania rezultat.

Celem czwartego stanu rzeczywistości niezwykłej było także potwierdzenie reguły sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia;* chodziło w nim mianowicie o ten jego aspekt, który wiązał się z lataniem jako formą fizycznego ruchu.

W wyniku kierowania procesem konkretyzacji można było doświadczyć fizycznego szybowania w powietrzu. Było to doznanie bardzo wyraźne, choć brak mu było głębi charakterystycznej dla sposobu, w jaki postrzegałem wszystkie wcześniejsze czynności wykonywane przeze mnie w obrębie rzeczywistości niezwykłej. Odniosłem wrażenie, że ów lot fizyczny odbywał się w zależnym zakresie przyswajania i polegał na poruszaniu się o własnych siłach, które to wrażenie mogło być wynikiem posuwania się ku szerszemu zakresowi przyswajania.

Pozostałe dwa aspekty doznanego przeze mnie wrażenia unoszenia się w powietrzu mogły stanowić rezultat kierowania posuwaniem się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej. Obejmowały one – po pierwsze – taki sposób postrzegania odległości, który wywoływał wrażenie rzeczywistego lotu, po drugie zaś możliwość nadania owemu domniemanemu ruchowi określonego kierunku.

Podczas późniejszego okresu przygotowawczego don Juan oddał się rozważaniom nad rzekomo destruktywną naturą sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia.* Wyodrębnił następujące miejsce mej relacji: w celu pokierowania posuwaniem się ku temu, co konkretne, nadał on pozytywne wzmocnienie zapamiętanemu przeze mnie szybowaniu w przestworzach. Jakkolwiek nie spostrzegłem elementów składowych owego stanu rzeczywistości niezwykłej w sposób równie wyraźny jak ten, do którego się zdążyłem przyzwyczaić – doznanie ruchu było bardzo wyraźne, a don Juan skorzystał z tego, by utrwalić ów konkretny rezultat doświadczonego przeze mnie ruchu. Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej przyjęło postać skupienia rozważań na przeświadczeniu, że czarownicy mogą odbywać loty na ogromną odległość, z czego mogło wynikać, że istnieje możliwość poruszania się w zależnym zakresie przyswajania i przeniesienia potem tegoż ruchu w obręb zwykłej rzeczywistości.

Piąty stan rzeczywistości niezwykłej wytworzył sprzymierzeniec zawarty w *Psilocybe mexicana.* Roślina ta została wówczas użyta po raz pierwszy, sam zaś stan, który wywołała, miał więcej wspólnego ze sprawdzianem niż z próbą potwierdzenia reguły. Podczas okresu przygotowawczego don Juan zapoznał mnie tylko z techniką manipulacyjną; nie wyjawił mi konkretnego celu do zweryfikowania, toteż nie sądziłem, by ów stan został wywołany w celu potwierdzenia reguły. Wydaje się jednak, że kierunek nadany wewnętrznemu wymiarowi rzeczywistości niezwykłej doprowadził ostatecznie do poniższych rezultatów.

Kierowanie się ku określonym wynikom całościowym wywołało u mnie wrażenie, że obaj sprzymierzeńcy różnią się od siebie, a także od Mescalito. Sprzymierzeńca zawartego w *Psilocybe mexicana* postrzegałem jako pewną jakość – bezkształtną i niewidzialną – wywołującą wrażenie

bezcielesności. Rezultatem posuwania się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania było wrażenie, że całe otoczenie tworzące wcześniejszą rzeczywistość zwykłą – której istnienia byłem nadal świadomy – można było wykorzystać w rzeczywistości niezwykłej, co oznaczało, że zakres zależny rozciągał się jakby na wszystko. Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej wywołało osobliwe wrażenie w obrębie zależnego zakresu przyswajania, mimo że wydawały się one zwykłymi elementami życia codziennego.

Don Juan nie zażądał ode mnie zwyczajowej rekapitulacji mych doświadczeń; brak konkretnego celu nadał jakby owemu stanowi rzeczywistości niezwykłej charakter li tylko przedłużonego etapu przejściowego. Podczas późniejszego okresu przygotowawczego oddał się on jednak rozważaniom dotyczącym niektórych spostrzeżeń, jakie poczynił na temat mego zachowania w trakcie tegoż doświadczenia.

Negatywne wzmocnienie nadal on impasowi logicznemu, który pozbawił mnie wiary w to, że istnieje możliwość przeniknięcia przez przedmioty bądź istoty. Opierając się na tym przeświadczeniu, pokierował posuwaniem się ku konkretnym wynikom całościowego poruszania się poprzez elementy składowe rzeczywistości niezwykłej, zaobserwowane przeze mnie w obrębie zależnego zakresu przyswajania.

Te same spostrzeżenia wykorzystał don Juan do pokierowania drugim aspektem wymiaru wewnętrznego – rozległej szyna zakresem przyswajania. Jeśli możliwy był ruch poprzez rzeczy i istoty, to odpowiednio do tego musiał się rozszerzyć zakres zależny; powinien on objąć całe otoczenie uprzedniej zwykłej rzeczywistości stanowiącej treść świadomości danego człowieka w dowolnym momencie jej trwania, ponieważ ruch pociągał za sobą ustawiczną zmianę otoczenia. Z przeświadczenia tego wynikało również to, że *rzeczywistość* niezwykłą można wykorzystać w sposób bardziej praktyczny. Przenikanie poprzez obiekty i istoty dawało pewną uprzywilejowaną pozycję, która była nieosiągalna dla czarownika w obrębie zwykłej rzeczywistości.

W dalszym ciągu don Juan wykorzystał serię trzech stanów rzeczywistości niezwykłej, wywołanych przez *Lophophora williamsii;* do przygotowania specjalnego konsensu w odniesieniu do potwierdzenia reguły. Stany te zostały tu ujęte jako jedna całość, ponieważ nastąpiły w ciągu kolejnych czterech dni, a podczas kilkugodzinnych przerw między nimi nie miałem z don Juanem żadnego kontaktu. Porządek wewnętrzny owych trzech stanów uznano również za jedną całość posiadającą poniższe cechy charakterystyczne: wystąpienie Mescalito pod postacią widzialnej istoty człekokształtnej, zdolnej do uczenia. Z możliwości udzielania lekcji wynikała zdolność Mescalito do oddziaływania na ludzi.

Posuwanie się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania osiągnęło moment, kiedy swoim postrzeganiem objąłem oba zakresy jednocześnie i nie potrafiłem ich od siebie odróżnić inaczej jak tylko pod względem sposobu poruszania się. W zakresie zależnym mogłem poruszać się o własnych siłach i mocą mej własnej woli, ale w zakresie niezależnym mogłem to uczynić jedynie za pomocą narzędzia, jakim był Mescalito. Tytułem przykładu – lekcje Mescalito zawierały ciąg obrazów, które mogłem jedynie oglądać. Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej wiązało się z przeświadczeniem, że Mescalito może istotnie udzielić lekcji na temat prawidłowego sposobu życia.

Podczas okresu przygotowawczego, który nastąpił po ostatnim z tej serii stanów rzeczywistości niezwykłej, don Juan dokonał selekcji następujących elementów: w celu posuwania się ku temu, co konkretne, nadał on pozytywne wzmocnienie przekonaniu, że Mescalito może pomóc w poruszaniu się w obrębie niezależnego zakresu przyswajania i że jest on istotą mogącą pełnić rolę nauczyciela udzielającego lekcji w ten sposób, że dopuszcza człowieka do poznania świata wizyjnego. Zastanawiał się również nad znaczeniem tego, że Mescalito wyjawił swe imię i nauczył mnie kilku pieśni; oba te fakty miały stanowić ilustrację możliwości pełnienia przez Mescalito roli obrońcy. Uwypuklił on także to, że oglądałem Mescalito pod postacią snopu światła, w czym dopatrzył się możliwości, że ostatecznie przybierze on dla mnie na stałe formę abstrakcyjną.

Podkreślanie tych samych elementów służyło don Juanowi do kierowania posuwaniem się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania. W trakcie owych stanów rzeczywistości niezwykłej spostrzegłem wyraźnie, że zarówno zależny, jak i niezależny zakres przyswajania są dwoma odrębnymi aspektami tejże rzeczywistości, mającymi równie istotne znaczenie. Zakres niezależny był domeną, w której obrębie Mescalito udzielał swych lekcji, ponieważ zaś wolno było przypuszczać, że jedynym celem wywołania tych stanów było otrzymanie tych lekcji, zakres ów stanowił w logiczny sposób obszar o specjalnym znaczeniu. Mescalito był obrońcą i sprzymierzeńcem, co oznaczało, że posiadał widzialną postać, kształt jednak, w jakim się pojawiał, nie miał nic wspólnego z

wcześniejszym stanem zwykłej rzeczywistości. Z drugiej strony wszakże istniało założenie o potrzebie podróżowania, poruszania się w obrębie rzeczywistości niezwykłej, którego celem było otrzymanie od Mescalito lekcji – z przeświadczenia tego wynikało zaś istotne znaczenie zakresu zależnego.

Posuwanie się bardziej ku praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej odbywało się dzięki poświęceniu lwiej części rozważań lekcjom Mescalito. Don Juan upatrywał w nich niezbędny składnik ludzkiego życia; płynął stąd jasny wniosek, że rzeczywistość niezwykłą można wykorzystać w bardziej praktyczny sposób, konstruując na jej podstawie takie punkty odniesienia, jakie posiadają wartość w zwykłej rzeczywistości. Taki wniosek don Juan sformułował wówczas po raz pierwszy.

Kolejny stan rzeczywistości niezwykłej – dziewiąty z kolei – wywołany został w celu potwierdzenia reguły sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia.* Konkretny cel, który miał znaleźć w tym stanie potwierdzenie, wiązał się z wróżeniem, wcześniejsze zaś kierowanie wymiarem wewnętrznym dało w efekcie następujące rezultaty. Posuwanie się ku konkretnemu wynikowi całościowemu doprowadziło do ujrzenia spoistego zespołu obrazów, będących rzekomo głosem jaszczurki relacjonującej wypadki objęte wróżeniem oraz do usłyszenia głosu istotnie opisującego oglądane sceny. Wynikiem posuwania się ku niezależnemu zakresowi przyswajania było wystąpienie obszernego i wyraźnego zakresu niezależnego, wolnego od wpływu zewnętrznej rzeczywistości zwykłej. Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej doprowadziło do pojawienia się użytecznych sposobów wyzyskania zakresu niezależnego. Tendencję tę zapoczątkowały rozważania don Juana dotyczące możliwości skonstruowania punktów odniesienia na podstawie zakresu niezależnego i wykorzystania ich w zwykłej rzeczywistości. Sceny wróżebne miały zatem oczywisty walor praktyczny, ich intencją było bowiem stworzenie możliwości ujrzenia czynów dokonanych przez innych ludzi, do których to czynów nie było dostępu w żaden zwykły sposób.

W okresie przygotowawczym, który potem nastąpił, don Juan większy nacisk położył na wątki składowe tworzące pojęcie człowieka wiedzy. Wydawało się, że przygotowuje się do skupienia całego wysiłku na pozyskaniu tylko jednego z dwóch sprzymierzeńców – *humito.* Nadał on wszakże pozytywne wzmocnienie przekonaniu, że łączy mnie bliskie pokrewieństwo ze sprzymierzeńcem zawartym w *Datura inoxia,* gdyż pozwolił mi on być świadkiem elastyczności reguły, gdy popełniłem błąd w technice manipulacyjnej. Do mego przeświadczenia o gotowości don Juana do rezygnacji z nauk dotyczących reguły sprzymierzeńca zawartego w *Datura inoxia* przyczyniło się to, że nie wyodrębnił on z mego podsumowania żadnych fragmentów mogących wytłumaczyć zasady kierowania wewnętrznym wymiarem późniejszych stanów rzeczywistości niezwykłej.

Dalej nastąpiła seria trzech stanów rzeczywistości niezwykłej wywołanych w celu potwierdzenia reguły sprzymierzeńca zawartego w *Psilocybe mexicana.* Potraktowano ją tu łącznie jako jedną całość. I choć przerwy pomiędzy nimi trwały dość długo, don Juan nie podjął w ich czasie żadnej próby rozważenia jakiegokolwiek aspektu charakteryzującego je porządku wewnętrznego.

Pierwszy z tych stanów był mało wyraźny; zakończył się nagle, a jego elementy składowe były mgliście zarysowane. Przypominał raczej właściwy stan rzeczywistości niezwykłej.

Drugi stan charakteryzowała większa głębia. Po raz pierwszy odczułem wyraźnie odrębny charakter stanu przejściowego prowadzącego do rzeczywistości niezwykłej. W czasie trwania owego stanu przejściowego don Juan ujawnił, że konkretny cel reguły, którą miałem potwierdzić, wiązał się z innym aspektem ruchu, wymagającym uciążliwego nadzorowania – stan ów nazwałem “poruszaniem się dzięki przyjęciu odmiennej postaci". Jego rezultatem było to, że dwa aspekty zewnętrznego wymiaru rzeczywistości niezwykłej nabrały po raz pierwszy cech oczywistości: stany przejściowe oraz nadzór nauczyciela.

Sprawowany przez siebie podczas pierwszego etapu przejściowego nadzór don Juan wykorzystał w celu precyzyjnego ustalenia kierunku trzech aspektów wymiaru wewnętrznego. Swoje wysiłki skupił on przede wszystkim na doprowadzeniu do konkretnego wyniku całościowego i kierował mną w ten sposób, bym doznał dokładnie wrażenia, że przyjąłem postać kruka.

Z możliwością przyjęcia odmiennej postaci, co pozwalało uzyskać sposobność poruszania się w obrębie rzeczywistości niezwykłej, wiązało się z kolei poszerzenie zależnego zakresu przyswajania, jedynej sfery, w której ruch taki mógł się odbywać.

O praktycznym wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej przesądziło nakazanie mi, bym skupił uwagę na niektórych składnikach zakresu zależnego, co miało mi umożliwić ich wykorzystanie jako punktów orientacyjnych przy poruszaniu się.

Podczas okresu przygotowawczego, który nastąpił po drugim stanie z tej serii, don Juan uchylił się od komentowania jakichkolwiek fragmentów tej relacji. Potraktował on ów stan tak, jakby był on

jedynie kolejnym przedłużonym etapem przejściowym.

Trzeci stan miał wszakże znaczenie fundamentalne. Proces kierowania wymiarem wewnętrznym osiągnął punkt kulminacyjny w postaci następujących rezultatów: posuwanie się ku temu, co konkretne, wywoływało łatwo osiągnięte wrażenie, że przyjąłem odmienną postać do tego stopnia, iż nastąpiło nawet dostosowanie sposobu posługiwania się wzrokiem i patrzenia. W wyniku owej adaptacji zdołałem zaobserwować nowy aspekt zależnego zakresu przyswajania – mikroskopijne cząsteczki tworzące elementy składowe – w związku z czym zakres przyswajania uległ znacznemu rozszerzeniu. Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej zrodziło we mnie przekonanie o możliwości poruszania się w zakresie zależnym w sposób równie praktyczny jak chodzenie w zwykłej rzeczywistości.

W okresie przygotowawczym, który nastąpił po ostatnim stanie rzeczywistości niezwykłej, don Juan wprowadził odmienny rodzaj rekapitulacji mych doznań. Wybrał on miejsca, które miałem sobie przypomnieć, nim jeszcze usłyszał mą relację, czyli wyraził pragnienie wysłuchania tylko tych jej fragmentów, które odnosiły się do praktycznego wykorzystania rzeczywistości niezwykłej oraz do ruchu.

Na podstawie tych elementów mej relacji zapoczątkował poruszanie się ku temu, co konkretne, nadając pozytywne wzmocnienie relacji na temat sposobu, w jaki uzyskałem postać kruka. Znaczenie przypisał on wszakże tylko temu, co odnosiło się do poruszania się już po przyjęciu tej postaci. Poruszanie się było tym miejscem mojego podsumowania, które uczynił obiektem wzajemnie oddziałujących na siebie wzmocnień pozytywnych i obiektywnych. Nadał pozytywne wzmocnienie mojej relacji w tej części, która wiązała się z przeświadczeniem o praktycznym charakterze rzeczywistości niezwykłej, a także dotyczyła zaobserwowania przeze mnie elementów składowych, które pozwoliły mi wyrobić sobie poczucie ogólnej orientacji podczas domniemanego poruszania się w zależnym zakresie przyswajania. Negatywne wzmocnienie nadal natomiast mej niezdolności do precyzyjnego przypomnienia sobie charakteru bądź kierunku owego ruchu.

Kierując posuwaniem się ku szerszemu zakresowi przyswajania, don Juan skupił się w swych rozważaniach na tym, co w mej relacji dotyczyło osobliwego postrzegania drobinek tworzących elementy składowe wchodzące w zakres zależny. Rozważania te doprowadziły mnie do przekonania, że jeśli istnieje możliwość patrzenia na sposób kruków, zależny zakres przyswajania musi ulec pogłębieniu i objąć cały przekrój zwykłej rzeczywistości.

W celu pokierowania posuwaniem się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej don Juan wytłumaczył ów osobliwy sposób, w jaki postrzegałem elementy składowe tym, że tak właśnie widzą świat kruki. Płynął stąd logiczny wniosek, że taki sposób percepcji implikuje wkroczenie w zakres zjawisk wychodzących poza normalne możliwości w obrębie zwykłej rzeczywistości.

Ostatnim doznaniem, które odnotowałem w swych zapiskach terenowych, był specjalny stan rzeczywistości zwykłej; don Juan wywołał go, dokonawszy wyodrębnienia elementów składowych zwykłej rzeczywistości poprzez podanie wskazówek dotyczących jego własnego postępowania.

Procesy ogólne wykorzystane w kierowaniu wewnętrznym wymiarem rzeczywistości niezwykłej doprowadziły do następujących rezultatów podczas trwania owego drugiego stanu specjalnego zwykłej rzeczywistości: Posuwanie się ku temu, co konkretne, dało w wyniku łatwe wyodrębnianie licznych elementów tej rzeczywistości. W pierwszym specjalnym stanie zwykłej rzeczywistości garstka składników wyodrębnionych w procesie udzielania wskazówek na temat otoczenia uległa również przekształceniu w nieznane formy pozbawione zwykłego konsensu, w drugim jednak stanie specjalnym liczba składników zwykłej rzeczywistości znacznie wzrosła i choć pozostały one elementami znanymi, mogły utracić podatność na zwykły konsens. Możliwe, że składniki te obejmowały swym zasięgiem całe otoczenie zarejestrowane w mej świadomości. Możliwe, że don Juan wywołał ów drugi stan specjalny, aby wzmocnić więź pomiędzy zwykłą i niezwykłą rzeczywistością, wskazując na możliwość, że większość – a nawet wszystkie – elementy składowe zwykłej rzeczywistości mogą utracić odnoszący się do nich zwykły konsens.

Z mej perspektywy ów ostatni stan specjalny był wszakże ostatecznym podsumowaniem mego terminowania. Paniczny strach, jakiego doświadczyłem na poziomie mej niczym nie zmąconej świadomości, miał ten osobliwy skutek, że zachwiał mą pewnością, iż rzeczywistość życia codziennego jest ze swej istoty realna – pewnością, że w odniesieniu do spraw zwykłej rzeczywistości mam zawsze do dyspozycji konsens. Cały przebieg mojej nauki wydawał się tak skonstruowany, by doprowadzić do obalenia tej właśnie pewności. Don Juan skupił cały swój dramatyczny wysiłek na

tym, by podczas ostatniego stanu specjalnego moja pewność legła w gruzach, z czego skłonny jestem wyciągnąć wniosek, że całkowite zniszczenie tej pewności usunęłoby ostatnią przeszkodę, nie pozwalającą mi zgodzić się na istnienie pewnej odrębnej rzeczywistości – rzeczywistości specjalnego konsensu.

DODATEK B: ZARYS OGÓLNY ANALIZY STRUKTURALNEJ

PORZĄDEK OPERACYJNY

PIERWSZY ZESPÓŁ: CZŁOWIEK WIEDZY
- ABY ZOSTAĆ CZŁOWIEKIEM WIEDZY, TRZEBA PODJĄĆ NAUKĘ
  - Nie istnieją żadne jawne wymogi
  - Istnieją pewne wymogi ukryte
  - Ucznia wybiera bezosobowa potęga
    - Wybraniec (escogido)
    - Decyzje owej potęgi przyjmują postać znaków wróżebnych
- CZŁOWIEK WIEDZY NIEUGIĘCIE DĄŻY DO CELU
  - Umiarkowanie
  - Roztropność
  - Brak swobody innowacyjnej
- CZŁOWIEKA WIEDZY CHARAKTERYZUJE JASNOŚĆ UMYSŁU
  - Swoboda poszukiwania ścieżki
  - Znajomość konkretnego celu
  - Elastyczność
- ABY ZOSTAĆ CZŁOWIEKIEM WIEDZY, POTRZEBA ŻMUDNEJ PRACY
  - Dramatyczny wysiłek
  - Skuteczność
  - Sprostanie wyzwaniu
- CZŁOWIEK WIEDZY JEST WOJOWNIKIEM
  - Musi odczuwać szacunek
  - Musi odczuwać lęk
  - Musi zachowywać czujność
    - Świadomość celu dążeń
    - Świadomość oczekiwanych zmian
  - Musi ufać we własne siły
- PROCES STAWANIA SIĘ CZŁOWIEKIEM WIEDZY NIGDY SIĘ NIE KOŃCZY
  - Musi ponawiać dążenie do zostania człowiekiem wiedzy
  - Jest przemijający
  - Musi podążać ścieżką obdarowaną sercem

DRUGI ZESPÓŁ CZŁOWIEK WIEDZY MA SPRZYMIERZEŃCA
- SPRZYMIERZENIEC JEST BEZKSZTAŁTNY SPRZYMIERZENIEC JEST POSTRZEGANY JAKO PEWNA JAKOŚĆ
  - Sprzymierzeniec zawarty w Datura inoxia
    - Ma naturę kobiecą
      - Jest zaborczy
      - Jest gwałtowny
      - Jest nieobliczalny
      - Wywiera niszczący wpływ na charakter swych zwolenników
    - Jest dawcą nadmiernej mocy
  - Sprzymierzeniec zawarty w Psilocybe mexicana
    - Ma męską naturę
      - Jest beznamiętny
      - Jest łagodny
      - Jest przewidywalny
      - Ma dobroczynny wpływ na swoich zwolenników
    - Jest dawcą ekstazy
- SPRZYMIERZENIEC DAJE SIĘ OSWOIĆ
  - Sprzymierzeniec jest wehikułem
    - Sprzymierzeniec zawarty w Datura inoxia jest nieobliczalny
    - Sprzymierzeniec zawarty w Psilocybe mexicana jest przewidywalny

Sprzymierzeniec jest pomocnikiem
TRZECI ZESPÓŁ: SPRZYMIERZENIEC TRZYMA SIĘ PEWNEJ REGUŁY
REGUŁA JEST SZTYWNA
Możliwość wyjątku wskutek bezpośredniej interwencji sprzymierzeńca
REGUŁA JEST NIEKUMULATYWNA REGUŁA ZNAJDUJE POTWIERDZENIE W ZWYKŁEJ RZECZYWISTOŚCI
REGUŁA ZNAJDUJE POTWIERDZENIE W RZECZZYWI-STOŚCI NIEZWYKŁEJ
Stany rzeczywistości niezwykłej
Rzeczywistość niezwykła daje się spożytkować
Rzeczywistość niezwykła posiada elementy składowe
Elementy składowe cechuje stabilność
Cechuje je niepowtarzalność
Cechuje je brak zwykłego konsensu
Specyficzne cele reguły
Pierwszy cel specyficzny – wypróbowanie (Datura inoxia)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie
Drugi cel specyficzny – wróżenie (Datura inoxia)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie-wchłanianie
Trzeci cel specyficzny – lot fizyczny (Datura inoxia)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie-wchłanianie
Czwarty cel specyficzny – wypróbowanie (Psilocybe mexicana)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie-wdychanie
Piąty cel specyficzny – poruszanie się (Psilocybe mexicana)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie-wdychanie
Szósty cel specyficzny – poruszanie się dzięki przyjęciu odmiennej postaci (Psilocybe mexicana)
Technika manipulacyjna – przyjmowanie-wchłanianie
CZWARTY ZESPÓŁ: REGUŁĘ POTWIERDZA SPECJALNY KONSENS
DOBROCZYŃCA
Przygotowanie specjalnego konsensu
Inne stany rzeczywistości niezwykłej
Wywoływane przez Mescalito
Mescalito jest w czymś zawarty
To, w czym jest zawarty, jest samą mocą
Nie kieruje się regułą
Nie wymaga terminowania
Jest obrońcą
Jest nauczycielem
Posiada określoną postać
Rzeczywistość niezwykła daje się spożytkować
Rzeczywistość niezwykła ma elementy składowe
Specjalne stany zwykłej rzeczywistości
Wywoływane przez nauczyciela
Udzielanie wskazówek co do otoczenia
Udzielanie wskazówek co do zachowania
Rekapitulacja przeżyć
Odtworzenie przebiegu wydarzeń
Opisanie elementów składowych
Przywiązywanie szczególnego znaczenia do określonych przeżyć
Wzmocnienie pozytywne
Wzmocnienie negatywne
Odmawianie znaczenia niektórym przeżyciom
Kierowanie specjalnym konsensem
Zewnętrzny wymiar rzeczywistości niezwykłej
Okres przygotowawczy
Okres poprzedzający rzeczywistość niezwykłą
Okres następujący po rzeczywistości niezwykłej
Etapy przejściowe
Nadzór nauczyciela
Wewnętrzny wymiar rzeczywistości niezwykłej

Posuwanie się ku temu, co konkretne
Konkretne niepowtarzalne kształty
Wzrastająca złożoność postrzeganych szczegółów
Przechodzenie od form znanych do nieznanych
Określone wyniki całościowe
Posuwanie się ku rozleglejszemu zakresowi przyswajania
Zakres zależny
Zakres niezależny
Posuwanie się ku bardziej praktycznemu wykorzystaniu rzeczywistości niezwykłej
Posuwanie się ku temu, co konkretne w specjalnych stanach zwykłej rzeczywistości

PORZĄDEK POJĘCIOWY

UCZEŃ
Fałszywe przyjęcie porządku pojęciowego
Prawidłowe przyjęcie porządku pojęciowego
Rzeczywistość specjalnego konsensu
Rzeczywistość specjalnego konsensu ma walor praktyczny